BEZ DEKRETU

NR 11 KRAKÓW

BEZ DEKRETU

Pismo członków i sympatyków

„SOLIDARNOŚCI"

NR 11

Kraków – 1985

Spis treści:

1. "...była ustami niemych ..." - rozmowa z Kazimierzem Sabbatem - Premierem Rządu Polskiego na emigracji 3
2. Wacław Majewski - Uwagi o prawie w socjalizmie realnym . 14
3. Andrzej Wiernikowski - Człowiek w rozerwanej koszuli . . 20
4. Jacek Keczmarski - Rejtan czyli raport ambasadora 22
5. Timothy Garton Ash - Polska rewolucja kulturalna 24
6. Ernest Skalski - Myślenie ekonoma i myślenie ekonomiczne 34
7. Jerzy Surdykowski - Historia patrzy na Gorbaczowe 38
8. Hannah Arendt - Tajna policja 48
9. Aleksander Neuberth - Paszkwil o metropolicie Szeptyckim 59
10. Jacek Wegner - Obrona tożsamości 62
11. Jan Strękowski - Nie me niemożliwości 66
12. Konrad Struge - Tumany i fetysze 72

Wszystkie materiały publikujemy bez wiedzy i zgody Autorów

© Copyright by BEZ DEKRETU

Przedstawiciel "Bez Dekretu": Agnieszka Kołakowska
14 Rue Sidi Brahim
75 012 Paris, FRANCE
tel. 341 2699

PODZIĘKOWANIA: Joannie za 500 i za maszynę
Szczurowi za 850

„...była »ustami niemych«..."

Rozmowa z Kazimierzem Sabbatem – Premierem Rządu Polskiego na emigracji

– Rząd Polski na emigracji jest kontynuacją prawną i faktyczną rządu Polski Niepodległej, który opuścił Polskę w 1939 roku. Prowadził działalność jako rząd aliencki – pierwszy z rządów alianckich w czasie wojny kierował wysiłkiem zbrojnym Polski, zarówno wojsk polskich na Zachodzie, jak i Armii Krajowej. Mocarstwa zachodnie cofnęły mu uznanie w lipcu 1945, wówczas kiedy ambasadorzy trzech obcych mocarstw wyznaczyli dla Polski w Moskwie rząd – zgodnie z życzeniami Stalina. Obecna administracja w Polsce, czyli rząd PRL, nie pochodzi z woli narodu. Pochodzi z nominacji przedstawicieli trzech obcych mocarstw, mianowicie: Mołotowa – ministra spraw zagranicznych Sowietów, Harrimans – ambasadors amerykańskiego i Kerra – ambasadora brytyjskiego. Ten narzucony Polsca rząd, oparty o siłę sowieckiej armii okupacyjnej, nigdy nie poddał się w Polsce wolnym wyborom. I dlatego uważamy, że nie jest on prawowitym rządem państwa polskiego i do czasu powstania możliwości powołania rządu polskiego opartago o wolę narodu wyrażoną w wolnych wyborach – rząd polski na emigracji jest i będzie jedynym konstytucyjnym, prawnym rządem państwa polskiego.

– Często słyszy się, że rząd w Londynie opanowany jest przez ludzi, którzy należą właściwie do historii Polski, a nie do jej rzeczywistości.

– To są względy uboczne. Z punktu widzenia prawnego wycofanie się rządu polskiego na uchodźctwia z działalności, zaprzestanie jej, byłoby uznaniam prawowitości narzuconego rządu komunistycznego. Dopóki istnieje rząd na emigracji utrzymujący, że jest legalnym rządem, rząd komunistyczny w Polsce jest rządem narzuconym. Jeżeli by zabrakło rządu na uchodźctwie, wówczas staje się on jedynym rządem Polski, a więc niekwestionowanym. Z punktu widzenia zmiany ludzi pokolenia się zmieniają. Ważna jest ciągłość instytucji, a nie ciągłość osób. Ale dodać trzeba, że na czele struktury rządowej stoi obecnie prezydent Edward Raczyński, który był ambasadorem Rzeczypospolitej Polski w Londynie przed wojną i w czasie wojny. On to podpisywał w 1939 roku traktat wzajemnej pomocy z Wielką Brytanią, który stał się podstawą do działalności rządu na emigracji w Londynia. I on jak najbardziej symbolizuje ciągłość, nawet personalną, Rządu Polskiego na uchodźctwie.

– Czy mógłby Pan powiedzieć coś więcej na temat działslności rządu? Sądzę, że można uznać sam fakt istnienia rządu w Londynie za wystarczający dowód działania. Ale to chyba nie koniec?

– To jest słuszny argument, że sam fakt istnienia rządu, który uważa się za jedyny prawowity rząd państwa polskiego, jeat faktem politycznym o dużym znaczeniu, ale to byłoby niewystarczające. Trzeba sięgnąć pamięcią 40 lat temu, kiedy wojna się kończyła, kiedy polskie siły zbrojne na Zachodzie i osoby cywilne, które znalazły się na terenie Niemiec, stanowiły bardzo wysoką liczbę. Pod bronią było wtedy około 250 tysięcy ludzi. Dla nich prawowitym rządem był rząd w Londynie, kontynuacja rządu Sikorskiego, potem Mikołajczyka, potem

Arciszewskiego. Nie mieli żsdnej wątpliwości ci ludzie, jak i Polacy w wolnym świecie rodem ze starej emigracji, że rządem Polski jest rząd w Londynie, mimo odmowy uznania. I ten stan rzeczy zachował się do dnia dzisiejszego, bowiem emigracja żołnierska, która stanowi główny trzon emigracji, nadal uważa rząd w Londynie - ten, pod którym służyła w czasie wojny - za swój rząd, za prawowity rząd Polski. Jeśli chodzi o pytanie: na czym polega działalność rządu - to idzie ona w trzech głównych kierunkach. Pierwszy z nich to są sprawy krajowe, a więc utrzymywania znajomości położenia w kraju, jego sytuacji politycznej, gospodarczej, socjologicznej. Szerzenie wiadomości o położeniu w kraju w opinii międzynarodowej, jednanie dla sprawy polskiej zwolenników, pomaganie Polakom w kraju moralnie, politycznie i materialnie. Sprawa pomocy krajowi stała się bardzo aktualne szczególnie od roku 1976, czyli od pojawienia się ruchów wolnościowych, którym była bardzo potrzebna tarcza ochronna opinii Zachodu. Ponadto potrzebna była także konkratna pomoc materialna. Istnieje na emigracji Fundusz Pomocy Krajowi, zbierający pieniądze wśród emigracji polskiej w świecie, celem niesienia pomocy wolnościowym ruchom działającym w Polsce. Od połowy lat siedemdziesiątych Fundusz Pomocy Krajowi prowadzi stale tę działalność. Mówię to wyraźnie, nie ukrywając, bo standartowy zarzut kierowany przeciw krajowym ruchom jest taki, że są agentami obcymi, że działalność swoją prowadzą za obce pieniądze. Rzeczywistość jest inna. To Polacy w wolnym świecie zbierają na ten cel pieniądze i na ten cel je przekazują.

Przechodzę do drugiej dziedziny naszej działalności, która jest chyba najbardziej konsekwentna i najbardziej szeroka. To jest działania na odcinku międzynarodowym. Kiedy przez wiele lat Polski Ludowej głos kraju nie mógł się ujawnić - on się dopiero ujawnił w dramatyczny sposób po powstaniu "Solidarności" - ale wówczas emigracja była, jak się to u nas określało, "ustami niemych". Przemawiała za krajem, potem kraj zaczął przemawiać własnym głosem. Uważaliśmy, że na odcinku międzynarodowym reprezentujemy prawdziwą wolę narodu polskiego, prawdziwe intaresy i prawdziwe idee. Ta działalność na odcinku międzynarodowym przybrała ostatnio formę tzw. polskich lobby. W poszczególnych krajach była bardzo konsekwentna i prowadzimy ją nadal. Rząd ma swoich przedstawicieli w 22 krajach wolnego świata. Wydajamy kwartalnik w języku angielskim "Polish Affairs" oraz regularnie od samego początku zwracamy się do rządów wolnego świata z przedstawianiem polskiego punktu widzenia odnośnie ektualnych spraw politycznych. Ostatnie memoranda rządu polskiego dotyczyły szczególnie konieczności przekreślenia skutków Jałty. Dotyczyły zagadnienia rewizjonizmu niemieckiego. Składaliśmy memoriały na wszystkie kolejne konferencje pohelsińskie, na konferencję poświęconą budowaniu wzajemnego zaufania w Sztokholmie w styczniu zeszłego roku, trwającą po dzień dzisiejszy. Złożyliśmy nasz memoriał, w którym reprezentowaliśmy pogląd, że nie może być podstaw do prawdziwego zaufania między Wschodem i Zachodem, dopóki w sercu Europy stoją naprzeciwko siebie dwie potężne armie i że tylko stworzenie z krsjów Europy Środkowej neutralnego pasa biegnącego od Szwecji neutralnej do neutralnej Austrii - pasa państw nie należących do żadnego z dwu bloków mogłaby stanowić początek budowania zaufania. Także na obecną konferencję w Ottawie złożyliśmy memoriał ilustrujący łamanie praw człowieka w Polsce, dołączyliśmy do niego raport Komitetu Helsińskiego opracowany ostatnio przez Komitet Helsiński w kraju.

Trzecia dziedzina naszej pracy to jest współprace, wspieranie i rozwijanie działalności polskiej narodowej w ośrodkach polskich w wolnym świecie. Wszędzie w tych krajach osiedliła się emigracja żołnierska. Wszędzie jest dobrze zorganizowana i zorientowana ne kierownictw polityczne w Londynie. Współpracujemy z tymi skupiskami polskimi. Wydajemy miesięcznik "Rzeczpospolita" - omawiający prace rzą-

du. Organizujemy zjazdy, na które przyjeżdżają delegeci z różnych krajów. Poza tym przedstawiciele rządu wyjeżdżają i odwiedzają różne kraje. Wystarczy wspomnieć, że w ubiegłym roku spędziłem dwa miesiące w Australii i Nowej Zelandii. Tego roku odbyłem wizyty w ośrodkach polskich w Brazylii i Argentynie.

- Jaki jest stosunek rządów państw zachodnich do rządu polskiego na emigracji?

-Rząd polski na uchodźdztwie nie jest uznawany. Uznawany jest rząd Polski Ludowej. Nasze memoriały nie mogą być traktowane jako memoriały państwa, bo byłoby to sprzeczne z porządkiem międzynarodowym. Jednakże nasze memoriały są oceniane pod względem wertości. Tak jak mi wiele let temu powiedziano w czasie wizyty w Departamencie Stanu.

- W Waszyngtonie?

- W Waszyngtonie."Nie możemy Pana traktować jako premiera rządu polskiego, bo uznajemy rząd w Warszawie, ale chętnie wysłuchamy uwag Pana jeko rzeczoznawcy w tych sprawach i jako przyjaciela Stanów Zjednoczonych! To więc określa nasze położenie. Nasze memoriały trafiają do tych osób, które zajmują się sprawami Europy Środkowej. Zrozumienie dla naszego stanowiska wzrosło szczególnie po ostatnich latach, kiedy sprawa polska stała się ponownie zagadnieniem międzynarodowym. A stała się nim pod koniec lat 70-tych i ne początku lat 80-tych. Wcześniej wszystkie zagadnienia Europy Środkowej były uważane za wewnętrzną sprawę bloku sowieckiego. Tak było w okresie inwazji sowieckiej na Budapeszt, czy też w okresie inwazji sowieckiej na Pragę czeską. Stanowisko Zachodu było wtedy takie: nie podoba się nam to, ale jest to sprawa wewnętrzna bloku sowieckiego. W roku 1980, w wypadku Polski, było już inaczej. Mocarstwa zachodnie ostrzegły wtedy Sowiety, że jakakolwiek interwencja bezpośrednia w sprawy polskie pociągnie za sobą poważne następstwa międzynarodowe dla ZSSR. To był moment umiędzynarodowienia sprawy polskiej. Moment, na który czekaliśmy prawie 40 lat.

- Rząd Pana Premiera z okazji 40-lecia Jałty podjął dość aktywne działania zmierzające do zanegowania postanowień jałtańskich. Główne osiągnięcia sprowadzają się chyba do tego, że pewna ilość brytyjskich posłów poparła akcję zwalczania Jałty.

- Sprawa walki z porządkiem jałtańskim, przekreślenie skutków tej nieszczęsnej zmowy w Jałcie była od samego początku główną sprawą rządu. Rozpoczęło się od oświadczenia rządu Tomasza Arciszewskiego z 22.II.1945, a więc w 10 dni po Jałcie. W tym oświadczeniu premier Arciszewski stwierdził, że naród polski nigdy się z Jałtą nie pogodzi. Testament rządu Arciszewskiego, wówczas jeszcze uznawanego, wykonywują wszystkie następne rządy. Od czasu do czasu przypominają światu o tym bezprawiu i o tym akcie głupoty politycznej. Sprawa stała się bardzo aktualna w ostatnich latach, począwszy od wypowiedzi prezydenta Mitteranda w styczniu 1982 roku: il fena sortir de Jalta, czyli: trzeba porzucić Jałtę, poprzez późniejsze wypowiedzi. A 40-lecie, które przypadało w tym roku, było doskonałą okazją przypomnienia wolnemu światu Jałty oraz uprzytomnienia szkód, jakie Jałta wyrządziła życiu międzynarodowemu. Działacze polscy w świecie mają w tych latach dobre dojście do władz politycznych krajów demokratycznych, w których ci działacze polscy przebywają i w których należą w dużej mierze do grona wyborców. Stąd też wpływ opinii polskiej na rządy wolnego świata jest dużo większy niż w przeszłości. Dla przykładu podam, że w Wielkiej Brytanii wniosek w sprawie Jałty podpisany został przez 250 posłów, co określono jako unprecedentes number, czyli liczbę wcześniej niespotykaną. Jeżeli przypomnieć, że przeciwko Jałcie w Parlamencie brytyjskim w 1945 roku głosowało tylko 7 posłów, to ta zmiana opinii w Parlamencie Wielkiej Brytanii ma ogrom-

ne znaczenie. Jest to niewątpliwie zasługa tego, co się dzieje w Polsce w pierwszym rzędzie. Ale jest to także zasługa emigracji w poszczególnych krajach, a emigracji osiedlonej w Wielkiej Brytanii w szczególności.

- Czy stanowisko owych 250 posłów wpłynęło na zachowanie ministra Howe podczas jego pobytu w Polsce?

- Myślę, że nie pozostało ono bez znaczenia. Nie należy się jednak łudzić, że stanowisko emigracji wpłynęło, czy wpłynie, na radykalną zmianę. Polityka brytyjska stoi na stanowisku, że Polska i inne narody powinny odzyakać wolność, ale widzi to jako proces długofalowy. Nam się spieszy. Polityka brytyjska, podobnie jak i amerykańska uważa, że konflikt ten da się rozstrzygnąć bez wojny, ale że wymaga on długiego czasu i stopniowych zmian.

- Nie ma powodu, żeby się im spieszyło... Jakiego rodzaju kontakty utrzymuje Pana rząd z innymi emigracjami?

- Od początku współpracujemy z emigracjami innych krajów. Przez lata ta współpraca nie miała zbyt konkretnych celów, poza ogólnymi deklaracjami. Nie mniej jednak na dwa punkty należy zwrócić uwagę. Jeden z nich to jest podpisanie deklaracji między rządem polskim na uchodźdztwie e rządem ukraińskim na uchodźdztwia. Ta deklaracja stwierdza, że w interesie wolnej Polski leży wolna Ukraina, a w interesie wolnej Ukrainy leży wolna Polska. Narody te powinny ze sobą współpracować, w szczególności ich człony emigracyjna. A sprawy sporne między tymi narodami rozstrzygnięte zostaną przez parlamenty wolnych nerodów. Ta deklaracja bardzo pomogła w zakresie stosunków polsko-ukraińskich, które na emigracji były napięte jako pozostałość po bardzo dramatycznych wydarzeniach polsko-ukraińskich w okresie wojny. Druga sprawa to są nasze stosunki z Czechosłowacją. W ostatnim roku odnowiona została myśl powrotu do deklaracji z roku 1941 o bliskiej współpracy prowadzącej aż do federacji między Polską a Czechosłowacją po wojnie. Taką deklarację podpisał w imieniu rządu Sikorskiego ówczesny ambasador Raczyński ze strony polskiej i Hubert Ripka ze strony czeskiej. W tych miesiącach toczą się między emigracją polską a emigracją czechosłowacką rozmowy na temat próby wdrażania tych postanowień w życie. Obydwie strony stoją na stanowisku, że współpraca między Polską a Czechosłowacją jest kluczem do ułożenia stosunków w Europie Środkowej po odzyskaniu przez te narody wolności.

W poszczególnych krajach są komitety utrzymujące tę współpracę. Ta praca ma charakter pośredni przez te właśnie komitety. Na terenie Londynu działa European Reason Group, czyli Europejska Grupa Łączności, która skupia przedstawicieli wszystkich narodów i jest platformą ich współpracy. W European Reason Group są także przedstawiciele dysydentów rosyjskich, którzy znaleźli się na Zachodzie.

- Między innymi Bukowski...

- Jest on wiceprezydentem.

- Jaka jest w Pana opinii polska droga do odzyskania wolności?

- To jest punkt wyjścia wszystkich rozważań. Koncepcja, którą wyznaje emigracja polityczna składa się z trzech punktów tej polskiej drogi do wolności. Pierwszym z nich jest założenie, że kraj odzyska wolność. Odzyska ją przede wszystkim dzięki stanowisku narodu polskiego i stąd sprawy krajowe mają najwyższą rangę. Drugim elementem drogi do wolności jest sytuacja międzynarodowa, która według naszych założeń musi się zmianić i będzie korzystniejsza dla sprawy polskiej. To istotnie nastąpiło. Trzecim elementem było przekonanie, że emigracja, chociaż ma rolę służebną w stosunku do kraju, to jednak ma rolę samoistną, której za nią nikt inny nie wykona. Takie były i ta-

kie są trzy elementy polskiej drogi do wolności z perspektywy emigracji politycznej.

- Jak Pan ocenia "Solidarność"?

- "Solidarność", chociaż była niespodzianką co do terminu wybuchu i co do semej formy, generalnie nie zaskoczyła nas. Zawsze byliśmy przekonani, że wolność dla kraju przyjdzie przede wszystkim dzięki wysiłkowi narodu polskiego. Wierzyliśmy, że narod polski nie pogodzi się z rzeczywistością narzuconej mu władzy zewnętrznej. "Solidarność" była spełnieniem tych nadziei i przewidywań. W tym sansie "Solidarność" spotkała się nie tylko z naszym zrozumieniem, ale także z pełnym entuzjazmem. Co więcej, znalazła ona entuzjazm i zrozumienie w całym wolnym świecie.

- Czy zgadze się Pan ze stwierdzaniem, że "Solidarność" żądała ze wiele i za szybko?

- Nie podzielam tych zarzutów pod adresem "Solidarności". Gdyby żądała mniej, czy wolniej, wcale w naszym przekonaniu nie zmieniłoby to jej losu. Los "Solidarności" zadecydowany został wówczas, kiedy była ona rejestrowana pod naciskiem groźby strajków przez sąd w Warszawie, w listopadzie 1980 roku. Według wiadomości, znanych już powszechnie, nad granicą między Sowietami i Polską stały wojska sowieckie gotowe do interwencji. Nie interweniowały w Polsce dlatego, że państwa sojuszu atlantyckiego ostrzegły ZSSR przed tym. Wtedy zapadła decyzja, że "Solidarność" trzeba zniszczyć na innej drodze niż interwencja zewnętrzna. Dla zorganizowanie stanu wojennego potrzebny był rok czasu. "Solidarność" zyskała przez to rok czasu, ale jej los był już wtedy przypieczętowany. Nie wierzymy także w to, że nadszedł kres "Solidarności". Widzimy, że "Solidarność" się skrystalizowała. Ilość uległa zmniejszeniu, ale są to ciągle bardzo duże liczby. Sprawa wolnych związków zawodowych, sprawa "Solidarności" w naszym przekonaniu nie jest sprawą zamkniętą. Trzeba, żeby społeczeństwo polskie wierzyło w przyszłość "Solidarności" i podtrzymywało ją.

- Społeczeństwo w jakimś procencie w ową przyszłość "Solidarności" wiarzy. Jest też jednak duża część, która wierzy, że siłą i represjami można zniszczyć wszystko. Władza daje sporo tego rodzaju dowodów.

- Oczywiście, obserwujemy pogorszenie sytuacji w Polsce, zwiększenie represyjności. Nacisk represji nie może być zjawiskiem permanentnym. Trzeba go przetrzymać. Nie może być zjawiskiem permanentnym i dlatego, że Polska nie jest oderwana od reszty świata i jest w dużej mierze od niego uzależniona. Jej gospodarka jest uzależniona od zachodniej współpracy i pomocy finansowej, od zachodnich kredytów. I jeżeli - tak jak to się dzieje - Zachód będzie odmawiał dalszej pomocy kredytowej bez poprawy sytuacji w Polsce - to ten nacisk ekonomiczny doprowadzi do zelżenia śruby nacisków. Gospodarka polska pod rządami komunistów jest w upadku. Nie widać szans jej podniesienia się bez kredytowej pomocy. Jeżeli Zachód będzie stosował, tak jak stosuje, metody kija i marchewki, tzn. gotowości pomocy w zamian za poprawienie sytuacji w zakresie praw człowieka, a jeśli się nie poprawi będzie odmawiał tej pomocy - to będzie to miało wpływ. W Polsce jest próba sił. Trzeba, żeby społeczeństwo w Polsce tę próbę sił, mimo ofiar i cierpień, wytrzymało. Nie jest to zachęta ze strony siedzących bezpiecznie w Londynie emigrantów - powtarzam tu stanowisko wyrażone przez działaczy "Solidarności". Trzeba dodać, że bardzo ważnym elementem w tej próbie sił jest stanowisko Kościoła katolickiego w Polsce, który po okresie ciężkich ofiar zyskał bardzo mocną pozycję, wielkie oparcie w społeczeństwie - takie, że władza musi się liczyć z jego stanowiskiem. Kościół idzie z klasą robotniczą. Idzie z intelektualistami i w oparciu o Kościół społeczeństwo w Polsce może

wywalczyć poszanowanie praw człowieka.

- Sądzę, że społeczeństwo ma świadomość tego. Niemniej czasami pojawiają się głosy krytyczne pod adresem Prymasa. Pan witał Prymasa w Wielkiej Brytanii. Czy skłonny jest Pan, Panie Premierze, podzielić się swoimi uwagami na temat polskiego Prymasa?

- Witałem Prymaaa jeko autorytet moralny kraju. W naszej pamięci historycznej jest przecież wspomnienie o Prymasie jako interreksie, jako o osobie, na której bardzo często leży największa odpowiedzialność. W czasie wizyty Prymasa w Wielkiej Brytanii Polacy przyjmowali go wszędzie entuzjastycznie. Rozumieliśmy, że Prymas ma bardzo trudną sytuację. Nie oczekiwaliśmy z jego strony oświadczeń politycznych, rozumiejąc jego bardzo złożoną sytuację. Jeśli chodzi o krytyki pod adresem Prymasa, czy Kościoła w Polsce, to zdajemy sobie sprawę z tego, że tak, jak powiedziałem, ma on bardzo trudną sytuację i krytyka może wynikać z niezrozumienia trudności sytuacji, w jakiej Prymas się znajduje.

- Jak Pan ocenia politykę Watykanu wobec Polski?

- Trzaba sobie zdać sprawę z tego, że polityka watykańska ma na celu obronę interesów Kościoła katolickiego, a nie obronę Polski, czy jakiegoś innego nsrodu. Interesy Kościoła Powszechnego nie muszą być identyczne z interesami takiego czy innego, nawet bardzo katolickiego narodu. Stwierdziwszy to muszę od razu powiedzieć, że niepodległościowa polityke polska ma w Watykanie, od okresu wojny, bardzo wielką pomoc i oparcie. Miało to miejsce podczas poprzednich pontyfikatów. Zaś od przyjścia kardynała krakowskiego na stanowisko głowy Kościoła katolickiego sytuacja ta uległa ogromnemu polepszeniu. Nawet przez sam fakt, że Papież jest Polakiem, co bardzo często i wyraźnie podkreśla. Ponadto Papież spotyka się z Polakami. Osobiście miałem możność kilkakrotnego spotkania się z Nim. Jego kazania i przemówienia stanowią dla nas źródło natchnienia i nadziei. Fakt wyboru kardynała Wojtyły na Papieża uważamy za wydarzenie w historii Polski o charakterze wiekopomnym. Przekonani jesteśmy, że gdyby nie było tego wyboru, tempo rozwoju spraw polskich nie poszłoby tak szybko, jak to się stało.

- Jak Pan ocenia nową po-solidarnościową emigrację?

- To jest sytuacja skomplikowana dlatego, że poza granicami kraju w ostatnich latach znalazło się ponad ćwierć miliona Polaków. To jest więcej niż wynosiła nasza amigracja żołnierska. W samych Niemczech jest ich ponad 200 tysięcy. Nie jest to jednak emigracja polityczna. Znakomita większość z nich niewiele, jeżeli w ogóle, miała do czynienia z "Solidarnością". Obok nich jest grupe autentycznych działaczy "Solidarności", którzy włączają się do działalności ogólnej polskiej w poszczególnych krajach. Osobne zagadnienie stanowi Biuro "Solidarności" w Brukseli, które liczbowo stanowi niewielką grupę, ale jest bardzo ważnym czynnikiem dlatego, że jest to przedstawicielstwo "Solidarności" podziemnej, TKK, w wolnym świecie. Ta emigracja nie jest podobna do emigracji żołnierskiej, która miała za sobą tradycję braterstwa broni, bardzo blisko była ze sobą związana. Ludzie, którzy przeszli przez ogromne trudności, żeby się dostać do szeregów wojska i którzy przeszli przez różne kampanie. To grupa wyjątkowa i zjawisko niepowtarzalne. Żadna inna grupa nie ma warunków dorównania im. Natomiast ta grupa emigracji po-solidarnościowej w dużej mierze składa się z ludzi szukających lepszych warunków życia, ale, mówię to z przykrością, jest w niej także dużo elementu przestępczego, zwłaszcza na terenie Niemiec. Z wiadomości jakie doszły do nas, chociaż niesprawdzonych, wynikałoby, że więzienia w Polsce zostały opróżnione przed wprowadzeniem stanu wojennego, żeby zrobić miejsce. Bardzo

[illegible] tych ludzi znalazło się bez trudności za granicami kraju. To [illegible] tłumaczyć wysoki procent przestępstw popełnianych przez Polaków na terenie Niemiec.

- Jak Pan ocenia pracę Biura "Solidarności" w Brukseli?

- Jeżeli chodzi o Biuro w Brukseli, trzeba sobie zdawać sprawę, że jego działanie ograniczone jest do świata robotniczego, do związków zawodowych. To Biuro nie jest formalnie nigdzie uznane. MOP, która prowadziła postępowanie przeciwko władzom ludowym o złamanie konwencji zaprosiła przedstawicieli "Solidarności" jako rzeczoznawców i świadków w tej sprawie. Nie stanowiło to uznania ich jako członków Międzynarodowej Organizacji Pracy. Ta Tymczasowa Komisja prowadząca bardzo dobrą robotę pod przewodnictwem Milewskiego ma także innego rodzaju ograniczenia. Jest ona zagranicznym przedstawicielstwem związku zawodowego "Solidarność", wprawdzie rozwiązanego w Polsce i nielegalnego, ale dążącego do legalizacji. Legalizacja zaś mogłaby nastąpić jedynie na zasadzie akceptacji rzeczywistości politycznej w Polsce. I dlatego Biuro w Brukseli musi być w swoich działsniach ograniczone. Musi stać na zasadzie uznawania władz Polski Ludowej, co oczywiście ogranicza ich możność działania politycznego. Biuro nie może identyfikować się z działalnością emigracji politycznej, która władze Polski Ludowej odrzuca. My stoimy na stanowisku, że nie jesteśmy opozycją w stosunku do władzy ludowej, ale że negujemy jej charakter jako władzy państwowej. Odrzucamy ją całkowicie. Tu się rysuje różnica punktu wyjścia między działalnością Biura "Solidarności" a emigracją polityczną. Ograniczenie polega i na tym, że jakkolwiek ważne są związki zawodowe w krajach zachodnich, jakkolwiek odgrywają bardzo dużą rolę polityczną - nie są one w swoim założeniu organizacjami politycznymi, a są organizacjami dbającymi o interesy świata pracy. Stąd też działalność niepodległościowa nie może się identyfikować z celami związków zawodowych. Niemniej jednak związki zawodowe mają tak ważną rolę, że wpływ "Solidarności" na ich poglądy ma ogromne znaczenie. I tutaj Komitet w Brukseli spełnia rolę, której nikt inny by lepiej niż oni nie spełnił. Mają pełną wiarygodność w sprawach ruchu wydawniczego w Polsce, której to wiarygodności nikt inny by nie miał. Dlatego też popieramy działalność Biura "Solidarności" i doceniamy jego znaczenie. Dodać jeszcze trzeba, że Biuro "Solidarności" utrzymuje się z dotacji związków zawodowych. Ten stan rzeczy jest bardzo pożądany, ale nie można go uważać za permanentny, bo te wpływy ze strony związków zawodowych na jakimś etapie mogą się urwać. Wtedy działalność Biura "Solidarności" musiałaby ulec drastycznemu ograniczeniu.

- Czy działania rządu pokrywają się, czy też uzupełniają z działaniami Polonii w świecie?

- Teren działania jest tak rozległy, że nawet te dwa czynniki razem wzięte nie potrafią go zapełnić. Są to dwa czynniki zupełnie innego typu.

Rząd jest przedstawicielstwem politycznym. Polonia światowa jest przedstawicielstwem organizacji społecznych, kombatanckich, kulturalnych. Także kongresów krajowych. Próba przejęcia roli politycznej przez Polonię światową, gdyby ją Polonia podejmowała, nie miałaby żadnych szans. Poszczególne Kongresy organizacji polskich w poszczególnych krajach mają znaczenie. Reprezentują bowiem, w szczególności w Stanach Zjednoczonych głosy polskie liczące się przy wyborach. Głos prezesa Kongresu Polonii Amerakańskiej, pana Mazewskiego, dla polityki amerykańskiej ma znaczanie, ale brytyjski Foreign Office z panem Mazewskim nie będzie rozmawiać. Amerykański State Department nie ma o czym rozmawiać z przedstawicielem Polonii z Australii, czy Wielkiej Brytanii. I dlatego też nie ma możliwości przejęcia przez Kongresy

Polonii w poszczególnych krajach zakresu działań rządu. Są to organizacje w dużej mierze składające się z ludzi nie tylko mających obywatelatwo nie-polskie, np. Amerykanie w trzecim pokoleniu przeważnie nie znający już języka polskiego. Mówię o tym nieporozumieniu, bo ciągle się o tym słyszy. Wynika ono z nieznajomości sytuacji. Natomiast rząd na emigracji stoi na stanowisku różnych metod działania. Obok działania bezpośredniego jest działanie pośrednie poprzez organizacje polskie w świecie. Poprzez osobistości. I w tym układzie na Polonię światową, a właściwie na poszczególne organizacje polonijne w świecie spada wielkie zadanie realizowania w swoim kraju wobec swojego rządu postulatów emigracji niepodległościowej, określanych przez rząd. Nie tylko zresztą przez rząd, bo poglądy polityczne emigracji niepodległościowej reprezentowane także przez rząd są własnością wspólną emigracji niepodległościowej i wytwarzane są przez różne ośrodki, bądź to współpracujące ze sobą, bądź też nawet mające pogląd niejednolity, wynikający często z kontrowersji.

- Jaki jest pański stosunek do przedwojennych podziałów partyjnych? Partie te istnieją wszak nadal na emigracji.

- W społeczeństwie dojrzałym o charakterze demokratycznym musi istnieć pluralizm polityczny. W Polsce międzywojennej, po wstępnym okresie nadmiernego rozwoju partyjnictwa, wytworzył się naturalny podział na nurty polityczne, który ma charakter permanentny. Naturalne nurty polityczne w warunkach polskich - zacznijmy od lewicy, czyli Polska Partia Socjalistyczna, demokratyczny socjalizm, który jako sposób myślenia politycznego jest zjawiskiem naturalnym, przetrwał. Po drugiej stronie mieliśmy Stronnictwo Narodowe i Chrześcijańską Demokrację, które są także naturalną formą myślenia politycznego. Mieliśmy Stronnictwo Ludowe i mieliśmy Obóz Piłsudczyków. Te formacje polityczne, te nurty myślenia politycznego przetrwały, bowiem mają one charakter naturalny i permanentny. Na emigracji istnieje nadal PPS, mająca wielkie zasługi w naszej działalności. Istnieje Stronnictwo Ludowe. Istnieje tzw. Liga Niepodległej Polski, czyli organizacja polityczna piłsudczykowska i istnieje Stronnictwo Narodowe. Istnieje Chrześcijańska Demokracja. W naszych warunkach życie polityczne, a także działalność rządu opiera się o organ typu parlamentarnego, który się nazywa Rada Narodowa Rzeczypospolitej Polskiej. Ta Rada to parlament Polski na obczyźnie. Rada składa się z przedstawicieli głównych stronnictw politycznych plus parę osób niezależnych, nie należących do żadnych stronnictw politycznych, ale biorących udział w działalności politycznej. Ci ludzie tworzą niezależną grupę społeczną. Obok przedstawicieli stronnictw mamy w Radzie Narodowej 30 osób z wyborów powszechnych 5-przymiotnikowych, przeprowadzanych co 5 lat. Ponadto w skład Rady wchodzą przedstawiciele głównych organizacji społecznych. Rada Narodowa, czyli polskie przedstawicielstwo parlamentarne polityczne istniejące przez cały czas /w czasie wojny działała w innej strukturze/ jest oparciem dla rządu. Jest także czynnikiem, który decyduje o składzie rządu i o jego programie. Rada Narodowa na terenie Wielkiej Brytanii ma 115 członków. Ponadto ma swoje oddziały w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie i na terenie Niemiec. Razem w pracach Rady Narodowej bierze udział około 215 członków. Jest to więc bardzo szerokie przedstawicielstwo. Dodać do tego trzeba wspomnianych delegetów rządu, którzy działają w 21 krajach wolnego świata. Ich zadaniem są kontakty z rządami krajów zamieszkania oraz współpraca z polskimi organizacjami społecznymi w tychże krajach. Taka jest struktura polityczna, której głównym trzonem są stronnictwa polityczne. Przekonany jestem, że w warunkach odzyskania wolności te naturalne główne nurty polityczne odrodzą się. Z tej wielości prób, o których czytamy w dzisiejszej Polsce samookreślania się politycznego kiedyś, w warunkach wolności, wykrystalizują się naturalne ruchy polityczne. Jakaś lewica, jakaś prawica i

jakieś centrum.

- Rząd w swej działalności opiera się o Konstytucję z 1935 roku. Dzisiaj określa się ją mianem demokratycznej i najlepszej, ale przecież taką nie była. Są i tacy, którzy próbują z niej czynić konstytucję faszystowską...

- Konstytucja w Stanach Zjednoczonych ma 200 lat za sobą. Amerykanie uważają ją za najdoskonalszą konstytucję na świecie. Była poprawiana, zdaje się, 120 razy w tym czasie. Ostatnie poprawki, czyli constitution emendations miały miejsce niedawno, kiedy określano kompetencje prezydenta Stanów Zjednoczonych czyli to, że nie może być prezydentem powyżej 2 kadencji. Konstytucja Polska, tzw. kwietniowa z 1935 roku, też nie jest doskonała. Nazywanie jej faszystowską jest bezmyślną połajanką. Jeżeli ją porównać do rzekomo wzorcowej konstytucji stalinowskiej, to okaże się ona wzorem demokracji. Prawdopodobnie trzeba ją tu i ówdzie poprawić w świetle doświadczenia. Zdała egzamin. Na niej oparł się legalizm rządu alianckiego. Dzięki tej Konatytucji było możliwe odtworzenie rządu polskiego na uchodźdztwie i możliwe jest zachowanie ciągłości konstytucyjnej legalnego rządu polakiego na uchodźdztwie. Jej postanowienia nie odbiegają od innych konstytucji wzorcowych. Władza prezydenta jest bodaj mniejsza niż władza prezydenta Stanów Zjednoczonych, niż obecnie prezydenta Francji. Jeżeli ją, powtarzam, porównuję z konstytucję stalinowską, która pozwala na zniewolenie narodu, no to porównanie nie budzi żadnych wątpliwości. Nie mamy pod tym względem obaw. Jeśli Polska odzyska warunki wolności, ani dnia nie utrzyma się rząd komunistyczny, ani dnia nie utrzyma się konstytucja stalinowska. Zostanie zmieciona na placu boju, zostanie wtedy ostatnia legalna uchwalona przez Sejm Konstytucja kwietniowa. Nie zakładamy, że stanowi ona jakąś świętość. Zadaniem rządu emigracyjnego jest współdziałać w doprowadzeniu do odzyskania przez Polskę warunków wolności. W tych warunkach pierwszym zadaniem będzie zwołanie Sejmu Konstytucyjnego, który dokona wyboru władz państwa polskiego i orzeknie w sprawie konstytucji. Więc zadaniem rządu jest współdziałanie z czynnikami międzynarodowymi, ale przede wszystkim z czynnikami krajowymi w doprowadzeniu do tego, żeby w Polace w warunkach wolności jak najszybciej mógł zebrać się Sejm konstytucyjny, wybrany w wolnych wyborach. Ten Sejm będzie miał przed sobą wybór suwerennych władz państwowych Polski oraz orzeczenie co do losów Konstytucji. Rząd emigracyjny wówczas będzie miał do wykonania jedno zadanie: złożenie w ręce Sejmu Konstytucyjnego symbolów suwerennej Rzeczypoapolitej Polski i pieczęci Prezydenta, która znajduje się ciągle w Londynie.

- A nie żywi Pan nadziei, że pański rząd wróci kiedyś do kraju?

- Bardzo często dziennikarze z prasy międzynarodowej, którzy przeprowadzają ze mną wywiady, a tych wywiadów ostatnio jest bardzo dużo, stawiają to pytanie w takiej formie: czy ma pan nadzieję, że rząd pański wróci kiedyś do kraju. Moja odpowiedź zawsze jest taka: nie ma żadnej wątpliwości, że instytucja rządu polskiego jako wyraz suwerenności do kraju wróci. Natomiast kto w tym rządzie będzie zasiadał, to jest zagadnienie zupełnie inne. Władzę w kraju będą sprawować ludzie, których rozwój wydarzeń wyniesie na czoło działalności politycznej. Osoby z emigracji prawdopodobnie znajdą dla siebie pożyteczne miejsce. Natomiast nikt z członków rządu nie marzy o tym, żeby sprawować władzę w Polsce z tego tytułu, że jest członkiem rządu w Londynie.

- W jednym z pierwszych numerów "Bez Dekretu" wydrukowaliśmy tekst pt. "Polska Reprezentacja Polityczna" Krzysztofa Jerzewskiego. Jak Pan ocenia zaprezentowane tam pomysły i sugestie?

- Przeczytałem go z dużym zainteresowaniem i doceniam potrzebę takiej wypowiedzi oraz wysiłek myślowy autora, pana Krzysztofa Derzewskiego. Myślenie ma kolosalną przyszłość. I dobrze, że są ludzie, którzy o tym myślą, ale przed wyciągnięciem wniosków trzeba by zebrać materiał faktyczny i orientować się w rzeczywistości. Uwagi i wnioski zawarte w tym artykule są niestety całkowicie oderwane od rzeczywistości emigracyjnej i dlatego nie mogą stanowić podstawy do rozsądnego planu. Polska Reprezentacja Polityczna istnieje nieprzerwanie. Mówiłem o niej, podawałem jej strukturę, jej oparcie polityczne, jej oparcie prawne. Jest ona oczywiście niedoskonała, jak każde dzieło ludzkie, ale przetrwała te czterdzieści lat. Oparta jest o koncepcję legalizmu i ta koncepcja zdała egzamin. Dużo jest do uzupełnienia i myślę, że fakt zainteresowania się tym tematem należy powitać z wielkim zadowoleniem. Tu dodam, że na ten temat do pism krajowych już kilkakrotnie miałem możność wypowiadania się. Trudności obiektywne nie pozwalają na komunikowanie się wzajemne i dlatego moje poprzednie uwagi podawane innym odbiorcom nie dotarły. Mam nadzieję, że może te uwagi będą mieć szerszy zasięg aniżeli poprzednie.

- Jakie są podstawy finansowa rządu w Londynie?

- Sprawa podstaw finansowych rządu jest bardzo prosta. Chodzi o instytucję, która nosi nazwę Skarb Narodowy. Jest to organizacja powołana przez rząd, działająca we wszystkich skupiskach polonijnych, zbierająca pieniądze wśród Polaków w świecie na działalność polityczną rządu. Działa ta organizacja z górą już lat trzydzieści. Dzięki Skarbowi Narodowemu mamy możność utrzymywania działalności, utrzymywania siedziby rządu, prowadzenia akcji międzynarodowej, rozwoju, oświadczania ośrodków, prowadzenia wydawnictw. Nie są to sumy duże, ale są wystarczające. Oczywiście, nie ma mowy o tym, żeby opłacać członków rządu i dlatego członkowie rządu za swoją pracę nie pobierają wynagrodzeń. Praca rządu w dużej mierze opiera się na pracy bezinteresownej. Działaczy Skarbu Narodowego w świecie jest dużo. Są to bardzo zasłużeni, bardzo ofiarni ludzie. Skarb Narodowy prowadzi także administrację wspomnianego poprzednio Funduszu Pomocy Krajowi, który jest funduszem odrębnym i na cel pomocy krajowi zbiera się osobno.

- Przepraszam Pana Premiera, ale bardzo interesuje mnie sprawa sukcesji...

- Jaśli chodzi o kwestię sukcesji, czyli inaczej trwałości instytucji rządu, to można powiedzieć, że pokolenie żołnierskie zbliża się do naturalnego kresu swojego życia. Można było się obawiać, że grono naszych sukcesorów będzie ograniczone. Tymczasem nastąpiły takie wydarzenia, które ten obraz zmieniły. Ta najnowsza emigracja, przewyższająca liczbą emigrację żołnierską, rozsypana po całym świecie, mimo tego, że jej potencjał polityczny nie jest taki jak żołnierskiej, jej związanie ze sprawami polskimi nie jest takie silne jak było tej emigracji walczącej. Jej ofiarność prawdopodobnie nie jest taka duża. Jednak jest w niej bardzo dużo ludzi bardzo wysokiej klasy zarówno intelektualnej, jak też pod względem charakteru. Wśród nich szukamy naszych kontynuatorów. Trzeba im dać trochę czasu na to, żeby się zagospodarowali, wrośli w swoich nowych krajach i żeby mieli podstawy własne do działalności. Dodać przy tym trzeba, że emigracja żołnierska bardzo dbała o wychowanie młodego pokolenia. Wśród młodego pokolenia wychowanego na emigracji mamy bardzo dużą liczbę młodych ludzi już w wieku dojrzałym, bo to 40 lat trwa emigracja, którzy są bardzo mocno związani ze sprawą narodową, a równocześnie są znakomicie torientowani w sprawach kraju, w którym się urodzili i wychowali. Mieszanka działaczy ideowych, którzy niedawno wyszli z kraju i działaczy z młodego pokolenia emigracyjnego na pewno będzie stanowić doskonałych kontynuatorów naszej działalności.

– Pan jest fan optymistą, czy pesymistą w patrzeniu na przyszłość kraju, na perspektywę działań emigracyjnych...? Niewątpliwie wiąże się rodzaj postawy z pańską drogą życiową.

– Optymizm, czy pesymizm? Żeby działać na emigracji musi się być optymistą. Inaczej nie byłoby podstaw. Myślę, że w sumie emigracja patrzyła optymistycznie, chociaż realistycznie zakładała, że może nie starczyć życia, zwłaszcza starszych na to, żeby dojść do wolnej Polski. Ale zawsze była ta pewność, że droga emigracyjna prowadzi do wolnej Polski. Jeżeli chodzi o mnie osobiście, należę do pokolenia Polski Niepodległej, tzw. pokolenia, które swoje młode szkolne lata przeżyło w wolnej Polsce. Skończyłem polską szkołę średnią, polski uniwersytet w ukochanej Warszawie. Byłem bardzo mocno związany z pracą harcerską. We wrześniu 1939 roku, po rozbiciu wojska polskiego, a brałem udział w kampanii wrześniowej, tak jak dziesiątki tysięcy moich kolegów przeszedłem przez Węgry do Francji. Nie było żadnej dyskusji – czy, wychowani na Panu Tadeuszu, na tradycji napoleońskiej, wiedzieliśmy, że jeśli wojna skończy się w kraju, to trzeba przekroczyć granicę i szliśmy do Francji. Po upadku Francji przeszedłem przez Anglię. Byłem w I Dywizji Pancernej w komando generała Maczka. Zajmowałem się bardzo gorąco harcerstwem. W latach wojennych kierowałem pracą harcerstwa polskiego poza krajem, razem z druhną Olgą Małkowską. Byłem wtedy w bliskim kontakcie z Szarymi Szeregami. Do działalności politycznej przeniosłem się trzydzieści lat temu. Od lat 30 jestem w zespołach kierujących polską działalnością niepodległościową. Przez ostatnie 9 lat jestem premierem rządu polskiego na uchodźstwie. Nie należę do żadnego stronnictwa politycznego. Może to wyniosłem z harcerstwa. Natomiast mam zrozumienie, że nie ma ustroju demokratycznego bez stronnictw politycznych i doceniam wagę i rolę stronnictw politycznych. W mojej działalności staram się koordynować stanowiska stronnictw politycznych zasiadających w Radzie Narodowej i reprezentowanych w rządzie. Mam rodzinę, z której jestem zadowolony. Czwórka dzieci już po ukończonych studiach, dających sobie radę w życiu. Miałem zawsze z racji moich harcerskich tradycji umiejętność znalezienia wspólnego języka z młodym pokoleniem i nie widziałem często zdarzającej się przepaści, czy różnicy między starymi i młodymi. Przez długie lata byłem młody i teraz jeszcze nie uważam się za starego. Przyszłość Polski widzę optymistycznie. Za jedną z podstaw naszej działalności na odcinku międzynarodowym uważam tezę o kluczowym położeniu Polski w Europie. Twierdzę, że losy Polski rozstrzygają o losach krajów sąsiednich Europy, a także całej Europy. Potwierdziło się to w roku 1920. Zwycięstwo Polski nad Czerwoną Armią zadecydowało o losie Europy. Pamiętam rozkaz Trockiego "przez trupa pańskiej Polski wiedzie droga do wszechświatowej rewolucji. Podamy rękę rewolucji w Niemczech. Naprzód na Warszawę!". Los Polski rozstrzygnął o losie Europy w 1939 roku, bo gdyby Polska nie stawiła czoła Hitlerowi świat wyglądałby zupełnie inaczej. I los Polski rozstrzygnął także o losie Europy, ale tym razem także i świata w 1945 roku w Jałcie, kiedy Polskę wydano w ręce Stalina. Pociągnęło to także wydanie w ręce Stalina całej Europy Środkowej i zagrożenie całej Europy, a także pokoju w świecie. Uważam więc za zadanie moje, zespołu rządowego, któremu przewodniczę, a także emigracji politycznej przekonywanie opinii światowej, że wolność Polski leży w interesie Polaków. Leży także w interesie sąsiadów, w interesie bezpieczeństwa w Europie i w interesie bezpieczeństwa i pokoju w świecie. Zaczyna rosnąć zrozumienie roli Polski w polityce międzynarodowej. Mówi o tym Brzeziński bardzo wyraźnie, zarzucając trzem mocarzom w Teheranie, że nie rozumieli roli Polski. Więc to zrozumienie kluczowego położenia Polski jest dla mnie źródłem optymizmu co do przyszłości sprawy polskiej...

– Myślę, że ta optymistyczna sekwencja stanowi znakomite zakończenie. Bardzo Panu Premierowi dziękuję za rozmowę.

UWAGI O PRAWIE W SOCJALIZMIE REALNYM

1. Najczęściej, mówiąc o współczesnym prawie w państwach socjalizmu realnego, mówi się o kryzysie tego prawa. W ostatnich latach słowo kryzys zrobiło zawrotną karierę. Bez mała wszystkie negatywne zjawiska na świecie określa się mianem kryzysowych. Czy słusznie? Kryzys oznacza zbliżanie się do rozstrzygnięcia, przesilenia. Jeżeli zaś jakieś zjawisko charakteryzuje się stałym upadkiem, czy wręcz zanikiem, bez podstaw do pozytywnych prognoz, to nie jest to kryzys, tylko zmiana jakościowa. Nie chodzi tu o spór semantyczny. Jeżeli w czasie choroby mówimy, że nadchodzi czy wręcz już jest kryzys, zakładamy również, że pacjent wyzdrowieja albo umrze, czyli, że stan istniejący w czasie trwania kryzysu zostanie w sposób pozytywny lub negatywny rozwiązany. Jeżeli brak podstaw do takich przypuszczeń, nie powinniśmy używać słowa kryzys. Mówiąc o kryzysie prawa, niejako z góry zakładamy, że jest to stan przejściowy. Z perspektywy historii, może tak, ale na pewno nie dla kilku pokoleń, którym przyszło w tym okresie żyć. Nadto używając w przypadku prawa słowa kryzys, usprawiedliwiamy mimo woli istniejący stan, traktując go jako czasową patologię, która zawsze i wszędzie może się zdarzyć. Kryzys jako zjawisko falujące może ustąpić niejako samoczynnie, natomiast stan "normalny", "właściwy", ale taki, którego nie aprobujemy, wymaga silnego przeciwdziałania. Dla podjęcia przeciwdziałania niezbędna jest diagnoza. Zmiany w tym kierunku przeprowadzić może tylko społeczeństwo, diagnozę winna dać nauka.

2. Rozważania nad prawem, jego istotą w państwach socjalizmu realnego, przy pomocy tradycyjnej aparatury pojęciowej prowadzą zawsze do jednego z dwóch wniosków. Pierwszym z nich jest stwierdzenie, że cały system prawny tych państw jest właściwie bezprawny, czy też oparty na bezprawiu. Do takiego stwierdzenia dochodzi się zwykle, biorąc za punkt wyjścia doktryny prawno-naturalne, czy zagadnienia związane z legitymizmem władzy.

Drugim z możliwych wniosków jest stwierdzenie, że prawo w państwach socjalizmu realnego jest wprawdzie nieco inne niż prawa w państwach demokratycznych, ale jest z nimi p o r ó w n y w a l n e. Wszystkie rozważania w kierunku tego stwierdzenia - nawet najbardziej krytyczne - są z punktu widzenia interesu państw socjalizmu realnego zawsze korzystne. Wszak samo prowadzenie rozważań ne ten temat utwierdza autorów i odbiorców tych rozważań w przekonaniu o istnieniu i funkcjonowaniu prawa. Kapitalnym elementem tych rozważań /książek, artykułów, tekstów prawnych itp./ jest właśnie to, że operują tradycyjną aparaturą pojęciową, wykształconą w państwie typu kapitalistycznego o formie demokratycznej. Terminy takie jak parlament, wybory, głosowanie, własność i inne prawa rzeczowe, prawa osobiste, szereg pojęć z zakresu procedury tak cywilnej, jak i karnej i wiele, wiele innych, mają prawiekową już konotację i w dużym stopniu zgodnie z nią funkcjonują w świadomości społecznej.*) Natomiast w rzeczywistości, właściwe desygnaty tych nazw w państwach socjalizmu realnego uległy zmianie. Dla nowych desygnatów możnaby znaleźć o wiele stosowniejsze nazwy. Gdyby tak jednak uczyniono, również słowo p r a w o

---

*) Wszystkie w zasadzie badania empiryczne, socjologiczno-prawne wykazują niezbicie, że świadomość ta zmienia się albo,co najmniej,modyfikuje w osobostym zetknięciu się z praktyką organów stosujących prawo, a więc przy bliższym poznaniu w ten sposób samego prawa. Bez tego osobistego zetknięcia się, jak wykazują te same badania, społeczna znajomość prawa jest nikła, prawie żadna. Jest to jednak w pełni usprawiedliwione, choćby z powodu permanentnych jego zmian.

należałoby zastąpić jakimś innym terminem. Mimo to, właściwie wszystkie rozważania nad prawem państw socjalizmu realnego prowadzą w kierunku tego wyżej omówionego rezultatu. Wspierają one - i to niezależnie od woli autorów - "autorytet" tego prawa. Dalej dlatego, że wszelka krytyka tego prawa jest mało przykonywująca, skoro krytykujący nie wychodzi poza zakres nazw instytucji prawnych przez niego krytykowanych. Instytucja nazwana parlamentem będzie zawsze parlamentem, dopóki krytykujący od tej nazwy nie odstąpi. A przecież organy aparatu państw socjalizmu realnego, które określają się jako sejm czy parlament, są pozbawione cech właściwych tym organom w państwach demokrytycznych. System ustrojowy państw socjalizmu realnego przy istnieniu zinstytucjonalizowanej lub tylko faktycznej, kierowniczej roli partii marksistowskiej jest zaprzeczeniem idei parlamentaryzmu.

Z kolei, gdy krytykujący przyjmuje odmienną terminologię nazywając zjawiska adekwatnie, po imieniu, spotyka się on z zarzutem zwykłej niefachowości, niekompetencji i nienaukowości swoich wywodów. W rezultacie spotykamy często teksty krytyczne, w których autor /autorzy/ przejawiają większą troskę o społeczną /środowiskową/ percepcję tekstu, niż o sedno omawianych w nim problemów. Jeżeli spotykamy teksty merytorycznie rzetelne, to prezentują one peryferyjne problemy prawa w państwach socjalizmu realnego, oczywiście bez tego ostatniego określenia.

3. W pierwszym państwie socjalizmu realnego, w Rosji, w okresie rewolucji 1917 roku i w latach bezpośrednio po niej, istniał, przede wszystkim /jak w każdej rewolucji/, problem zdobycia władzy. Podstawowym środkiem do tego celu była fizyczna eliminacja przeciwników rzeczywistych i wyimaginowanych, przeciwników istniejących i potencjalnych. Odwieczne pytania o prawo, o jego istotę, jego funkcję społeczną, nie tyle może wówczas zanikły, ile zostały przeniesione w sferę zagadnień ujmowanych jako sprawiedliwość społeczna w rozumieniu teorii marksistowskiej*) . Zagadnienia te bliższe były ekonomii niż prawu. Ideologiczne zaś podstawy teorii marksistowskiej przyznały wyłączne prawo interpretowania tej sprawiedliwości ośrodkowi władzy, określanemu rozmaitymi eufemizmami, jak np. dyktatura proletariatu, klasa robotnicza, przewodnia siła narodu, masy pracujące itp. W rzeczywistości prawo to egzekwowała i egzekwuje wąska grupa przywódcza monopartii komunistycznej, co zostało zaakceptowane tak przez teorię, jak i praktykę marksizmu.

Marksizm, werbalnie opierający się na podstawach filozofii materialistycznej, nadał sobie miano teorii naukowej i obiektywnej. Najbardziej woluntarystyczne poglądy, opinie i twierdzenia, formułowane na gruncie marksizmu, zyskały automatycznie przmiotniki naukowych i obiektywnych. Dotyczy to tak nauk przyrodniczych, jak i społecznych, a więc i nauki prawa.

Cechą podstawową i fundamentalną marksistowskiej koncepcji prawa jest wyjątkowo silnie wyeksponowany związek państwa i prawa tak w rozumieniu genetycznym, jak i funkcjonalnym. Marksistowska koncepcja państwa odcina się wyraźnie od tych koncepcji państwa, które kładą nacisk na wspólne wartości i interesy społeczności w nim zorganizowanych. Marksizm wyklucza organistyczną koncepcję społeczeństwa global-

---

*) Jeden z pierwszych radzieckich teoretyków nauki prawa, Suczka, wręcz pisał o klasowej służebności prawa, podobnie jak inny radziecki teoretyk tego okresu, Reisner. W rezultacie teoretycy ci dochodzili do tego samego wniosku co Carl Schmidt, niemiecki teoretyk "Koronny jurysta" III Rzeszy, wg. którego państwo nie może być związane prawem, ale samo określa treść swoich decyzji. Marksizm operuje wprawdzie pojęciem klasy, ale jest to przecież podstawowa kategoria państwa w tej doktrynie.

nego zorganizowanego w państwo, kładąc nacisk
względnie, współcześnie, na tzw. elementy post
nym społeczeństwie. Od czasów Lenina do dzisia
którym władzę mają komuniści, nie jest arbitr
interesami występującymi w danym społeczeństwie, ni
nie i osłabienie tych sprzeczności, czy to w drodze
integracji a tylko reprezentowanie interesów jedne
stwa, z dążeniem do bezwzględnego podporządkowania
Z tym, że część społeczeństwa reprezentowana przez
żadną klasą społeczną a tylko samą grupą władzy i je
związanymi. Stąd silne uprzywilejowanie wojska, policji i osób z
ratu partyjno-administracyjnego. Temu celowi służą wszystkie
ne państwu środki, wśród których znaczną rolę odgrywa prawo. Z tym
go, doktrynalnego założenia, prawo w systemie państw socjalizmu re
nego ma służyć przede wszystkim do bezwzględnego podporządkowania
wszystkich grup w społeczeństwie, które z jakichkolwiek przyczyn /e
konomicznych, religijnych, poglądowych itp./ wykazują w stosunku do
tego państwa jakikolwiek stopień niezależności. W rezultacie, n
gruncie marksistowskiej teorii prawa traci sens rozpatrywanie prawa
w aspekcie tego, co nazywa się sprawiedliwością, mimo że termin ten
jest tak bliski wszelkim ludzkim prawnym intuicjom. Byłoby to oczyw
rozpatrywanie prawa w płaszczyźnie wartościującej /aksjologicznej/
a ona, jak zgodnie twierdzą marksistowscy teoretycy prawa, nie m
cji bytu na gruncie marksistowskiej teorii prawa*) .

Niewyeksponowaną teoretycznie, ale mającą ogromne konsekwencje, jest zasada państw realnego socjalizmu, utożsamiająca pojęcia aktual-nej władzy z pojęciem prawa. Każda decyzja władzy przybiera
nie postać prawną, co daje jej automatycznie rangę czegoś nie
żalnego.

Silny związek państwa z prawem, tak silny, że w rezultacie
wadził do utożsamienia się władzy z prawem, uważam za podstawową cechę państwa socjalizmu realnego. Wszystkie inne cechy i właściwości tego prawa są jej pochodnymi.

4. Bez pretendowania do pełnego wyliczenia i omówienia cech prawa w państwach socjalizmu realnego, wypada wskazać na najbardziej z nich charakterystyczne:

Niestałość prawnych rozwiązań. Podstawowa przyczyna tej niestałości tkwi w braku względnie trwałych pozytywnych koncepcji władzy. Życie aktów prawnych jest krótkie, ponieważ są one tylko aktualnym odbiciem decyzji władzy. A ponieważ decyzje władzy ulegają częstym zmianom, tak samo często zmieniane są przepisy prawne. Nie miejsce tu na szczegółową analizę tych aktów prawnych. Warto jednak wskazać, że w Polsce sama tylko konstytucja w ciągu ostatnich 30-tu lat była zmieniana wiele razy**). W ten sposób obowiązek przestrzegania

---

*) K.Opałek i J.Wróblewski "Zagadnienia teorii prawa", W-wa 1969, s. 35 oraz W.Lang, J.Wróblewski, S.Zawadzki "Teoria Państwa i Prawa", W-wa 1979, s.38-39.

**) Zmiany Konstytucji PRL /1952-1985/:

a/ Dz.U. z 1954 nr 43 poz.190 /wprowadzenie gromad i gromadzkich Rad Narodowych w miejsce gmin/.
b/ Dz.U. z 1957 nr 61 poz.329 /likwidacja Ministerstwa Kontroli Państwowej i powołanie w to miejsce NIK-u/
c/ Dz.U. z 1960 nr 57 poz. 322 /zmiana ordynacji wyborczej do Sejmu/.
d/ Dz.U. z 1961 nr 25 poz.120 /zmiana ordynacji wyborczej do Rad Narodowych/.
e/ Dz.U. z 1963 nr 57 poz.306 /zmiany dotyczące Rad Narodowych i ich komisji/.
f/ Dz.U. z 1972 nr 49 poz.311 /zastąpienie gromad i osiedli gminami/.
g/ Dz.U. z 1973 nr 38 poz.222 /wprowadzenie jednoosobowych organów

konstytucji nie oznacza nic innego, jak tylko obowiązek przestrzegania aktualizowanych decyzji władzy, przyjmujących postać postanowień konstytucyjnych. Jak wynika z oficjalnych informacji rządowych, tylko w ciągu dwóch lat /1982 i 1983/ Sejm PRL uchwalił 92 ustawy, a więc średnio jedną tygodniowo. A przecież w tym samym czasie Sejm ten uchwalił również inne akty prawne. Ile?? Te nowe ustawy nie regulują jakichś zupełnie nowych obszarów życia społecznego, lecz zmieniają poprzednie uregulowania, często takie, które nie zdążyły jeszcze na dobre "wejść w życie". Sejm zyskuje opinię pracowitego, ponieważ każdorazowo, na ogół jednomyślnie, nadaje postać prawną coraz to nowym decyzjom władzy.

Specyficzne pojmowanie zasady praworządności. Nieprzestrzeganie prawa w państwach socjalizmu realnego rodzi się na etapie stanowienia prawa. Omówmy to nieco szerzej. Relacje obywatel-organy państwowe określone są przez prawa i obowiązki obywatelskie wymienione w akcie prawnym o charakterze konstytucyjnym, o wydane dla ich realizacji poszczególne akty prawne, jak kodeksy, ujmujące całościowo gałęzie prawa, ustawy o mniejszym zasięgu i inne akty prawne, mające zawierać szczegółowe przepisy wykonawcze. Udział obywateli w procesie stanowienia prawa jest określony w konstytucji. Udział ten przybiera szereg form, od przedstawicielskiej do konsultatywnej czy opiniodawczej. Jeżeli jednak w ujętym pionowo procesie legislacyjnym "schodzimy w dół", tym bardziej nikły staje się nawet ten formalny udział obywateli w stanowieniu prawa. Mam na myśli rozporządzenia i zarządzenia wykonawcze oraz różnego rodzaju instrukcje, wytyczne i okólniki. A przecież te najniższe akty prawne stanowią z reguły podstawę prawną dla decyzji wiążących obywateli. Problem ten najbardziej plastycznie jawi się przy zestawieniu wszystkich bez wyjątku konstytucyjnych praw obywatelskich z merytoryczną treścią aktów prawnych niższego rzędu, które prawa te konkretyzują a zarazem jednoznacznie im przeczą. Wystarczy wspomnieć tylko konstytucyjne prawo do nauki i jego konkretyzację w zarządzeniach odpowiednich ministrów, albo prawo do opieki zdrowotnej i porównać w tym zakresie sytuację "zwykłego obywatela" z sytuacją osób zatrudnionych np. w MON i MSW, nie mówiąc już o tzw. prawach wolnościowych.

Charakterystycznym jest też brak jawności prawnych reguł "gry społecznej", a więc uregulowań na linii obywatele - organy państwowe. Ten brak jawności realizowany jest rozmaicie. Najprymitywniejszym sposobem jest wydanie określonych przepisów, lecz - na ogół ze względów politycznych - nieopublikowanie ich. Reguły w takich przepisach

---

wykonawczo-zarządzających w miastach, powiatach i województwach/.

h/ Dz.U. z 1973 nr 47 poz.275 /Rady Narodowe "podstawowym ogniwem samorządu społecznego"/.

i/ Dz.U. z 1975 nr 16 poz.89 /zastąpienie trójstopniowego podziału terytorialnego podziałem dwustopniowym/.

j/ Dz.U. z 1976 nr 5 poz.29 /według tej samej ordynacji równocześnie będą przeprowadzane wybory do Sejmu i Rad Narodowych/.

k/ Dz.U. z 1976 nr 7 poz.30 /wprowadzono:
- konstytucjonalizacja roli PZPR i jej relacji do ZSL i SD art.3 ust.1
- określenie "zasad" kierunków polityki zewnętrznej PRL art.6
- poddanie NIK kierownictwu Rady Ministrów i jej Prezesa
- konstytucjonalizacja prezydium rządu
- zasada "udziału" pracujących w zarządzaniu art.13
- "zasada współzależności praw i obowiązków", zmiana w ujęciu zasady równości praw art.67/

l/ Dz.U. z 1983 nr 11 poz.83 /Trybunał Stanu, jednocześnie uchwalono ustawę o tym trybunale oraz powołanie Trybunału Konstytucyjnego/.

ł/ Dz.U. z 1980 nr 22 poz.81 /zniesienie podporządkowania NIK Radzie Ministrów/.

m/ Dz.U. z 1983 nr 39 poz.175 /konstytucjonalizacja PRON w miejsce FJN oraz zmiany w systemie Rad Narodowych/.

ustalane znane są tylko organowi stosującemu prawo w danym zakresie. Innym sposobem najczęściej stosowanym są przepisy wprawdzie jawne, opublikowane, ale takie, które zawierają dużą ilość nazw ogólnych i tzw. klauzul generalnych. Przepisy takie dają organowi stosującemu prawo możliwość dokonywania nieskrępowanej w zasadzie oceny i w konsekwencji wydawania woluntarystycznych, pozornie tylko prawnych, decyzji. Innym jeszcze sposobem bezkarnej niepraworządności jest celowy i zupełny brak regulacji prawnej w danym zakresie. Tutaj należy wyraźnie podkreślić, że nie chodzi o to, co nazywa się sferą czynów indyferentnych, albo z innego punktu widzenia milczeniem prawa, czy też tzw. lukami ocennymi, ale o posiadanie możliwości dokonywania regulacji pozaprawnych. Jest to ta sfera życia, która wcale nie wymyka się spod kontroli władzy, wręcz przeciwnie, tutaj kontrola może być pełniejsza niż kontrola prawna. Ta metoda stosowana jest nie tylko, ale przede wszystkim, w podstawowej w państwach realnego socjalizumu kwestii podziału dóbr. Rynkowe reguły dystrybucji dóbr były tradycyjnie ujęte w reguły prawne, nawet, a może w szczególności, wówczas, gdy chodziło o dobra deficytowe. W państwach realnego socjalizmu wszystkie ważniejsze dobra są rozdzielane przez rozmaite komisje /ciała o charakterze państwowym bądź społecznym, najczęściej mieszanym/ działające w oparciu o instrukcje nie mające charakteru sensu stricte prawnego a pochodzące od władzy. Rzecz w tym, że zmiana tych instrukcji, zawartych w nich preferencji itp. jest nieporównanie łatwiejsza, nie wymaga żadnego trybu legislacyjnego. Nie posiada też tego minimalnego stopnia skrępowania, jakie, mimo wszystko, powodują przepisy prawne.

Zakres prawodawstwa. Państwo realnego socjalizmu potrafi bez większych trudności uzyskać w zasadzie dowolną treść prawa. Pomijam tu podstawowe dla tej kwestii zagadnienia legitymizmu i legalizmu władzy, pomijam również kwestię autorytaryzmu i totalitaryzmu - ujmując całe zagadnienie raczej od strony skutków niż przyczyn. Otóż skutkiem podstawowym jest minimalizacja sfer prawnie indyferentnych / a więc czynów i zachowań obojętnych z punktu widzenia prawa i przez prawo nieregulowanych/. Jeżeli prawo ma służyć głównie jako narzędzie rządzących, to naturalna jest tendencja do normowania maksymalnej ilości zachowań. Inna sprawa, że władza nie jest w stanie tych wszystkich swoich aktów egzekwować. Praktycznie mobilizuje wszystkie swoje siły do realizowania tylko kilku, tj. tych, które związane są z jej bezpośrednim bezpieczeństwem. Głównie chodzi o: ordynacje wyborcze /gołym okiem wówczas widać nie kampanię wyborczą, bo ta jest zbędna, ale mobilizację władzy/. Dalej, akty prawne związane z obsadzaniem stanowisk /tu jednak nacisk bardziej jest kładziony na realizację niż same przepisy/. I w końcu liczna grupa przepisów karno-represyjnych, z których kodeks karny stanowi tylko ich część.

Większość aktów prawnych ma charakter pozorno-substytucyjny. Znaczy to, iż akty prawne mają zastępować rzeczywistość a korzysta się z nich tylko doraźnie. W tym ostatnim przypadku chodzi o kilka celów. Po pierwsze ideałem jest taki stan prawny, aby każde zachowanie potencjalnie było możliwe do oceny z punktu widzenia prawa /władzy/. Paraliżuje się w ten sposób niepożądane inicjatywy jednostek właśnie przez zminimalizowanie sfer prawnie indyferentnych. Z kolei przykładem zastępowania działań rzeczywistych aktami prawnymi mogą być polska ustawa o ochronie środowiska i o jakości produkcji, czy radziecka ustawa o ochronie pokoju. Przykładów tego typu działań pozornych można dać wiele. Najogólniej jednak rzecz biorąc, celem mnogości normowań jest takie omotanie obywateli i instytucji najrozmaitszymi powinnościami, by zawsze i każdemu podmiotowi prawa można było postawić jakiś zarzut.

Bezpieczeństwo prawne w realnym socjalizmie. Dla niektórych teoretyków prawa, zlikwidowanie w prawie prawa do wolności zastąpione zo-

stało zasadą bezpieczeństwa prawnego. Z poglądami tymi można się zgodzić jedynie wówczas, gdy zasadę bezpieczeństwa prawnego będziemy rozumieć jako swoistego rodzaju konwencję, a nie będziemy przypisywać jej rozumienia intuicyjnego. W rozumieniu intuicyjnym zasada bezpieczeństwa prawnego nie pozostaje w sprzeczności z dowolnie rozumianą koncepcją prawa natury.

Za pomocą i na podstawie przepisów prawnych można zorganizować pełne bezpieczeństwo człowieka przebywającego w zakładzie zamkniętym. W biologicznym rozumieniu taki stopień bezpieczeństwa może być wyższy niż bezpieczeństwo człowieka wolnego. Jeżeli powyższy opis zasady bezpieczeństwa przyjąć za skrajny, to na jego przeciwległym biegunie jest pełna wolność człowieka. W ten sposób zasadę bezpieczeństwa prawnego należy rozumieć jako przeciwieństwo zasady wolności. Jest truizmem, że życie w zorganizowanym społeczeństwie narzuca człowiekowi wiele ograniczeń. Granice między wolnością a koniecznymi ograniczeniami winno wyznaczać prawo. Co innego jednak wyznaczać granice wolności, a co innego zastępować wolność bezpieczeństwem prawnym, tym bardziej jeśli prawo ma taki charakter jak prawo państw realnego socjalizmu. Na czym polega zasada bezpieczeństwa prawnego w państwach realnego socjalizmu? Praktycznie polega na zabezpieczeniu, przy pomocy przepisów prawa, minimum egzystencji. A w każdym razie chęć takich działań można zauważyć. Czasem, ale już nie zawsze, może chodzić o zabezpieczenie minimum socjalnego. Ceną za tego rodzaju zabezpieczenie jest całkowite "zrzeczenie się" wolności. Na tym, moim zdaniem, polega konwencjonalność zasady bezpieczeństwa prawnego, która to zasada w warunkach państwa realnego socjalizmu jest po prostu nowocześniejszą w formie /niż czerwony czy brunatny obóz pracy/ kontrolą nad człowiekiem, nad jego zachowaniami i postawami.

5. Na koniec, nia sposób nie ustosunkować się jasno i wyraźnie, w oparciu o powyższe rozważania, do kwestii zasadniczej, tj. problemu praworządności w państwach realnego socjalizmu. Problem ten jest zasłonięty parawanem tradycyjnych ujęć praworządności, co uniemożliwia wgląd w istotę zagadnienia. Samo postawienie pytania, czy w państwach tych przestrzegana jest zasada praworządności i próby odpowiedzi na tak postawione pytanie jest - jak sądzę - początkiem błędnej drogi. Należy pytanie sformułować inaczej. Czy rozważając /biorąc pod uwagę/ rodzaj prawa w państwach realnego socjalizmu można /należy?/ posługiwać się klasycznym niejako rozumieniem praworządności, czy też próbować określić ją w konwencji właściwej prawu państw realnego socjalizmu? Wydaje się bowiem, że analiza stosunków społeczno-prawnych w tych państwach z punktu widzania praworządności rozumianej jako przestrzeganie prawa przez cały aparat państwowy i jego agendy*) jest raczej bezpłodna. Żyjąc w którymś z tych państw, obserwując i analizując różne stosunki prawne, czy szerzej, relacje obywatel-państwo, nie zauważa się, by aparat państwowy i jego agendy rażąco i nagminnie naruszały prawo. Jeżeli tak, to najczęściej są to przypadki będące wynikiem zwykłego niedbalstwa czy też poczucia bezkarności poszczególnych funkcjonariuszy, bądź są to spektakularne przypadki naruszania prawa, występujące w chwilach napięć społecznych, wywołujących zaskoczenie władz i ich nerwowe reakcje. Na ogół jednak prawo w państwach realnego socjalizmu jest przestrzegane. Takie stwierdzenie /być może kontrowersyjna/ rodzi pytanie - dlaczego jest tak źle, skoro jest "tak dobrze"? Otóż dlatego, że problam praworządności w państwach realnego socjalizmu należy właśnie widzieć inaczej niż żąda tego tradycyjne, powstałe w odmiennych warunkach, prawodawstwo. Inaczej, tzn.

---

*) Najogólniej rzecz biorąc, przez to, co nazywam agendami aparatu państwa rozumiem partie i stronnictwa polityczne, a także niektóre organizacje zwana społecznymi, a które faktycznie realizują zadania państwa.

w sposób konsekwentnie uwzględniający cechy praws w tych państwach. Mówienia o praworządności w sposób abstrakcyjny, bez uwzględniania sposobów tworzenia tego prawa, jego formy i treści, traktowanie praworządności hasłowo, daja tylko formuły zewnętrznie mniej lub bardziej poprawne, ale zawsze nieprawdziwe. Aparaty i agendy państw realnego socjalizmu mogą sobie pozwolić na respektowanie zasady praworządnośoi tylko dlatego, że n i e m a j ą p o p r o s t u potrzeby n i a p r z e s t r z e g a n i a p r a w a. Wspomniana już uprzednio łatwość w uzyskiwaniu formy i treści prawa, oraz fakt licznych i częstych jego zmian, powodują, że nie ma konieczności jego nieprzestrzagania. Państwa te nie napotykają na większe przeszkody w ustalaniu korzystnego dla nich porządku prawnego. Tak więc, problem niepraworządności państw realnego socjalizmu nie leży w płaszczyźnie stosowania prawa a w płaszczyźnie jego stanowienia. Niezrozumienie tej właśnie kwestii rodzi fałszywe poglądy na temat praworządności w tych państwach. Z kolei jest to wynik, jak wspomniałem wyżej, ujmowania i oceniania prawa i zjawisk prawnych w państwach realnego socjalizmu w kategoriach tradycyjnych pojęć i terminologii. Właśnie przy pomocy tych pojęć preworządność rozpatrywana jest jeko problem przestrzegania istniejącego prawa i w ten sposób marksistowscy teoretycy prewa rozprawiają się z problematyką praworządności w sensiw formalnym.

Pozostsje jeszcza kwestia praworządności w sensie materialnym, ele tą msrksistowska nauka prawa nie zsjmuje się, przerzucając całą problematykę w sferę zagsdnień tzw. sprewiedliwości społecznej, rozstrzyganej sposobami, o których pisełem ne początku tego oprscowanis wspominając problem klasowości jako podstawy dla teorii państwa i prawa w reslnym socjalizmie.

Tek więc rozważając - niejako klasycznie - problem praworządności uzyskuje się obraz prawa i stosunków prawnych, łstwy w gruncie rzeczy dla percepcji społecznej, a tekże mieszczący się w kategoriach właściwych prawodawstwu psństw cywilizowsnych. Całkowicie inny charakter prewa w państwach realnego socjalizmu został skutecznie zakamuflowany, przez pozostawienie szaty zewnętrznej prswa właściwego cywilizacjom zachodnioeuropejskim.

WACŁAW MAJEWSKI

CZŁOWIEK W ROZERWANEJ KOSZULI

A. Michnikowi

Kiedy pedał z pewnością nie miał świadomości, że otwiera dyskusję nsd polskim petriotyzmem i granicami obywstelskiej odpowiedzialności. Targsny rozpsczą i żalem, myślał być może o rodzinnym Nowogródku, może o niezałatwionych sprawach, a może, leżąc tam pod drzwiami sali sejmowej, przeklinsł ludzi, którzy kszsli mu "z hazardem życia i majątku" bronić dobrego imienia kreju.

Kiedy usłyszeł ned sobą szyderczy śmiech stronników Ponińskiego miał 27 let. Jeszcze wierzył, że pomoże król, że historis okaże się łaskawa, że wybierze wariant sprswiedliwy. Nie rozumiał, że w tej walce nie ma miejsce na ludzkie gesty, że 24 000 dukatów wypłaconych Ponińskiemu to najzwyklejsza premia motywacyjna. Nie mając żadnych szans przyjmuje walkę. A potem, kiedy wrzawa ucichnie, zaczną się długie, pełne urojeń noce. Będą się stawać coraz dłuższe, aż wyprą dzień, rozerwą spokój. Dawno minął kwiecień 1773 roku. W szpitalu pod wezwaniem św. Jana Bożego, przy milczącej asyście ojców Bonifratrów, próbuje Tadeusz Rejtan wyleczyć się z Polski. W zapachu potu, nieskutecznych mikstur, zmierza młody poseł do celu swej wędrówki.

Aż któregoś dnia, słysząc stukot kopyt końskich w chorej wyobraźni podejmuje strsszliwe podejrzenie. Po raz drugi poatanawia powiedzieć "nie". Tłucze szybę i połyka odłamki szkła. Jest 8 sierpnia 1780 roku. "Umierał pewnie długo, w męczerniach, nie wiedząc, że w pamięci swego narodu pozostanie żywy na zawsze..."

To oststnie zdanie pochodzi z opowiedenia M.Brandysa "Z dwóch stron drzwi". Przypomniałem tregiczne losy nowogródzkiego posła w związku z tą kilkudziesięciostronicową książeczką, której wydanie powinno stać się początkiem dyskusji o polskim heroizmie. Opowiedanie Brandysa opiera się ns prostym, choć niezwykle nośnym pomyśle zestawienia trzech postaci historycznych: T.Rejtana, J.Suchorzewskiego i J.Zawieyskiego z włączeniem narratora jsko swoistego świedks "imaginacji".

Tsdeusz Rejtan - syndrom polskiego patriotyzmu, tragiczny, unicestwiający, w jakimś stopniu przerażający, piękny. W pragmatyce dnia codziennego jego gest interpretowany jest często jako enschroniczny, świsdczący o całkowitym braku doświadczenie politycznego. "Ci wszyscy co mówią, że nic się nie zmieni bo z jednej jest Rosja a z drugiej jest Niemiec" jak śpiewa J.K.Kelus. Ci szarzy obywatele PRL idący głosować mimo pełnej świsdomości bezsensu, ludzie tłumaczący się, że mają coś do stracenia /zwykle paszport, kontrakt, kerierę/, oni próbują ośmieszyć postawy Rejtanowskie mówiąc: co to dało? Trsktowanie wartości w kategoriach użyteczności wywodzi się z myślenia mieszczańskiego i stało się ostatnio wygodnym parawanem oportunizmu i konformizmu. Komunizm niszcząc jednostkę pozwolił nam zapomnieć, że człowiek jest przede wszystkim "personą", istotą moralną, bo jak mawiał stary Kant, potrsfiącą oddać życie za to, co niewidzisIne. Istnieje coś, co młodemu, racjonalnie myślącemu posłowi czy doświedczonemu członkowi KC każe poświęcić wygodne, świetnie rozwijające się życie. Rozerwana koszula ma wymiar etyczny, choć historycznie nieważny. T.Rejtan nie zmienił biegu historii, zmienił swoje życie, zniszczył je, ale leżąc pod drzwiami sali sejmowej wystąpił w obronie wartości, zmierzył się z nimi i w tej jednej chwili, kiedy powiedział "nie", sięgnął Absolutu, zrealizował cel życia, uświęcił je, by potem zacząć umierać. To umieranie trwało 7 lat. Ci, którzy pytają: czy werto, proces umierania zaczęli wcześniej niż Rejtan czy Zawieyski.

Ode mnie nic nie zależy, oni i tak zrobią co zechcą - od tych słów zaczyna się umieranie, przyznanie się do nieistnienia, pozbawienie się prawa do decydowania o własnym losie. Sprzeciw stwierdza istnienie granicy ludzkiej suwerenności, a więc jest dowodem na nasze bycie. Odmowa jest prawem, gloryfikuje ją fakt dobrowolnego ryzykowania życiem /obojętnie w jakim stopniu/. Jak pięknie powiedział prof. J.Tischner "Człowiek służy wartościom - realizując je, wartości służą człowiekowi - ocalając go". W jaki sposób ocaliły życie T.Rejtanowi czy J.Zawieyskiemu? Ano w bardzo prosty - nadając mu sens. Sensem zaś, z pewnością, jest uświadomienie sobie istnienia powinności, owego imperatywu kategorycznego, który wiąże nasze życie z wartością. Obrona tych wartości wymaga, oczywiście, pewnej odwagi, bowiem zskłada ludzką reakcję w nieludzkim świecie. Ale jest to odwaga na poziomie człowieczeństwa, kto się jej wyrzeka - umiera. To strach jest źródłem nienawiści, zaślepienia, zgody na współpracę. Samo widzenie prawdy, dostrzeżenie wartości, wymaga odwagi, ponieważ zakłada wyjście z siebie, zapomnienie o sobie. Strach towarzyszy ludziom pozbawionym owej świadomości, zmusza ich do nieustannych ustępstw, ponieważ nie widzą niczego, na czym można by się oprzeć. Kolejne ustępstws budzą w końcu uczucie obrzydzenia do samego siebie, rodzi się "filozofia dna", gdzie wszystko przestaje mieć znaczenie, aż do całkowitego zeszmacenia /o czym zresztą świetnie wiedzą pracownicy SB/. Jedynym sposobem przerwania tej reakcji łańcuchowej jest dokonanie wyboru. Sam moment wyboru czyni człowieka wolnym, a więc spokojnym /rozmowy przeprowadzone z niedoszłymi samobójcami potwierdzają fekt, iż

sama decyzja o przerwaniu życia uspokajałe pacjentów, to co następowało później odbywało aię jakby rozpędem, albo chęcią pogłębienia uczucia wolności i spokoju/.

Współcześni Rejtanowie nie rozrywają koszul, mówią spokojnym, nieco drżącym głosem do mikrofonu, który, choć zwielokrotnia ich słowa, do nikogo nie trafia. Współcześni Rejtanowie o twarzy Jerzego Zawieyskiego bronią studentów, irracjonalnie wierząc, że ocaleją tylko dlatego, że mają rację. Są postaciami tragicznymi, ponieważ tragiczne są powikłania, które mają znamiona nieuchronności. Wybór na posła jest w tych przypadkach wyborem na Hioba.

- Cóż z tego - usłyszymy - kiedy przegrali?

I to jest kolejny mit pieczołowicie chroniony i podsycany przez tzw. milczącą większość. Bo co to znaczy : przegrali? Że nie zmienili politycznych dziejów Polski? I tak, i nie. Rzeczywiście, mimo ich odmowy wypadki potoczyły się dalej, polityka nie wchłonęła ich, poszarpała i wypluła, ale przyjmując taką postawę stworzyli podwaliny pewnego określonego myślenia politycznego, które kiedyś z pewnością da o sobie znać. Kto dziś pamięta kolegów Ponińskiego, tę bezimienną masę potekiwaczy, którzy wyłonili się z ciemności dziejów, zaprzepaścili swoją szansę i w ciemność powrócili.

- Czy umierając mieli świadomość porażki? Z całą pewności nie! Samobójstwo Rejtana mimo ciężkiej choroby jest dowodem, że pragnął do końca zachować niezależność. Każdy z nich w tej ostatniej godzinie musieł sobie zedać pytsnie rudymenterne: czy w obliczu zła zrobiłem wszystko? Wszystko, czyli życie. Nie można zrobić nic ponad utratę życie. Ale decydując się ne zapłecenie tej najwyższej ceny deli świedectwo, jak głęboko byli zespoleni z wartościami, które wg. M.Schelera istnieją przecież w sposób idealny, czyli, jak blisko dotarli do Absolutu, do Boga.

Bunt jest ucieczką przed śmiercią. Jest radością walki. Jest formą miłości. Upadając w temten kwietniowy poranek 1773 roku T.Rejtan klękał przed prewdą swojego życia, oślepiony i szczęśliwy sięgał po to, czego większość z nas szuka nadaremnie. W tamten kwietniowy porenek Tedeusz Rejtan otworzył drzwi i zobaczył nad sobą zapomniene niebo gwiaździste.

ANDRZEJ WIERNIKOWSKI

REJTAN CZYLI RAPORT AMBASADORA

(MATEJKO)

Wesze Wieliczestwo, na wstępie spieszę donieść:
Akt podpiseny i po naszej myśli brzmi.
Zgodnie z układem wyłom w Litwie i Koronie
Stał się dziś faktem, czemu nie zaprzeczy nikt;

Muszę to wspomnieć jednek o gorszącej scenie,
Której wspomnienie budzi we mnie żel i wstręt,
Zwłaszcza że miała ona miejsce w polskim sejmie,
Gdy podpisanie paktów miało skończyć się.

Niejaki Rejtan, zresztą poseł z Nowogrodu,
Co w jakiś sposób jego krok tłumsczy mi,
Z szaleństwem w oczach wszerz wyciągnął się na progu
I nie chciał puścić posłów w uchylone drzwi.

Koszulę z piersi zdarł, zupełnie jak w teatrze,
Polacy - czuły naród - dali nabrać się:
Niektórzy w krzyk, że już nie mogą na to patrzeć,
Inni zdobyli się na litościwą łzę.

Tyle hałasu trudno sobie wyobrazić!
Wzniesione ręce, z głów powyrywany kłak.
Ksiądz Prymas siedział bokiem, nie widziałem twarzy,
Evidemment, nie było mu to wszyatko w smak.

Poninskij wezwał straż - to łajdak jakich mało,
Do delszych spraw polecem z czystym sercem go,
Branickij twarz przy wszystkich dłońmi zakrył celą,
Szczęsnyj Potockij był zupełnie comme il faut.

I tylko jeden szlechcic stary wyszedł z sali,
Przewrócił krzesło i rozsypał monet stos,
A co dziwniejsze, jek mi potem powiadali,
To też Potockij! /Ale całkiem autre chose/.

Tak à propos, jedna z dwóch dam mi przydzielonych
Z niesmakiem odwróciła się wołając - Fu!
Niech Ekscelencja spojrzy jaki owłosiony!
/Co było zresztą szczerą prawdą, entre nous/.

Wszyscy krzyczeli, nie pojąłem ani słowa.
Autorytetu władza nie ma tu za grosz,
Więc bez gwarancji nadal dwór ten finansować
To może znaczyć dla nas zbyt wysoki koszt.

Tuż obok loży, gdzie wśród dam zająłem miejsce,
Szaleniec jakiś /niezamożny, sądząc z szat/
Trójbarwną wstążkę w czapce wzniósł i szablę w pięści -
Zachodnich myśli wpływu niewątpliwy ślad!

Tak, przy okazji - portret Waszej Wysokości
Tam wisi, gdzie powiesić poleciłem go,
Lecz z zachowania tam obecnych można wnosić
Że się nie cieszy wcale należytą czcią.

Król, przykro mówić, też nie umiał się zachowsć,
Choć nadal jest lojalny, pragnę stwierdzić to;
Wszystko, co mógł - to ręce do kieszeni schować,
Kiedy ten mnisi lis Kołłątaj judził go.

W tym zamieszaniu spadły pisma i układy.
Zdrajcy! Krzyczano, lecz do kogo, trudno rzec.
Polityk przecież w ogóle nie zna słowa "zdrada",
A politycznych obyczajów trzeba strzec.

Skłócony naród, król niepewny, szlachta dzika
Sympatie zmiania wraz z nastrojem raz po raz.
Rozgrywka z nimi to nie żadna polityka,
To wychowanie dzieci, biorąc rzecz en masse.

Dlatego radzę: Nim ochłoną ze zdumienia
Tą drogą dalej iść, nie grozi niczym to;
Wygrać, co da się wygrać! Rzecz nie bez znaczenia,
Zanim nastąpi europejskie qui pro quo!

JACEK KACZMARSKI

Polska rewolucja kulturalna

"Bardzo zachęcające, myślę, jest to, że tutaj marzenie Merksa się spełnia" - powiedział Kurt Vonnegut w czasie swojej niedawnej wizyty w Polsce wiodącemu periodykowi podziemia "Tygodnikowi Mazowsze". Miał na myśli marksowskie "marzenie o obumierającym, czy raczej ignorowanym, państwie". Wyszukany pogląd Vonneguta wychwytuje nadzwyczajną jakość dzisiejszego polskiego życia intelektualnego. To właśnie tutaj istnieje państwo komunistyczne, w którym najlepsi pisarze drukowani są w podziemnych wydewnictwach, najlepsi dziennikarze piszą dla pism podziemnych, najlepsi nauczyciele precują poza szkołą; państwo, w którym zakezane zespoły teatralne nadal pokazują swoje przedstawienia w klasztorach, podczas gdy wyrzuceni z pracy profesorowie kontynuują wykłady jako "goście nieoficjalni" na swoich własnych seminariach; państwo, w którym kościoły są także szkołami, salami koncertowymi i galerismi sztuki. Cały świat nauki i kultury istnieje całkowicie niezależnie od państwa, które rości sobie prawo jego kontroli. Rzeczywisty świat świadomości unosi się swobodnie i wysoko, jak trumna Mahometa, poned fałszywym światem bytu.

Oczywiście, kszde polskie dziecko szkolne wie, iż od czasów rozbiorów misją inteligencji było podtrzymywanie narodu i ochrona jego kultury wbrew siłom politycznym, jakimikolwiek by one nie były. Ta romantyczna wersja noblesse oblige jest w duchu tradycyjnej polskiej definicji intelektualisty lub szerzej, członka wykształconej klasy - inteligenta. Jest to tradycyjne, idealistyczne samookreślenie, w którym Idea bierze absolutne pierwszeństwo nad rzeczywistością, świadomość determinuje byt. W warunkach brsku wolności głosi ono zasadę: Jak Gdyby. Staraj się żyć, jak gdybyś żył w wolnym kraju, chociaż dzisiaj twoją pracownią jest cela więzienna. Podobnie ujął to współczesny polski poeta, Ryszard Krynicki, w wierszu dedykowanym Adamowi Michnikowi:

> ... żyjąc tu i teraz
> trzeba udawać, że żyje się gdzie indziej i w innych czasach
> i co najwyżej walczyć z umarłymi
> przez żelazną kurtynę obłoków

Jednak w połowie lat siedemdziesiątych, kiedy Krynicki pisał te strofy, liczba intelektualistów, którzy istotnie próbowali żyć według zassdy Jak Gdyby, była ciągle niewielka. Rzeczywiście, w latach Gierka typowy student czy pracownik uniwersytecki był cyniczny wobec wszystkich idei i ideałów, prawie nie myśląc deklerował się bez żadnego przekonania za rządzącą ideologią, na tyle, na ile służyło to realnemu celowi życia: poważnemu dążeniu do osiągnięcia poprawy materialnej i prywatnego szczęścia.

To, co przekształciło "dysydencką" mniejszość w "dysydencką" większość, to rewolucjs "Solidarności" z lat 1980 i 1981. Rewolucja "Solidarności" była rewolucją świadomości. To, co zmieniła ne trwałe, to nie instytucje czy stosunki własności lub warunki meterialne, ale ludzkie umysły i postawy. "Solidarność" - powiedział krakowski teolog Józef Tischner - "jest olbrzymim lasem sadzonym przez przebudzoną świadomość". Poza frontową linią konfrontacji pomiędzy solidarnościowym przywództwem narodowym i władzami komunistycznymi, miliony ludzi w całym kraju - w fabrykach, biurach, uniwersytetech, szkołsch - nagle stwierdziły, że nie muszą już dłużej prowadzić podwójnego życia, że mogą publicznie powiedzieć to, co myślą prywatnie. Zaczęły odkrywać prawdziwe fakty dotyczące ich kraju, jego historii, ekonomii, przywilejów klasy rządzącej, stosunków ze Związkiem Redzieckim; i doświsdczyły po raz pierwszy wolności słowa, wolności zgromadzeń, demo-

kratycznych wyborów i smsku samorządności. Przez niewiele miesięcy rzeczywiście było tak, jak gdyby miliony ludzi żyły w wolnym kraju. Z zasady, im ktoś był młodszy, tym intensywniejsze było doświadczenie - studenci i uczniowie szkolni byli wśród najbardziej aktywnych i radykalnych. W tym czasie, przy zawalającej się gospodarce, państwo miało coraz mniej dóbr materialnych, przy pomocy których mogłoby zwabić młode pokolenie z powrotem ku zewnętrznemu konformizmowi.

Po ogłoszeniu przez generała Jaruzelskiego "stanu wojennego" w grudniu 1981 r. ta przekształcons i pobudzona młoda inteligencja rzuciła się z pasją do roboty w opozycji - konspiracyjnie lub otwsrcie, biernie lub aktywnie. Wielu widziało siebie jako /nie stosującyoh środków przemocy/ spadkobierców Armii Krajowej czasów wojny, w której także przeważała młoda inteligencja. Niektórzy poszli "w podziemie", zaczęli się ukrywać, czytając książki o AK w poszukiwaniu praktycznych rad o organizacji konspirscji. Inni zaczęli żyć w "półkonspiracji" odchodząc cichaczem wieczorem /upewniając się, czy aby nie mają ze sobą białego fiate używanego przez tejną policję/, aby naprawić starannie ukrytą msszynę offsetową i wydrukować kilke setek agzemplarzy najnowszego pisma nieoficjalnego czy książki o AK. Inni, których było tysiące, pomagali rozprowadzać i chciwie konsumowali tę nieoficjalną literaturę. Nikt nie wie jak dużo jej wydano. W Warszawie podeno mi szacunkową liczbę 1600 tytułów periodyków z ważnym zastrzeżeniem, że wiele tytułów przetrwsło tylko jedno lub dwa wydania.

Dzisiaj ten świat niezależnej kultury - kultury rozumianej w najszerszym sensie - jest, prawdę powiedziawszy, najszerszym polem opozycji w Polsce, albowiem "Solidarność" robotnicza, która pierwotnie stworzyła miejsce dla tej rewolucji kulturalnej, zostałs zduszona i podzielona. Oczywiście, nsrodowe przywództwo nsdal istnieje, pod ziemią i na ziemi, jego oświadczenia ciągle mają wialkie znaczenie symboliczne, ale nie ma ono już zdolności zorganizowania efektywnej, ogólnokrajowie akcji przemysłowej. Choćby dlatego, że rząd znowu więzi przywódców "Solidarności". Po emnestii w lipcu ubiegłego roku w polskich więzieniach było prawdopodobnie mniej niż czterdziestu więźniów politycznych. Teraz jest ich co najmniej 160, a reżym forsuje w Gdańsku proces Adama Michnika, Bogdana Lisa i Władysława Frasyniuka. Podstawowe jednostki "Solidarności", komitety fabryczne, tam gdzie istnieją, w oparciu o codzienną działalność nie mogą funkcjonować jak związki zewodowe reprezentujące rzeczywiste interasy sił pracowniczych - co jest, ostatecznie, ich raison d'être. /Nie powinno to sugerować, że robotnicy są usatysfekcjonowani, lub że kolejna podwyżka cen mięsa nie sprowokuje strajków i protestów. Dalako do tego. Strajki jednak będą najprewdopodobniej sporadyczne, spontanicznie i niekontrolowane - przypominające przedsolidarnośoiowe formy ekcji przemysłowej - a jedną rzeczą, którą ten rząd z pewnością potrafi robić, to łamanie strajków.

Byłoby z pewnością błędem kreślić zbyt zdecydowaną linię podziału pomiędzy robotnikami i inteligencją. Jednym ze znamion "Solidarności" w letach 1980-1981 były ścisłe więzy ustanowione między intelektualistami i robotnikami i wiele z tych powiązań przetrwało. Są one symbolizowane na najwyższym szczeblu przez stosunki pomiędzy Wałęsą i jego doradcami. Ponadto, większość ludzi zaangeżowanych w wytwarzanie niezależnej kultury dokłada wszelkich starań, aby była ona dostępna również dla robotników.

W mieście stali, w Nowej Hucie pod Krakowem, istnieje, na przykład, "Chrześcijański Uniwersytet Robotniczy" działający w opsrciu o potężny, nowy, poświęcony przez Papieża podczas jego ostatniej wizyty, kościół w Mistrzejowicach. Tutaj ksiądz Jencarz, który dla hutników z Nowej Huty jest tym, czym dla hutników z Huty Warszawa był ksiądz Popiełuszko, zorganizował regularne wykłady, filmy, koncerty, stałą wystawę fotografii oraz - co sam nazywa "niezależną telewizją" - nagrania wideokasetowe, głównie wywiady ze sławnymi Polakemi. W czasie re-

gularnej, cotygodniowej "Mszy Świętej za Ojczyznę" /tradycje zapoczątkowana w Wsrszawie przez księdza Popiełuszkę/, w której uczestniczyłem jednego wieczoru, orkiestrs i chór Filharmonii Krakowskiej odśpiewały Chorał Alleluja z Mesjasza Haendla, a hoża primadonna śpiewała arie z chóru organowego. Mistrzejowice wszelsko są wyjątkowe. Z reguły ludzie, którzy korzystają w największym stopniu ze świata niezależnej kultury, to - niechybnie - ci, których zawodem jest myślenie a narzędziem słowo.

Weźmy studenta pierwszego roku uniwersytetu w Warszawie, Krakowie, Wrocławiu, Poznaniu czy Gdańsku. /Rzeczy mogą się mieć trochę inaczej w mniejszych miastsch/. Jeśli ma szczęście, jego nauczyciel uniwersytecki będzie nauczał według progrsmów uzgodnionych w okresie "Solidarności". W dodatku może korzystać z tego czy innego spośród Zeszytów Edukacji Narodowej /znanych w polskim akronimie jako ZEN/, przedstawiających , na przykład, prawdziwy obraz udziełu Polski w drugiej wojnie światowej. ZEN-y są publikowane przez Komitet Edukacji Narodowej - jeden z trzech nieoficjalnych, współprscujących komitetów /pozostałe dwa to Społeczns Rada Nauki oraz Komitet Kultury Niezależnej/, których anonimowi członkowie są, nie licząc Kościoła, odpowiedzialni za koordynację znecznej części polskiego niezależnego życia kulturalnego.

Zjawiając się ne uniwersytecie nasz student znajdzie w sali wykładowej niemal zupełną wolność słowa. Jedno z konwersatoriów jego pierwszego semestru może być poświęcone "krytykom totalitaryzmu" - Arendt, Orwell, Heyek. Podstewowe teksty - The Origins of Totalitarianism, 1984, The Constitution of Liberty i inne - są, naturalnie, publikacjami podziemnymi i mogą być zakupione od kolporterów wśród jego kolegów studentów. I rzeczywiście, powiedziałs mi jedna z wykładowczyń, że jej studenci łatwiej mogą otrzymać książki drukowane nieoficjalnie niż publikowane przez państwowe wydawnictwa. W dodatku nasz student będzie miał na swoich półkach w domu wyrywkowy wybór publikacji podziemnych: dle wisdomości aktualnych dwie bardzo gęsto zadrukowane kolumny "Tygodnike Mazowsze" /Newsweek" podziemia/; dla opinii i komentarzy jeden z wielu "nieregularnych mieaięczników" /azczególna kategoria/ - być może orwellowski numer wydawanej w Krakowie "Arki" z tekstem Normana Podhoretza z "Harper's" lub "Bez Dekretu" z kontrowersyjnym esejem o Ameryce Środkowej przedrukowanym z "The New York Review od Books", czy organ katolickiego, nerodowego ruchu Młodej Polski "Polityka Polska" z artykułami o potrzebie nowej prawicy w Polsce. W katolickim duszpasterstwie akademickim czy miejskim Klubie Inteligencji Katolickiej będzie on mógł posłuchać wiodących niezależnych intelektualistów - poprzednich doradców "Solidarności", jak na przykład Tadeusza Mazowieckiego, czy Jerzego Holzera /historyk "Solidarności"/ - mówiących na bardzo katolickie tematy. Jeśli ma szczęście, może dostać bilety na sztukę o Osipie Mandelsztamie wystawianą /bardzo pięknie/ przez poznański Teatr Ósmego Dnia. Testr Ósmego Dnia został oficjalnie zakazsny - tak więc to przedstswienie będzie misło miejsce w klasztorzy Dominikanów.

Na terenie uniwersytetu nasz student pierwszego roku znajdzie także bardzo aktywny "Samorząd Studencki" /jego tożsamość obwieszczona jest w łatwym do rozpoznania, rozwichrzonym,czerwonym na białym tle, liternictwie "Solidarności"/, który reprezentuje interesy studentów i rozdziela wszystkie fundusze przeznaczone na działalność społeczną - kluby studenckie, sport, wycieczki i inne. Rzeczywiście, jedną z najbardziej nadzwyczajnych cech obecnego polskiego życia uniwersyteckiego jest stopień wewnętrznej demokracji, który czasami przypomina bardziej umiarkowane żądania z 1968 r. na Sorbonie czy nawet Berkeley. Przed tewiciele studentów są wybierani /w tajnym głosowaniu nadzorowanym przez komitety Semorządu Studenckiego/ do ciał zarządzających uniwersytetem. Na niektórych wydziałach Uniwersytu Warszawskiego stu-

denci nie tylko mają coś do powiedzenia w sprawach dotyczących programu studiów, ale także oceniają działalność profesorów. "Otrzymałem 4,7", powiedział mi nowowybrany rektor, profesor Białkowski, z uśmiechem zadowolenia. "Jeden z moich kolegów otrzymał w ubiegłym roku 3,1", dodał rektor Białkowski. W tym roku tenże kolega przygotował lepiej swoje wykłsdy - i skoczył na 4,5.

Zarówno wybrany rektor jak i wybrani przedstawiciele studentów entuzjastycznie wychwalają się nawzajem. - "Nauczyłem się bardzo wiele od nich", mówi Białkowski - i wydaje się, że istnieje znakomite współprece między nimi. "Wie pan, wielu z nas było razem internowanych w 1982 roku", wyjaśnił jeden aktywista studencki. "Dzielenie wspólnej celi rzeczywiście pomaga budować mosty nad przepaścią dzielącą studenta i profesore". I obie strony podkreślają to, co jest być może nejznakomitszym faktem ze wszystkich: że eutonomia i wewnętrzne demokracja uniwersytetów oparta jest o literę Ustawy o Szkolnictwie Wyższym, która została uchwalona w czasie"stanu wojennego" w maju 1982 r. - o prawo, które, mimo że nie poszło całkiem tak daleko, jak projekt wypracowany gdy "Solidarność" była ciągle legalną orgenizecją, jest najbardziej liberalnym, jakie komunistyczna Polska widziała.

W tym miejscu gość z Zachodu, jeśli ma jakąkolwiek wiedzę o bloku sowieckim, a tym bardziej gość ze Wschodu, nie może dłużej się pohamować: "Jak u licha jest to wszystko możliwe w czwartym roku tak zwanej normalizacji?", zapyta. Jeśli Husák mógł wyciszyć swich inteletualistów, dlaczego nie może tego zrobić Jaruzelski?" /To pytanie od gościa radzieckiego/. Gdzie jest Państwo? Gdzie właściwie jest Partia? Niedewno jeszcze Państwo i Partie, zdawało się, zadawały również sobie samym te pytanie. Jedna oczywista odpowiedź to ta, że polski reżym ma znacznie więcej do "normalizowania". Jego pierwszym celem było zgniecenie robotniczej "Solidarności" i to zaabsorbowało większość jego politycznej zręczności i policyjnej energii. Tak więc pesymiste mógłby powiedzieć: "Jest to po prostu stara, znana taktyka salami - kiedy skończą odkrawać robotników, przejdą do intelektualistów. Poczekej i zobaczysz."

Druga spekulatywna odpowiedź to ta, że w tej początkowej fazie przywracania minimum politycznej kontroli, przy zastosowani na ogół /to trzeba powiedzieć/ minimum terroru fizycznego, współpraca z Kościołem Katolickim była /i jest?/ dla rządu Jaruzelskiego taktyczną koniecznością. I jeśli ten wielce rozwinięty świat duchowej, edukacyjnej i kulturalnej działalności, w którym wartości solidarności przez nałe "s" /głoszone przez Papieża/ są zachowywane i wprowadzane - jest to częścią ceny, jaką przywódcy Kościoła wymuszają za swoją współpracę, to reżym musi płacić tę cenę tak długo, jak długo istnieje tego taktyczna konieczność.

Jednakże, te dwie racje ciągle nie całkiem wystarczają, aby wyjaśnić dlaczego rząd Jaruzelskiego uznał taki statut swobód akademickich w pierwszym roku prawa stanu wojennego oraz dlaczego, rozwiązując stowarzyszenia pisarzy, artystów, aktorów i dziennikarzy w solidnym stylu husákowskim, jest jednakowóż wykrętnie tolerancyjny, dopuszczając otwarty krytycyzm w oficjalnej /i cenzurowanej/ prasie katolickiej i pozwelając na oficjalne publikowanie autorów, którzy skądinąd publikowali w samizdacie czy na Zachodzie.

Niektórzy sugerują, z pozorami prawdopodobieństwa, że w pierwszym roku prawa stanu wojennego reżym miał nadzieję - i może ciągle ją ma - przeciągnięcia części inteligencji na swoją stronę przez demonstracyjną tolerancję, naśladując motto Kánoaa Kádára ne Węgrzech: "Kto nie jest przeciw nam, jest z nami". Sarkastycznie zauważono, iż jeśli nia drukowano by autorów, którzy publikują nieoficjalnie, nie byłoby wcale żadnych pisarzy z reputacją i sławą, których by można drukować. Jest także coś, co mógłbym nazwać teorią personograficzną. Kilku najbliższych generełowi Jaruzelskiemu politycznych doradców - wicepre-

mier Mieczysław Rakowski, rzecznik prasowy rządu Jerzy Urban - wyszło z intelektualnego środowiska Warszewy. /Sam generał, nawiasem mówiąc, musi mieć całkiem dobre wyobrażenie o atmosferze na Uniwersytecie Warszawskim: jego córka jest studentką tego uniwersytetu/. Ci doradcy są nadal, co jest co najmniej zabawne, ne ty z przywódcami intelektuelnej opozycji. Są to ich byli towarzysze z minionych złotych dni "polskiego października" 1956 roku. Nie mogą oni przecież /ma się być może sentymentalną nedzieję/ znajdować przyjemności w pogardzie ze strony byłych przyjaciół. Nie mogą oni /być może naiwne to uczucie/ całkowicie porzucić przywiązania do swobodnej dyskusji, która była tak bardzo częścią polskiego października. Gdzieś wewnątrz nich ciągle czai się, być może, cień inteligenta *) .

Polityczne oznaki przyszłości wszelako są złe. Od jesieni 1984 r. wrez z zawierającymi pogróżki artykułami w oficjalnej prasie i przemówieniami na spotkaniach partyjnych, akcjami policyjnymi, wyrzuceniem z pracy dwóch słynnych naukowców i propozycjami nowych, represyjnych zmien w prawie, wzrosła presja na społeczność akademicką, sfery osłaniane przez Kościół i kulturę podziemną. Pojawienie się tej kampanii w przybliżeniu zbiegło się ze sprawą księdza Popiełuszki i wielu obserwatorów początkowo sugerowało, że ofensywa propagandowa przeciw Kościołowi była taktycznym quid pro quo w celu odbycia bezprecedensowego procesu jego morderców, członków tajnej policji - quid pro quo "dla Moskwy". Prawdopodobnie w tym przypuszczeniu jest element prawdy a pan Gorbaczow byłby z pewnością tak samo zadowolony, jak którykolwiek z jego poprzedników, jeśli polska partia miałaby odświeżyć się dobrą, nienawistną kampanią przeciwko Kościołowi.

Ale quid zaszedł teraz tak daleko, że stał się swym własnym quo. "Reformistyczny" tygodnik "Polityka" opublikował bezpośredni atak na Papieża, który mógłby się pojawić na stronach rosyjskiej czy słowackiej "Prawdy". "List czytelnika" w warszawskiej popołudniówce proponuje, że tak jak konfiskowane jest narzędzie zbrodni w prawie polskim, tak też skonfiskowana powinna być ambona w kościele parafialnym Lecha Wałęsy w Gdańsku. Ministerstwo Kultury i Sztuki zebrało ze wszystkich województw szczegółowe raporty o chronionej przez Kościół działalności kulturalnej. Charakterystycznie, te tajne raporty "przeciekły" do Kościoła, być może dzięki sympatykom Kościoła w samym Ministerstwie. Inny "przeciekły" dokument /częstotliwość "przecieków" jest jedną małą stroną, dzięki której Warszawa po roku 1980 stała się bardziej podobna stolicom zachodnim/ wyraźnie sugeruje, że doświadczany atak na cały świat niezsleżnego życia duchowego i kulturalnego wynika całkowicie w tym samym stopniu z własnych, wewnętrznych lęków i obaw rządu, jak i z przypuszczalnych niepokojów jego "moskiewskich przyjaciół".

Ten dwudziesto pięcio stronicowy tajny dokument z posiedzenia Rady Ministrów z 22.03.1985 jest zatytułowany"Zagrożenia w sferze społeczno-politycznej w 1985 r." Wątpliwości o jego autentyczności osłabia nie do naśladowanis nowomowa, w której dokument ten ostrzega, na przykład, przed "brakiem zrozumienia polskiej racji stanu wśród określonych twórców srtystycznych" / co należy tłumaczyć: niektórzy artyści są obraźliwi wobec Rosjan/. Co jest najbardziej uderzające w tym dokumencie /jeśli jest autentyczny/, to to, że bez ogródek wymienia on szereg rodzajów działalności ludzkiej, które kategoryzuje jako "zagrożenia w sferze społeczno-politycznej" i włącza on do tej kategorii, punkt po punkcie, dosłownie każdą niezależną działalność kulturalną.

---

*) Pamiętam jednak sprecyzowany sąd wybitnego polskiego filozofa o, żeby tak rzec, społeczno-intelektualnym statusie wicepremiera Rakowskiego. "Mietek", powiedział, gdyż byli poprzednio towarzyszami,"jest z pewnością inteligentny, ale nie jest żadnym inteligentem".

Jakikolwiek badacz stosunków politycznych, który chce utrzymywać, że reżym Jeruzelskiego jest celowo rozmyślnie "autorytarny" raczej niż "totalitarny", będzie miał trudne zadanie próbując wyjaśnić charakterystyczne cechy tego raportu.

Oczywiście jednek, wykonanie odbiega daleko od pregnień. W praktyce życie intelektualne i kulturalne jest wyemancypowane spod domniemanej totalitarnej i ideologicznej kontroli partii w stopniu niemożliwym do pomyślenia gdziekolwiek indziej w bloku sowieckim. Co więcej, rząd Jaruzelskiego usiłuje tylko formalnie użyć partii jako głównego instrumentu restauracji porządku. W praktyce kluczowymi instrumentami kontroli są teraz policja i prawo. Dążąc energicznie do ukrócenia niektórych dzisłań niezależnych przez tajną policję /jak morderstwo księdza Popiełuszki, czy ostatni atek na księdza związanego z kościołem księdza Jancarza w Nowej Hucie/, rząd jednocześnie zmienił prawo tak, iż w odniesieniu do większości form działalności solidarnościowej proces prawny stał się kontynuecją utrzymywania porządku przy pomocy innych środków.

Jest wię typowe dla reżymu Jaruzelskiego, że najostrzejsze zagrożenie wobec społaczności akademickiej powinno nadejść w formie proponowanych "uzupełnień" do Ustawy o Szkolnictwie Wyższym z r.1982. Pierwszy projekty tych uzupełnień stał się znany minionej jesieni w postaci /rozmyślnego?/ przecieku z Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego. Kilka cytatów oddaje smak tego "projektu":

W art.35 w ust. 1 skreśla się wyraz "wybieralny".
W art. 54 w ust.1 wyrazy "dokonać wyboru innej osoby" zastępuje się wyrazami "powołać inną osobę".
W art. 97 skreśla się wyraz "samorządne"
W art.100 skreśla się wyraz "samorząd studencki".

Otrzymujemy z tego ogólną ideę. Jeśli "projekt" będzie wprowadzony w życie w całości, zniszczy oczywiście prawne podstawy uniwersyteckiej autonomii i demokracji wewnętrznej: wszyscy wyżsi funkcjonariusze uniwersyteccy będą zatrudniani przez Ministra Szkolnictwa Wyższego, a nie wybierani; nauczyciele ekademiccy będą mieli raczej roczne kontrakty niż tenure; studenci będą mogli być wydaleni przez ministra jeśli "wykroczyli przeciwko zasadom wapółżycia społecznego i porządku publicznego" i tak dalej, i tak dalej.

Odpowiedź społeczności akademickiej była natychmiastowe i zdecydowana. W głównych uniwersytetach ciała zerządzające wystąpiły nie tylko z protestami, ele zorganizowały także wśród swoich pracowników referenda dotyczące głównych punktów proponowanych zmian. Na Uniwersytecie Warszawskim odpowiedzi wahały się od 74% przeciwko zmniejszeniu reprezentacji studentów i młodszych pracowników naukowych w ciełach zarządzających /nie wszyscy starsi profesorowie są tak tolerancyjni jak rektor/ do 90% przeciw nadaniu ministrowi prawa do wydalania profesorów za "działalność sprzeczną z interesami Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej".

Samorząd Studencki zorganizował swoje własne referendum, którego rezultaty zostały aterannie opracowane i przedstawione w tabelach - przeciętnie 98% przeciwko głównym punktom - a kopie wysłane do ministra, do Sejmu i do Polskiej Agencji Prasowej. Rada Główna Szkolnictwa Wyższego /składejące się z delegatów większości instytucji szkolnictwa wyższego/ w sposób bardziej ostrożny wskazała rządowi, że powinien poczekać jeszcze rok lub dwa do czesu, aż obecne prawo zostanie dokładnie wypróbowane w praktyce. I co najbardziej zaskakujące, nawet własna, faworyzowana przez rząd organizacja frontowa - Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego - zajęła podobne stanowisko.

Wydawało się przez jakiś czas, że stanąwszy wobec zjednoczonego frontu rząd mógł się wycofać. Jednakże ostatnia sesja plenarna Komitetu Centralnego partii poświęcona inteligencji zupełnie jasno wezwała do zmiany ustawy i teraz wydaje się niemal pewne, że represyjne ustalenia będą, mimo wszystko przeprowadzone przez Sejm przed upływem je-

go kadencji. Być może, aby zademonstrować "liberelizm" i dbałość o opinię publiczną, rząd złagodzi jakoś swoje oryginalne propozycje. /prawdopodobnie jest to jeden z powodów, dlaczego były one tak pozbawione skrupułów/. Niewątpliwie będzie temu towarzyszył osładzający wzrost płac - obecnie pensje akademickie aą żałośnie niskie. Nie budzi jednak żadnej wątpliwości, że jest to dążenie do ponownego ustanowienia kontroli partyjno-państwowej nad życiem akademickim.

Jak sugerowałem, odpowiedź na ten atak ze strony społeczności intelektualistów była zastosowaniem wielkiej zasady Jek Gdyby w jej uwarunkowanych i jej absolutnych, jak możne to nazwać, formach. Forma uwerunkowana w istocie rzeczy zewiera się w adresowanym do generałe Jaruzelskiego twierdzeniu: "Twierdzi pan, że pen przewodzi silnemu ele cywilizowenemu państwu, które jest rządzone przez reguły prawe. Polskiemu Rechtstaet. Wobec nas i wobec Zachodu /chociaż nie wobec pańskiej własnej partii i wobec Wschodu/ twierdzi pan, że wywodzi swoją legitymację władzy nie z przeorientowanych wertości marksizmu-leninizmu, ele z pewnych uznanych, sterych, europejskich standardów prawe i porządku, suwerenności i państwowości. W porządku, wierzymy panu - chocież miliony nie wierzą. Tutaj są pańskie proklamowane standerdy. Tutaj są pańskie własne prawa. Teraz niech pan pozostanie im wierny". Może to być udawanie, ale w Polace na przestrzeni ostetnich kilku lat było to dziwnie efektywne udane udawenie. Czasemi niemel się wydawało, że niektórzy spośród tych u władzy chcieli udawać także.

Forma absolutna zawiera się, po prostu, w nauczaniu, pisaniu. prowadzeniu badań, malowaniu, występowaniu na scenie, publikowaniu tak dalece jek to możliwe i tak długo jak to możliwe jak gdyby państwo /eby przypomnieć zdanie Vonnegute/ obumarło; jak gdyby człowiek żył w wolnym kraju. Obie formy zasady Jak Gdyby są świetnie ilustrowane przez przypedek profesora Leszka Nowaka z Uniwersytetu Poznańskiego. Profesor Nowak, filozof, został odsunięty od neuczania we wrześniu 1984 r. i definitywnie zwolniony z pracy przez ministre, w lutym 1985 Było to jasne, polityczne działanie "pour encourager les autres". Odpowiedź była dwojaka. Najpierw ciało zarządzające Uniwersytetem Poznańskim zaprotestowało wobec ministra co do sposobu, w jaki zwolnienie zostało przeprowadzone. Obecne prawo, jako pierwotnego warunku zwolnienia wymaga zwołania komisji dyscyplinarnej /składającej się z kolegów akademickich/. Jest to uwarunkowane Jak Gdyby. Po wtóre, profesor Nowak właśnie kontynuował nauczanie jako "gość nieoicjalny" na swoim własnym seminarium, mimo że minister złożył osobistą wizytę w Poznaniu żądając zakazu wstępu dla profesora Nowaka na teren uniwersytetu. Kiedy przyjechałem go odwiedzić, spieszył się, gdyż właśnie miał prowadzić seminarium na temat /jeśli zrozumiałem go właściwie/ znaczenia frakcji w systemie jednopartyjnym. Zamiast swojej pensji profesorskiej dzięki sympatyzującym kolegom otrzymuje miesięcznie zbliżoną jej równowartość i pisze książkę o zniewoleniu i rewolucji. Jest to absolutne Jak Gdyby.

Jednakże jak dalece i jak długo polscy intelektualiści mogą żyć Jak Gdyby? Polityczna odpowiedź na to pytanie zależy od tylu niewiadomych - na przykład od nieprzewidywalnej odpowiedzi ledwo podporządkowanej klasy robotniczej na dalsze pogarszenie się warunków życie - że spekulacja jest raczej bezowocna. Jedyna bezpieczna przepowiednia mówi, że skoro to jest Polska, wszystkie kroki rządu - czy to represyjne czy reformatorskie - będą najpewniej półśrodkami honorowanymi głównie przez ich pogwałcenie. Berdziej interesujące jesz zadanie mniej oczywistego pytenie.Nawet jeśli da się żyć Jak Gdyby przez lata, jak to będzie oddzieływać na zawartość i jakość życia intelektualnego w kraju?

Zachodni intelektualiste, który wizytuje swoich kolegów w Polsce odczuwa podziw, podniecenie i - tak jest - zazdrość. Tutej jest miejsce, gdzie ludzie troszczą się żarliwie o idee. Tutaj jest miejsce, gdzie intelektueliści mają znaczenie. Tutaj, chociażby w osobie Ademe Michnika, Intelektualiste jest Bohaterem. Tutej historycy robią hiatorię. Zachodni intelektualista zezdrości emocji przebywania ne linii frontowej - z bezpieczną pewnością, że nie będzie zastrzelony *) . Wojna bez łez. I często powraca spojrzeniem na nasz powszedni świet zachodniej kultury ze znudzoną pogerdą; świet z jego super-rynkiem nadmiernej ilości idei i za żadną z nich nikt nic nie ryzykuje; świet, w którym intelektualiści nic nie znecą.

Jeśli jednek pozoatanie się nieco dłużej i spojrzy się nieco głębiej mnożą się wątpliwości i pytenia. W Poznaniu spędziłem godzinę rozmewiając z niezwykle imponującym i dojrzełym przywódcą Semorządu Studenckiego - także historykiem. Zastanewiałem się, jak długo człowiek musiałby szukać, eby zneleźć takiego studenta w Oxfordzie. Potem, tuż przed pożegnaniem się, zepytełem, co zamierza robić ze swoim dyplomem, stopniem magisterskim. Powiedział: "Myślę, że zostanę stolarzem". Wyjaśnił mi, że z jego notowaniami uniwersyteckimi służby bezpieczeństwa uniemożliwią mu otrzymenie dobrej pracy w przedsiębiorstwie państwowym. Jeśli będzie pracował prywatnie jako stolarz, policja nie będzie mogła dotrzeć do niego i zarobi więcej niż kiedykolwiek mógłby zarobić jako historyk. W wolnym czasie będzie mógł nedal czytać i piseć. W Warszawie słyszałem wiele podobnych historii - najzdolniejsi, o najberdziej niezależnych umysłach studenci idą do pracy jako teksówkarze, listonosze, sprzedewcy rynkowi. Teraz, oczywiście, jest możliwe, że ci studenci podtrzymają swoje intelektuelne i kulturalne zeangażowanie: człowiek wspomina niezwykłe, katakumbowe życie intelektualne Pragi z jej filozofami pracującymi jako zmywacze okien, księżmi jako mleczarzami, historykami jeko ogrodnikami. Ale jak wielu i jak długo?

Poze tym pytaniem o przyszłość jednostek , pozostaje obszerniejsze pytanie o przyszłość zbiorowości. Jek może prosperować krej. gdy największa część jego wykształconej klasy odmawia lub czuje się niezdolne do współpracy w jego prowedzeniu? /Niezdolna, to jest nie przyjmująca warunków oferowanych przez państwo/. Fakt, że to pytanie jest stale stawiane przez reżymowych, intelektualnych apologetów, nie czyni z niego niepytenie. Co więcej, pytanie to jest także w coraz większym stopniu atewiane przez głęboko entykomunistycznych, katolickich oraz narodowych intelektualistów; i ten spoaób stawiania pytań jeat jesno popierany przez Prymasa. Kiedy Polska będzie w końcu wolne, mówi dalej ta argumentacja, będzie potrzebowała solidnej "infrestruktury" dobrych dróg, fabryk, szkół technicznych; będzie potrzebowałe doświedczonych menagerów, prawników i urzędników cywilnych - e to musi oznaczać współpracę, tutej i teraz, z państwem. Historycy natomiast rozpoznają tutaj argument za "pracą organiczną", pochodzący z wielkiej debaty po zgnieceniu Powatenia Styczniowego z lat 1863-64.

Powsteje także realne pytanie o konsekwencje tego rozwodu z państwem dla kultury politycznej kraju. Na przykład, jest coś nieśmiało młodocianego w obecnej proliferacji politycznych grupek z wielkimi tytułami - Partia Liberalno-Demokretyczna /trzech studentów i pies/ - i jeszcze większymi programami /"Nasza polityka wobec Ukraińców"/;

---

*) Wybitny polski historyk śrdeniowiecza, Bronisław Geremek, zoatał niedawno wyrzucony z Polskiej Akademii Nauk, gdzie pracoweł przez trzydzieści lat. Była to z pewnością kare ze jego precę jako doradcy Lecha Wełęsy, a w szczególności ze udzieł w prywetnym spotkaniu - razem z innymi doradcami "Solidarności" - z brytyjskim ministrem spraw zegranicznych. Kiedy rozmawiałem z nim niedługo po tym spotkeniu, powiedział mi, że właśnie ukończył artykuł o "Cierpieniu i śmiechu w precach Frençois Villone".

zjawisko, które wzrasta wprost proporcjonalnie do redukcji możliwości reelnego działania politycznego. /Nie jest to, oczywiście, argument za współpracą z państwem, które nie dostarcza takich realnych możliwości/.

W końcu jest coś, co mógłbym nezwać kwestią przyszłości Polski w Europie. W redekcji nejlepszego polskiego tygodnika, niezeleżnego katolickiego "Tygodnike Powszechnego", ktoś przypiął karykaturę intelektualisty /zdawało mi się, że wykezywała ona słebe podobieństwo do czcigodnego redaktore pisme Jerzego Turowicza/ pracującego w pocie czoła w spustoszonym, ne pół zrujnowanym krejobrazie - nieskończone, w sowieckim stylu osiedla, wybite okne, połamane rury wodociągowe, opadłe druty telegreficzne - z wodą wyciekającą mu z butów. Powtarza on przez zaciśnięte zęby: "Należymy do Europy, neležymy do Europy, należymy do Europy". Sens zewieszenia ne skraju Europy jest tak przenikliwy jak gwałtowny jest europejski patriotyzm. Albowiem wykorzystanie przeciwności jeat cierpkie. Neukowcy rozpaczliwie opłekują brak nowoczesnego wyposażenia, które czyni ich badania spóźnionymi o late wobec bedań ich zachodnich kolegów. Uczeni gorzko odczuwają niedostatek zagranicznych książek i czasopiam - po części jeko rezultat peństwowego niedoboru walut zegranicznych. Wielu jest doktorentów cełkowicie zdemorelizowanych przez brek podstawowej literetury z ich obszarów zainteresowań. Wsparcie prywatne i kościelne może z trudem zacząć wypełniać studnię potrzeb.

Na Zachodzie możemy czaaem czuć się zmęczeni wolnym rynkiem literackim - nieustanna nadzwyczejna superobfitość publikecji i recenzji - ale jeśli jest jedna rzecz gorsza niż rynek literacki, to jest nią brak rynku literackiego. Polityczny podział kultury może tekże spaczyć osąd: dzieło drugorzędne może być wychwalene włeśnie dlatego, że oficjalnie jest krytykowane, dzieło pierwszorzędne ignorowane, ponieważ oficjalnie jest chwalone. Tek, wspeniale jest znaleźć trzy tysiące młodych ludzi zwracających się ku czytaniu poezji. Ale jakie pytenia zadają oni poecie? Czy powinniśmy demonstrować 1 meja? Jek powinniśmy trektować kogoś, kto wstąpił do pertii? Co powinniśmy sądzić o wyborach na szczeblu lokelnym? Jak powinniśmy żyć? Poeta chce być poetą, nie spowiednikiem, politycznym przywódcą, ekonomistą, czy obywatelskim biurem porad. Ma on, aby tak rzec, ponadnormalne znaczenie. I nie ma w tym żadnej nieapodzienki, że mamy tak wielu nejlepszych polskich intelektualistów, napotykających na te presje, ograniczenia, upośledzenia i wymaganie, którzy przyjechali na Zachód, dalej od frontowej linii, aby pooddychać /dłużej lub krócej/, jak to się mówi, europejską normalnością /pojęcie, które z pewnością obejmuje także Nowy York i Chioago/. Tak, intelektualiści w Polsce znaczą być może więcej niż powinni znaczyć intelektueliści kiedykolwiek.

"Nieszczęśliwa ziemia, która nie ma żednych bohaterów", płakał zagniewany uczeń Galileusza. Ale Galileuaz Brechtowaki odpowieda: "Nieszczęśliwa ziemia, która potrzebuje bohaterów".

TIMOTHY GARTON ASH

/numer 11 "The New York Review of Books", 27 czerwiec 1985 r./

"The New York Review of Books", Nr 11, 27 czerwiec 1985 r.

MYŚLENIE EKONOMA
I MYŚLENIE EKONOMICZNE

"Rodzi się jednak pytanie, w co inwestować: w przemysł obrabiarkowy, czy np. we włókienniczy, gdzie pracują stuletnie maszyny. Ludzie woleliby bardziej bawełnę...

- Ludzie woleliby także najpierw samochody i najpierw traktory... Ale logika gospodarki jest odwrotna: najpierw muszą być obrabiarki, żeby było na czym robić krosna i silniki. Przemysł obrabiarkowy jest matką wszystkich przemysłów. Jeśli my nie będziemy mieli nowoczesności, to i cała gospodarka jej nie osiągnie. Dlatego też liczymy na pomoc..."

Jest to próbka tekstu /"Życie Warszawy", nr 189, 15 sierpnia br./ dosyć typowa dla myślenie zwanego u nas ekonomicznym. Przedstawiona w nim "logika gospodarki" jest infantylna, nawet gdy się rozmawia ze specem od obrabiarek. Z czego bowiem się robi te obrabiarki? A czy nasz bilans stali nie wymaga inweatowania w hutnictwo? Co z energią, bez której żaden przemysł nie funkcjonuje? Czy starcza węgla dla hutnictwa i dla energetyki, bo dla ludności zdaje się już nie bardzo? Potem okaże się znowu, że jednak trzeba tych obrabiarek dla hutnictwa, energetyki, transportu i dla górnictwa, tylko z czego zrobimy te obrabiarki? W ten sposób typuje aię priorytety już parę dziesiątków lat i jesteśmy w stanie, w jakim jesteśmy. Więc mówi aię, że wymaga on szczególnie przemyślanego typowania priorytetów...

ROSA OCZY WYJADA

Jedyną skuteczną inwestycją, przeprowadzoną kolejnymi etapami w oderwaniu od reszty, było stworzenie świata w ciągu sześciu dni. Trzeba sporego zaufania do siebie, aby od każdej narady i za każdym nowym planem podchodzić do rzeczywistości społecznej i gospodarczej tak, jakby od tego momentu wszystko się miało zaczynać od nowa i to wedle koncepcji, którą się akurat reprezentuje. Działalność gospodarcza jest procesem ciągłym. Czasem przyspiesza obroty, czasem zwalnia, lecz nigdy nie ustaje na tyle, by pozwolić na ustawianie klocków od nowa. Prawie żaden z elementów tego procesu nie zaczyna się na pustym miejscu i rzadko kiedy aię kończy bez śladu, najczęściej jedne się nasilają, inne zaś słabną. Stopień sprawności całego organizmu gospodarczego, na każdym poziomie rozwoju, zależy od stopnia komplementarności tych poszczególnych elementów. W tak złożonym organizmie żaden z nich nie może zaistnieć "wpierw" bez tego, który miałby zaistnieć "potem". Teoretyczny, czy urzędowy priorytet dla jakiejś innej dziedziny czy poszczególnego zadania na ogół rozstraja całość.

Już na początku Planu Sześcioletniego stwierdzono, że wpierw ma być przemysł, a potem wszystko inne: problem wyżywienia, mieszkaniowy, motoryzacja. W tym przemyśle wpierw miał być przemysł ciężki i przemysł środków produkcji. Ile dziesięcioleci jednakże ma trwać to "wpierw", kiedy i dle kogo nastąpić ma owo "potem", gdy w trzydzieści lat po zekończeniu 6-latki czytemy /w tymże "Życiu Warszawy"/, że przemysł obrabiarkowy - a więc środków produkcji - w ruinie, a z projektu planu pięcioletniego wynika, że kompleks paliwowo-energetyczny wymaga śpiesznych i wielkich inwestycji?

Wśród ekonomistów i działaczy gospodarczych słyszy się ostatnio

nawoływania, by się zjednoczyć przeciw temu kompleksowi i nie pozwolić mu zgarnąć nadmiernej ilości środków. Być może jest to działanie w słusznym kierunku, aczkolwiek mało skuteczne w naszym systemie. Kto jednak będzie w stanie określić, jakie są prawidłowe proporcje środków, jak się mają one rozkładać na poszczególne brenże i przedsięwzięcia i w jakim czesie? Może więc "wpierw" należałoby zastanowić się nad metodą?

JAK KRAWIEC KRAJE

Metody są z grubsza dwie. Na początku dekad nieparzystych /lata 50.i 70./ wstawia się do planów ambitne zadania, po czym następuje załamanie gospodarcze. W dekadach parzystych bierze się pod uwagę ograniczone możliwości i z nich konstruuje się plany, czego przykładem jest projekt planu na lata 1986-90, przedstawiony przez Komisję Planowania. Równolegle z bilansem możliwości robi się bilans potrzeb i dyskutuje, które z nich mają być załatwione. I to jest właśnie szczególnie uważne typowanie priorytetów.

Można się zgodzić, że takie stawianie sprawy jest realistyczne i uczciwe, lacz trudno uznać je za satysfakcjonujące - co chyba nie wymaga dyskusji, jeśli plan ten przewiduje "zbliżenie się"do poziomu 1978 roku po roku 1990. Trudno też uznać je za prawdziwie ekonomiczne. Z ekonomicznego punktu widzenia lista potrzeb nie jest niczym istotnym. Potrzeby ludzkie przeważnie są nieograniczone. Ważny jest popyt, to jest ile, czego i za jaką cenę nabywcy byliby skłonni kupić za posiadane pieniądze.

W naszych warunkach jednakże wyznacza się urzędowe progi potrzeb, według różnych zresztą kryteriów. Kryterium możliwości powoduje, że człowiek nie pracujący fizycznie ma potrzebować 2,5 kg mięsa miesięcznie, w tym 0,7 kg z kością. Potrzebują tego wegetarianie, jak i ci, którzy byliby skłonni zjeść, zapłaciwszy więcej, rezygnując z innych dóbr, lub zapracowując na większą ilość, a więc stwarzając jakieś ekwiwalentne wartości. Potrzeby mieszkaniowe określa się w oderwaniu od jakichkolwiek cen - te wolnorynkowe dotyczą jedynie nielicznych - jak i bez większego związku z możliwościami. Tu potrzeba jest raczej normą, która nie powinna być przekroczona. A więc tyle a tyle metrów kwadratowych, plus dodatkowy pokój w urzędowo określonych przypadkach, a nie takie mieszkanie, jakie ktoś potrzebuje i na jakie go stać /kwiestie społeczne związane z tą i innymi potrzebami - za chwilę/. Podobnie zapotrzebowanie na oddzielne mieszkania określa się porównując ich ilość z ilością gospodarstw domowych, nie biorąc pod uwagę tego, że wiele rodzin wielopokoleniowych chciałoby się rozdzielić, a mieszkając wspólnie prowadzą wspólne gospodarstwa, jak i tego, że niektórzy może nie chcą mieszkać oddzielnie.

Zepotrzebowanie takiego jak na samochody w ogóle się nia bierze pod uwagę, wychodząc z założenia, że zrobi się ile można, a ile się zrobi to i tek się sprzeda. W ten sposób mamy wiele różnych sposobów określania potrzeb zamiast jednego - popytu. W systemie rynkowym jest on główną siłą pociągową gospodarki, u nas zaś, co najwyżej, tworzy drugi obieg ograniczonej ilości dóbr, nie stymulując - poza drobnymi wyjątkami - wzrostu produkcji i podaży.

O popycie mówi się u nas tylko w odniesieniu do produktów i usług konsumpcyjnych. Wewnątrz gospodarki uspołecznionej, a więc prawie całej gospodarki, mamy do czynienia prawie wyłącznie z zaopatrzeniem, mimo że odbywa się ono za pieniądze. Tutaj praktycznie nadal dominuje decyzja, kto, komu, czego i za ile ma dostarczyć. Tym bardziej dominuje im ważniejsza jest to dziedzina i dobro, której to dotyczy. A to co u nas jest zeopatrzeniem, gdzie indziej rozgrywa się na normalnym rynku, gdzie popyt na stal i obrabiarki funkcjonuje za podobnych zasadach, jak popyt na samochody.

BIEDNEMU – BOKIEM WYCHODZI

Popyt jako regulator gospodarki może się nie wszystkim podobać, ma jednak tę bezaporną zaletę, że dzięki niemu mniej więcej wiadomo kogo na co stać, przy określonych cenach. Zaspokojenie potrzeb, tak pojedynczych ludzi, jak i jednostek gospodarczych zależy wówczes nie od uznania ich ważności przez dysponenta dóbr i możliwości produkcyjnych, ale od własnych preferencji i możliwości finansowych. Najskuteczniejszym sposobem zaspokojenia potrzeb staja się zarobienie na nie.

Tam, gdzie popyt się nie liczy, czy jest nieobowiązującym uzupełnieniem, tam nieuchronnie musi panować syndrom krótkiej kołdry wraz z licytecją niczym nie limitowanych potrzeb. W jakiś sposób może to poprawiać samopoczucie dysponenta, ale powinien on wiedzieć, że żadna jego decyzja nikomu nie sprawi satysfakcji. Pominięty nigdy nie uzna racji, dla których się go pominęło, skoro odczuwa dotkliwiej potrzeby swoje od potrzeb innych, a brak środków nie jest argumentem, by je zarobić lub siedzieć cicho, lecz aby tym uporczywiej żądać ich przyznania. Zaś ten, kto dostaje, zawsze dostaje mniej niż potrzebuje, a rozbudowując swe przedsięwzięcia zwiększa swe - nie limitowane wszak wydolnością ekonomiczną i finansową - potrzeby. W sumie narasta sytuacja ogólnego breku, coraz większych potrzeb, odsuwanych na coraz dalsze okresy i relatywnie kurczących się możliwości ich zaspokojenie. Kończy się rola skutecznego szafarza dóbr, zaczyna - nieudolnego dysponenta.

Likwidacji władzy popytu towarzyszą argumenty o aprawiedliwości społecznej i o racjonalnym wyborze celów ekonomicznych, przeciwstawnym żywiołowej grze sił na rynku. Zacznijmy od sprawiedliwości.

Otóż, reagowanie na popyt jest reegowaniem na pieniądze, więc siłą rzeczy uprzywilejowuje tych, którzy je mają w większej ilości. Ale jakieś pieniądze mają praktycznie wszyscy. Im kto ich ma mniej, tym me mniejszy wybór, ale tym jest on dlań ważniejszy. W systemie rynkowym, którym się tak straszymy, każdy sam dokonuje tego wyboru, przy czym skutecznie. Podaż reaguje demokratycznie na każdego dolera czy funta /bo nie ne złotówkę/, pozwalając zaspokoić te najważniejsze potrzeby. Konsumpcja rzeszy drobnych nebywców jest równoprewna z konsumpcją milionerów, a ekonomicznie - na skutek swej skali - ważniejsza. Gdy się jednak ustala za konsumentów ich preferencje, to w praktyce mało kto spożywa to, co mu jest naprawdę potrzebne. Bogaty, któremu diabeł dzieci kołysze, jakoś sobie daje z tym redę, choćby w drugim obiegu, tylko że wyższy staje się próg bogactwa. Cenniejsze stają się pozaekonomiczne przywileje, z których korzysta część społeczeństwa. Tylko czy to wszystko zgodne jest z zasadą jakiejkolwiek sprewiedliwości?

Czy możne zresztą dokonać wyboru między stalownią a domem starców zgodnie z zasedami sprawiedliwości i recji ekonomicznych? Z jednej strony te domy potrzebują steli, lecz z drugiej - starcy przeważnie nie doczekują...

Praktyczne rozwiązanie, tem gdzie się je stosuje, polega na tym, że - ujmując rzecz w berdzo grubym zarysie - ze środków publicznych funduje się i utrzymuje placówki opiekuńcze, oświatowe, infrastrukturę komunalną, ewentualnie dofinansowuje się budownictwo mieszkaniowe dla najsłabszych ekonomicznie grup. Tutaj nie daje się ominąć problemu uznawania wartości oraz pilności potrzeb i przymierzania ich do możliwości. Te zaś na zupełnie innych zasadech stwarzać ma gospodarka. Tym większe, im lepiej prosperuje, regulowana przez popyt ne jej produkty.

KONTROLA CZY ROZWÓJ

Wspomniany tu projekt planu na lata 1986-90 tym się różni od poprzednich dokumentów tego rodzaju, że mało mówiąc co ma być zrobione, pokazuje, co może być - a właściwie, co nie może być - zrobione. Widać tu wyraźnie traktowanie - zresztą stałe - gospodarki i jej możliwości jako pewnej ilości bilansów: siły roboczej, surowców i materiałów, dewiz, mocy przerobowych w przemyśle i budownictwie, mocy transportowych itp. Wiarygodność tych bilansów budzi zastrzeżenia fachowców, lecz są one zbliżone do rzeczywistych. Do sumy tych możliwości dopasowuje się w procesie trudnej selekcji te potrzeby produkcyjne i pozaprodukcyjne, które mogą być zespokojone. I to jest traktowane jako clou podejścia zwanego u nas ekonomicznym.

Plan, w ten sposób zbilansowany, musi być następnie rozbity na nieskończoną ilość przedsięwzięć. Żadne centrum, żadna technika obliczeniowa nie jest w stanie tego praktycznie dokonać. Wobec tego centrum dzieli środki na resorty, branże i poszczególne zadania uznane za priorytetowe, delegując częściowo dalszy podział na kolejne ogniwa. Zasada delegacji jest tu istotna, bo wyklucze autonomię oznaczającą pewien zakres nienaruszalności uprawnień niższych ogniw. Każde przyznane im uprawnienie może być zawieszone, każda decyzja zmienione w mniej lub bardziej skomplikowany sposób.

O ile w warunkech reformy centrum raczej w ogreniczonym stopniu korzysta z prewa ingerowanie i bieżącą działalność jednostek gospodarczych, o tyle środki ne rozwój są praktycznie w dalszym ciągu scentralizowane - stąd przytoczone ne wstępie suplika. Samofinansowanie jest tak ustawione, że ile by przedsiębiorstwo nie zarobiło, to na rozwój mu nie zostanie. Nie mówiąc o tym, że pieniądze są tu czynnikiem drugorzędnym, gdyż jego rozwój me być zgrany z możliwościami innych jednostek, importem, pulą mocy i materiałów, które ze względu ne swe znaczenie przeważnie muszą być rozdzielene centralnie. Tak się zepewne rozumie potrzebę istnienia silnego centrum przy reformie. W sumie mamy więc nadal przeterg czy jakąś ilość przetargów, w których liczą się m.in. siłe nacisków, stopień poinformowania decydentów, ich preferencje bardzo różnej natury, wszelkie kompromisy, mechaniczne cięcia i wreszcie w wielkim stopniu - przypadek. Oczywiście można by dyskutować czy i na ile podważa to tezę o racjonalności metody wyboru priorytetów, gdyby nie to, że praktyka już się wypowiedziała, doprowadzając do obecnej sytuacji.

Wielu ekonomistów zwraca uwagę na brak jednego uniwersalnego i porządkującego kryterium, jakim jest zysk w gospodarce konsekwentnie rynkowej i uważa, że tak też powinno być u nas. Nie wspomina się jednak o tym, czy jest to możliwe w naszym systemie, jak już nie własności, to zarządzania. Werunkiem wyboru najbardziej efektywnych ekonomicznie, czyli zyskownych, przedsięwzięć jest istnienie wielu niezależnych właścicieli, niechby i dysponentów, kapitału. Każdy z nich odpowiada swym kapitałem za swe decyzje, każdy ma szansa jego powiększenia. Warunkiem zaś jest swobodne operowanie nim. To znaczy zmiana pieniędzy na akcje, licencji na pieniądze, meszyn na plece budowlane, marki fabrycznej na surowce, biura pisania podań na udział w firmie budowlanej. Koniaczne jest możność łączenia i dzielenia przedsiębiorstw, szybkiego kreowania nowych i zamykania starych, kupowania jednych przez drugie i przede wszystkim możność najszybszego i nieskrępowanego niczym - poza przepisem ogólnym, zaś w żednym wypadku jednostkową zgodą - podejmowania wszelkiej działalności, mającej na celu zaspokojenie popytu i zaniechanie tejże, jeśli się ją uzna za nieopłacalną, czy mniej opłacalną od innej. Teoretycznie oznaczać to może chaos, lecz w prektyce jest wyborem najbardziej efektywnych ekonomicznie działań. Semofinansowanie - choćby ograniczone - bez przepływu kapitałów, o którym nasza reforma nie wspomi-

na, atwarze jedynie presję na windowanie cen, z którym walka jest mało skuteczna.

Jedyny właściciel i dysponent prawie wszystkich środków produkcji w kraju i jednocześnie pracodawca większości zatrudnionych uznaje już ważność zysku - co ongiś zasadniczo negował - lecz jednocześnie stara się uwzględnić tzw. kryteria społeczne i inne. Trwa to już na tyle długo, by stwierdzić, iż rezultaty nie są zadowalające. Nie zapowiada to też radykalnej poprawy w najbliższych latach, o czym świadczy projekt planu pięcioletniego. Teoretycznie centrum mogłoby dojść do wniosku, że w obrębie gospodarki należy się kierować wyłącznie zyskiem, lecz w praktyce musiałoby to oznaczać reformę bez porównania większą od obecnej. Taką, przy której producent obrabiarek musiałby się zorientować, jaki istnieje nań popyt, wziąć kredyt, wypuścić akcje, wycofać środki z mniej dochodowych przedsięwzięć, by rozbudować swój interes zgodnie z realną potrzebą rynku, zaś liczenia na pomoc zostawić dla niepełnosprawnych.

ERNEST SKALSKI

/Tekst zdjęty przez cenzurę z "Tygodnika Powszechnego"/

Historia patrzy na Gorbaczowa

W lutym 1986 roku - dokładnie w 30-lecie historycznego XX Zjazdu Komunistycznej Pertii Związku Radzieckiego, który potępił "kult jednostki" i zadeklarował odejście od stalinizmu - rozpocznie się w Moskwie XXVII zjazd tej partii. Takie zbieżności dat nie zdarzają się bez wiedzy i zgody najwyższych kremlowskich kręgów. A więc nadzieja? Czy tylko kolejna złuda? Byłby Gorbeczow Piotrem Wielkim potrafiącym tchnąć nowe życie w murszejące imperium i przez to sięgającym tak śmiało do tamtej reformatorskiej - choć tylko częściowo uwieńczonej pomyślnym skutkiem - tredycji Chruszczowa? A może to jedynie sprytna manipulacja datą, która niegdyś przyniosła chwilę ulgi i nadziei narodom od Łaby do Pecyfiku, ale dziś jest już niestety martwym zapisem historii, kolejną pozycją w nieszczęsnym rejestrze utraconych szans stalinizmu?

I. Nikita Siergiejewicz Chruszczow został I sekretarzem Komitetu Centralnego w 1953 roku po śmierci Józefa Wisarionowicza Dżugaszwili zwanego Stalinem, sekretarza generelnego od 1922 roku, a od śmierci Lenina w 1924 roku faktycznego jedynowładcy partii i państwa radzieckiego *) . Era Stalina, choć z perspektywy historii wydaje się długa jak noc polerna, liczyła 31, bądź /jeśli brać ją od śmierci Lenina/ 29 lat, e więc jest to zedziwiająco dokładnie teki sem szmat czasu, jaki dzieli nas dziś od owego "odnowicielskiego", choć wkrótce tak baznadziejnie zeprzepeszczonego XX zjazdu. Prawda, że tamte czasy były bardziej burzliwe, że wydarzyło się więcej, że Związek Radziecki przeszedł w tamtym trzydziestoleciu przez piekło czystek, mesowych represji i obozowego ludobójstwa aby bez chwili oddechu wejść w ogień wojny omalże dlań zabójczej, z której jednak zdołeł wydobyć się jako fetowany przez cały świet zwycięzce, jedno z dwu czołowych supermo-

*) Funkcję sekretarza generalnego przywrócono dopiero w 1966 roku dle Breżniewe.

carstw ery atomowej. Nic tak spektakularnego i okrutnego zarazem nie wydarzyło się w trzydziestoleciu postalinowskim. Ale zarówno wtedy, jak i teraz - przez kolejne dziasięciolecia - w świecie otaczającym "obóz socjalistyczny" dokonywały się atopniowe przemiany społeczne, polityczne, a zwłaszcza techniczne i gospodarcza, dla których ów obóz był zamknięty. Trzydziestolecia, to dla takich przemian czas aż nadto długi: dość lat by dostrzec wyzwania, sprostać im, lub nie przejść poprzeczki. Dość faktów by wydać nie pospieszną i wolną od sentymentów ocenę. A najbardziej bezlitosne oceny wydaje sama gospodarka. Warto o tym pemiętać myśląc dziś o tredycji i perspektywie.

Chruszczow od wyniesienia ne najwyższy partyjny fotel potrzebował bez małe trzech lat, by na XX zjeździe wygłosić swój słynny tajny referet burzący dotychczasowy porządek polityczny i ujawniający stalinowskie okropieństwa. W ślad za tym poszła już jawna /czerwiec 1956 r./ uchwała KC "O przezwyciężeniu kultu jednostki i jego następstw", a dalej wszystko to, co ze tytułem słynnej powieści Erenburga nazwano "odwilżą". Te trzy lata niezbędne mu były dla umocnienia swej zrazu niepewnej i tymczasowej pozycji na szczycie, rozstrzelania wszechmocnego szefa bezpieki Ławrientija Berii, odsunięcia Kaganowiczów i Malenkowa, osłabienia Bułganina i całej sfory pomniejszych pretendentów do opuszczonego przez Stalina tronu. Podobnie Michaił Gorbaczow - jeśli ma cokolwiek nowego i burzycielskiego do zaproponowania - nie może wyatąpić od razu, musi przejść niebezpieczny dla każdego nowego władcy okres usuwanie pozostałości dewnej ekipy, obatawiania się swoimi ludźmi. Prawda, sporo roboty zrobił zań - tak serdecznie dziś wspominany - Andropow usuwający podczas awego krótkotrwałego panowania pozostełości zasiedziałej ekipy Breżniewa, otaczający się "wypróbowanymi" e nade wszystko młodszymi funkcjonariuszami z kierowanej przez siebie radzieckiej bezpieki - KGB. Jek się wydaje, są oni dzisiaj tekże "ludźmi Gorbaczowe". Jeszcze bardziej krótkotrwały na najwyższym stolcu stary i achorowany breżniewowiec Czernienko nie zmieniał już niczego i nikogo, przyhamował tylko andropowskie zmieny personelne, kontynuowane dziś konsekwentnie przez Gorbeczowa. Przychodzi więc ten niezwykle młody jak ne radzieckie stosunki, bo 54-letni sekretarz generalny na gospodarstwo już wstępnie oczyszczone i trochę lepiej uporządkowane niż to, które obejmował Chruszczow, ale i tak okres niespełna roku od formalnego objęcia steru, do otwarcia zjezdu odwołującego się do reformatorskiej i burzycielskiej tradycji, jest niezwykle krótki. Ale też problemy i wyzwania, przed którymi stoi dziś ZSRR są jek nigdy napięte, nie cierpiące zwłoki. Warto jednek pamięteć, że Gorbaczow, to jeszcze bardzo świeży sekreterz i stąd zapewne nie wszystko, co pragnie zrobić, zrobić już może; zapewne także nie powie i nie zrobi wszystkiego na nadchodzącym, tak pospiesznie zwołanym zjeździe.

Chruszczow nastał po stalinowskim 30-leciu i XX zjazdem okres ten zakwestionował tak mocno i zdecydowanie, jak nie było to nigdy w zwyczyju radzieckiej ani nawet rosyjskiej historii. Zakwestionował nie tylko stalinowskie okropieństwa, masowe zsyłki i ludobójstwo. Zekwestionował socrealistyczne kłamstwo w kulturze, orwellowskie fałazowanie hiatorii i zwyczajnej informacji. Nie był oczywiście bojownikiem o prawdę ani nie zamierzeł ujawnić całej podłości dotychczasowego reżimu, ele to właśnie w czasach Chruszczowe ukazały się jedyne dotąd w oficjalnej radzieckiej literaturze książki o stalinowskich łagrach, nasteł trochę lepszy okres dla dysydentów, nieprawomyślnych artystów, uczonych odbiegających od urzędowej sztampy. Nade wszystko jednak zakwestionował Chruszczow przesterzałe struktury gospodarcze i związane z nimi niczym nie skrępowane władztwo aparatu partyjnego, tej - jak to ją nazwał w tytule swej głośnej książki Milovan Dżilas - "nowej klasy". Ta strona chruszczowowskiego okresu i chruszczowowskiej reformy jest najtrudniejsza do odczytenia, ele najważniejsza. Reha-

bilitacja sporej części ofiar stalinowskiego terroru, ukaranie paru najbardziej znanych siepaczy z Berią na czele, czy likwidacja iluś tam obozów misły ogromne znaczenie moralne i polityczne, ale stare mechanizmy tego systemu - spychające jednych do roli ofiar, drugich zaś do roli katów - pozostały. Odejście od sztywnego centralizmu w gospodarce, wyzwolenie jej od ciężaru aparatu partyjno-administracyjnego mogło zacząć stopniowo tworzyć mechanizmy nowe nie tylko dodające tej gospodarce ducha dynsmizmu, ale przenoszące się do sfery polityki. W okresie Chruszczowa gospodarkę zorganizowano w tzw. "aowmarchozy" czyli zrzeszenis tworzone na zasadzie terytorialnej a nie - jak dotąd branżowej - msjące uzyskać niezbyt jeszcze jasno sprecyzowany stopień samodzielności a może i samorządu. Aby złamać potęgę konserwatywnego aparatu partyjnego dokonano podziału dotychczasowych komitetów partyjnych ns "wiejskie" i "miejskie", dość skutecznie gmatwsjąc ich kompetencje. I tyle. Bowiem już te zmiany wystarczyły, by zsgrożony aparat obalił Nikitę Siergiejewiczs zs "subiektywizm i woluntsryzm w rozwiązywaniu problemów ekonomicznych" /październik 1964 r./. 18 lat Breżniewa, jskie nastsło potem, było powrotem do "stalinizmu bez Stalina", stalinowskich metod zarządzsnia, stalinowskich struktur, wszakże bez stalinowskich okropieństw i mssowego terroru. Z chruszczowowskich reform ostało się jedynie enigmatyczne potępienie "kultu jednostki" i rezygnacja z prześladowań ludzi własnej partii.

Członek stalinowskiego aparatu włsdzy i stalinowskiego aparatu terroru, współodpowiedzialny zs głód i masowe zsyłki na Ukrainie, autor wiernopoddsńczych adresów do "umiłowanego przywódcy proletariatu", śmieszna figura waląca butem w ONZ-owską mównicę, nieudolny reformstor wprowadzający do gospodarki więcej chyba bałaganu niż realnych efektów - jednak on tylko jeden spośród rsdzieckich przywódców ery postalinowskiej misł świadomość, że epoka stali i stalówek skończyłs się ze śmiercią Stalina, że w nsdchodzących czssach stalinowskie struktury coraz cięższym brzemieniem kłaść się będą tak na gospodsrce, jak na całym funkcjonowaniu radzieckiego supermocarstwa, że dalej tak rządzić i tak istnieć nie podobns. On tylko jeden tską właśnie świsdomość usiłował przeobrszić w czyn swoimi - prawda, że niezbyt udolnymi - reformatorskimi usiłowaniami.

Chruszczow doszedł do władzy po 30-leciu Stalina, epoce krwawej i okrutnej, ale na swój sposób wielkiej i budzącej nadzieję, bo wynoszącej Rosję z peryferii Europy do roli supermocsrstwa, zaspokajsjącej poczucie historycznej misji Rosjanina, dającej mu w ręce przemysł i broń a w serce wizję przodownictwa w historycznym procesie. Być może Chruszczow - choć prymityw i bałagsniarz - widzisł dalej i dlatego musiał upaść, bo powalił go wystraszony utrstą przywilejów aparat własnej partii. Gorbaczow przychodzi po 30-leciu marszmu i stagnacji, kunktatorskiego odsuwania polących problemów ns bliżej nieokreślone "jutro", zamrsżanis sprzeczności i przymykania oczu na coraz bardziej oczywiste wyzwanis, doraźnego łatania dziur nazywanego w psrtyjnych dokumentsch "doskonaleniem struktur". Te 30-lecie - ciche, pozornie spokojne, lecz dla Rosji okrutne i czekające jeszcze na miażdżącą ocenę przez przyszłych historyków - nie zwaliło jej z piedestału supermocarstwa, ale w sposób oczywisty dla każdego naruszyło podstawy jej potęgi; zwłaszczs przyszłej potęgi. Chruszczowowskie przekonanie, że "tak dalej nie podobna" stało się zrozumiałe dla każdego: od dysydenta po przywódcę. Jeśli Gorbaczow wyprowadzi stąd praktyczne wnioski, będzie to robił w warunkach o ileż gorszych niż usiłował to robić Chruszczow.

Chruszczowowski XX zjazd przyniósł w efekcie burzliwy październik w Polsce i krwawy psździernik ns Węgrzech. Jego spóźnionym dzieckiem była Praska Wiosna, a może i odstępstwo Chin. Chruszczowowska liberalizacja rozbudziła ruch dysydencki, jej echem były wybuchające na początku lat sześćdziesiątych strajki i bunty robotnicze /jakże mało o

nich wiemy/ w różnych regionach ZSRR. To wszystko trzeba było potem likwidować i zamrażać rękoms konsekwentnie konserwatywnej ekipy Breżniewa. Już tragiczny los ostatniego francuskiego Ludwika pouczył władców wszystkich ustrojów i formacji, że najbardziej dla nich niebezpieczny jest okres "odwilży" i reform. I to właśnie - być może - a nie sam strach aparatu przed zmianami w gospodarce, jest prawdziwą przyczyną żałosnego upadku Chruszczowa-reformatora.

II. Na co choruje Rosja? Sztywny centralizm państwa i gospodarki wsparty ludową wiarą w ideologicznie przemalowane /z Chrystusowego na komunistyczne/ posłannictwo Rosji, wspomożony żelazną pięścią aparatu represji, był w sam raz dobry na czas wielkiej acz prymitywnej industrializacji, kiedy wystarczyło spędzić w jedno miejsce rzesze ludzkie uzbrojone zrazu w łopaty, potem już w buldożery i koparki, aby zsdziwić świat sukcesami "wielkich budów socjalizmu". O cenę społeczną, ekonomiczną i moralną nikt nie pytał, jak nie zwykli pytać rosyjscy marszałkowie o ludzką cenę zwycięskich szturmów na froncie. Wystarczyło, że pospolite ruszenie tego najcierpliwszego z narodów przyniosło dość stali, węgls i ropy jak na rolę mocarstwa i potrzeby utrzymania w ryzach imperium. Ekonomiści nazywają to enigmatycznie "ekatensywnym rozwojem" i przeciwstawiają "intensywnemu", gdzie motorem rozwoju staje się nie ilość ton, eksploatacja surowców i siły roboczej, lecz ludzka inicjatywa kreujące technologię, organizacja pracy, optymalne wykorzystanie kurczących się zasobów. W epoce, kiedy pisze się już nie stalówką, lecz komputerem; kiedy stsl czołgów okazuje się bezsilna wobec laserowych celowników, kiedy niosące nieskończoną ilość megaton rakiecisko przygrywa w starciu z maleńką antyrakietą niosącą tylko inteligentny mikroprocesor; wtedy, właśnie wtedy, konieczne są inne motory napędowe gospodarki. Tym więcej, że i nieprzebrana dotąd surowcowa obfitość największego państwa świata niespodziewanie pokazuje swe granice: ropy jest wprawdzie nsdsl dość, ale jej pozyskanie z coraz trudniejszych, coraz głębiej pod ziemią i coraz dalej na północ położonych złóż nie tylko więcej kosztuje, ale wymaga coraz bardziej skomplikowanej technologii. To "przestawienie motorów" gospodarki jest konieczne nie tylko dlatego, by dać ludziom choć trochę lepsze od dotychczasowego życie, lub przynajmniej utrzymać dotychczasowy jego poziom, ale przede wszystkim dlatego, by utrzymać dotychczasową potęgę wojskową, by nie pozostać nieodwołalnie w tyle w wyścigu techniki uzbrojenia.

W systemie zachodnim to "przestawienie" dokonało się o tyle samoczynnie /choć też nie bez interwencji państw/, o ile tamtejsze mechanizmy gospodarcze sprzyjają ludzkiej inicjatywie i zaradności, temu nigdy nie wysychającemu źródłu zmian, wynalazków i ludzkiego bogactwa. Dokonało się nie bez strat i załamań, dość wspomnieć "wielki kryzys" przełomu lat dwudziestych i trzydziestych, dość wspomnieć bankructwa i uwiąd całych gałęzi zbyt przywiązanego do tradycji przemysłu, czemu towarzyszą rozpaczliwe i daremne protesty jego pracowników /choćby nie tak dawno górnicy w Wielkiej Brytanii/. Ale dokonało się nieodwołalnie i wielki wyścig technologiczny został bezapelacyjnie wygrany przez system zschodni. Po siedemdziesięciu blisko latsch od Rewolucji Październikowej, po trzydziestu latach od "reformatorskiego" XX zjazdu - nie ma już o czym mówić, fakty są nsgie. Wystarczy porównać jakikolwiek wyrób radzieckiej techniki - traktor, komputer, radioodbiornik - z analogicznym wyrobem USA, Japonii, czy Francji by uświadomić sobie rozmiary luki technologicznej. Od historycznego i budzącego tak szybko rozwiane nadzieje roku 1956 luka ta bynajmniej nie zmalała, lecz ogromnie wzrosła. Jak raz trzeba tu przypomnieć znane i powtórzone za Marksem powiedzenie Lenina, że o wyższości ustrojów zadecyduje gospodarka. Zadecydowała. A przecież te same zakłady, które wytwarzają traktory, produkują też czołgi. Elek-

tronika potrzebna jest tak samo w domu, jak w głowicach rakiet i celownikach dział. Komputery tak samo w biurze, jak na placu boju.

Chruszczow dopiero przewidywał tę lukę, wierzył jeszcze w możliwość skutecznej pogoni zreformowanej gospodarki radzieckiej, mającej - wedle uchwalonego w 1961 roku na XXII zjeździe i obowiązującego /sic!/ do dziś programu KPZR - prześcignąć USA w 1980 roku. Dziś ten chruszczowowski optymizm schowano do najbsrdziej wstydliwej szuflady kremlowskiego biurka, a Gorbaczowowi przypadnie piołunowa rola odwoływania niegdysiejszych mirąży z trybuny XXVII zjazdu. Gorbaczow nie musi już niczego przewidywać ani wyprzedzać myślą epoki, by zrozumieć niezbędność reform. Już dawno jest po dwunastej. Pozostaje spór o powody tak aromotnego przegapienia wyzwania. Ale w co Gorbaczow ma wierzyć, gdy zwróci się myślą ku przyszłości?

Totalitsryzm bowiem ma ukrytą w sobie własną zgubę, ma wmontowaną w swój mechanizm polityczny i gospodarczy nieuchronność klęski w świecie zmieniającej się technologii. Demokracja - jak powiada cały legion jej krytyków - jest pewnie słaba, skłócona i czasem bezbronna, ale podatna na zmiany i sprzyjająca ludzkiej inwencji. Tymczasem każdy system totalitsrny - w tym radziecki komunizm w pierwszym rzędzie - niszcząc swobodne przejawianie się ludzkiej niezależnej inicjatywy w sferze społecznej, w polityce, w kulturze, w gospodarce, w czymkolwiek, czyniąc z obywatela bierny przedmiot w ręku monopolizującego wszelką inicjatywę aparatu partii i państwa, dokonuje również morderstwa na nauce, technice i ich gospodarczych zastosowaniach. Owszem, pozostaje uprawianie nauki i forsowanie jej technicznych zastosowań z pobudek patriotycznych, smbicjonalnych czy moralnych, ale zatrzymany zostaje ten wciąż potężny i wiecznie się obracający w demokracji motor ludzkiego działanis, jakim jest chęć wybicia i wzbogacenia. W efekcie szlachetne usiłowania socjalistycznych Don Kichotów technologii natrafiają na mur gospodarczej obojętności, a w najlepszym razie doatają się na biurka wojskowych, też biurokratów, choć umundurowanych. Sztywny centralizm, nieuleczalna biurokrscja aparatu, niemożność realizacji czegokolwiek poza państwową machiną, podlana alkoholem bierność i kunktatoratwo, uwiąd inicjatywy i niezależnej myśli - oto faktyczne przyczyny powiększania się technologicznej luki, przegrywania cywilizacyjnego wyścigu. A niestety, mordując inicjatywę wszędzie, nie da się jej reanimować tylko na jednym jedynym wąskim wycinku wojskowej techniki, zbyt ta ostatnia jest powiązana z całą resztą. Stąd nawet militarne technologie, choć wsparte o niewątpliwy patriotyzm całych rzeaz inżynierów i profesorów, choć obficie finansowane i otoczone murem tajemnicy, muszą rozwijać się marnie. Totalitaryzm przegrywając wyścig cywilizacyjny, przegrywa też coraz bardziej i wojskowy. Hitleryzm trwał zbyt krótko, by rozbić się o tę barierę, upaństwowiony komunizm ma już blisko 70 lat, w tym większość apędzonych w pokoju.

Dawne despocje oparte na terrorze warstwa rządzącej mogły trwać dowolnie długo, byle potrafiły stworzyć dostatecznie sprawny aparat represji i ściągania podatków. Dziś nie jest to tak proste, a represje stosowane w imię utrwalenia zagrożonej władzy pogłębiają dezorganizację systemu. Po pierwsze dlatego, że skomplikowany współczesny podział pracy wymaga rosnącego poziomu oświaty i wiedzy o świecie, podobnie jak istnienia różnego rodzaju międzyludzkich więzi, wzajemnego zaufanis i współpracy niemożliwych do skontrolowania przez państwo. Po drugie ze względu na nieuchronność narastania w takim systemie luki technologicznej. Tak, totalitaryzm ma śmierć zapisaną w swoich własnych mechanizmach obronnych, choć na pewno jest to śmierć powolna, równie okrutna dla rządzących, jak i dla rządzonych. Niestety.

Na to choruje Rosja. Na to choruje Polska. Na to choruje blok mający się za przodujący. Jak dotąd choroba jest nieuleczalny, próby terapii zabijały lekarzy.

III. I na rosyjskie utrapienie jeszcze Chiny. Chiny - Azja, Chiny - "żółte niebezpieczeństwo", Chiny - jedyne mocarstwo mające ze Związkiem Radzieckim zastarzały, od csrskich ozasów się ciągnący konflikt terytorialny. To prawda, że Rosja, a zwłaszcza Związek Rsdziecki jest w jakimś sensie także Azją, ale to nie z europejskim Zachodem, lecz z Azją właśnie toczyła Rosja przez długie wieki rozpaczliwą walkę o byt, przypieczętowaną na koniec drogo okupionym zwycięstwem na Kulikowych Polach. Ameryka nie pragnie zniszczenia Roaji, nie zamierza odebrać ani piędzi ziemi rosyjskiej, chce tylko odepchnąć Rosję od awej sfery wpływów, bo tak wyobraża sobie swe własne bezpieczeństwo. Sądzę, że Reagana lub któregokolwiek z jego przyszłych następców przeraziłaby realna perspektywa upadku Związku Radzieckiego i zaistnienia politycznej próżni pomiędzy Bugiem a Pacyfikiem, z której dopiero w morderczym znoju i rozpaczliwych waśniach zaczęłyby się wałaniać skłócone państewka. Ale nie sądzę, by przerażało to przywodztwo najludniejszego krsju świata, łakomym okiem patrzącego na puste przestrzenie za Amurem.

Gdy wyszły z paraliżu maoistowskiej "rewolucji kulturalnej" tak sprzecznej z całą tradycją chińskiego centryzmu i umiarkowanis, gdy zyskały świadomość własnej polityki, odrębnej zarówno od polityki radzieckiej, jak amerykańskiej, stały się Chiny - niepostrzeżenie dla świata i pewnie dla samych siebie - najpoważniejszym czynnikiem stabilizującym zbrojny pokój pomiędzy dwoma supermocarstwami. Jeśliby bowiem w kremlowskich sztabach opracowano nawet doktrynę wojenną obiecującą jakąś realną szansę sparaliżowania Ameryki w wymianie nuklearnych ciosów, jakąś możliwość wcielenia do swej sfery wpływów w wyniku takiej wojny np. Europy Zachodniej, to jednego można być tu pewnym w dalszym przebiegu wydarzeń: na nuklearne pobojowisko, którym będzie radziecki zwycięzca takiego starcia, wkroczy "ten trzeci" przygniatsjącą przewagą liczebną realizując swe od dawna zamierzone cele. Podobnie stabilizująco oddziaływsć musi chińska obecność i możliwość chińskiego sojuszu z Moskwą na ewentualne szaleńcze plany mogące się zrodzić w Pentagonie. Choć - jak rzekłem - nie Ameryka jest śmiertelnym wrogiem Rosji i nie jej zależy ns zapaści radzieckiego imperium.

Ale teraz te właśnie Chiny, ta "trzecia siła" w układzie supermocarstw, oficjalnie ogłaszają, że "marksizm-leninizm nie sprawdził się w sferze gospodarki", przyjmują kurs w kierunku wolnego rynku, swobody dla ludzkiej inicjatywy w przemyśle, handlu i rolnictwie. Już tylko oddanie w chłopską dzierżawę marnie dotąd wykorzystywanych ziem kolektywnych gospodarstw nie tylko zlikwidowało głód, ale uczyniło Chiny eksporterem zboża! A to przecież Rosja była kiedyś spichlerzem Europy, podczas gdy kołchozowy Związek Radziecki jest wiecznie nienasyconym kupcem ziarna, dokarmianym - o ironio! - przez amerykańskich farmerów. Czym po 20-30 latach praktykowania wolnej gospodarki będzie naród o niebywałych zdolnościach i dyscyplinie? Przecież w całej południowo-wschodniej Azji pełnią Chińczycy rolę, jaka przed ostatnią wojną była w Europie domeną Żydów: skupiają w swym ręku finanse, handel, rzemiosło, przemysł. Miliard azjatyckich Żydów ożywionych duchem nacjonalizmu i przedsiębiorczości? To nie "gwiezdne wojny" Reagana - które mają uczynić bezużytecznymi radzieckie rakiety ofensywne, albo pchnąć ZSRR na ekonomioznie mordercze piętro zbrojeń - są najstraszniejszym wyzwaniem, przed którym stoi Kreml. Przyszłość Rosji jest w Chinach. Także dlatego, że Chiny Deng Ziaopinga pokazują drogę, którą może i powinna pójść Rosja Gorbaczowa. Przecież partia chińska nie straciła władzy, choć gospodarką władają w coraz większym stopniu prawa ekonomii, a nie partyjny aparat.

IV. To były dobre czasy. TU-104 był pierwszym udanym paaażerskim odrzutowcem świata. Radzieckie bomby nuklearne miały więcej megaton niż amerykańskie. Radziecki sputnik i lot Gagarina zaszokowały świat; by-

ło oczywiste, że to Rosjanin, a nie Amerykanin pierwszy postawi nogę na Księżycu. Rozwój gospodarczy przebiegał harmonijnie, procenty wzrostu były imponujące, kryzys naftowy i wlokące się za nim gospodarcze nieszczęścia miały dopiero nadejść za dobrych 20 lat. Na tym tle sytuacja bloku prezentowała się jeszcze lepiej, dochód narodowy przyrastał szybciej niż w reszcie świata, komunizm był ustrojem młodym i w ekspansji, który właśnie zerwał ze zwyrodnieniami stalinizmu, oferując ludzkości nie dopowiedzianą jeszcze do końca nadzieję ns "socjalizm o ludzkim obliczu". Na Zachodzie trwały silne i nie skłócone z Moskwą partie, w budzących się do niepodległego życia państwach Azji i Afryki wydawało się oczywistym, że droga scentralizowanej gospodarki i socjaliatycznej monopartii zapewni najszybsze wydobycie się z głodu i zacofania. Surowców było pod dostatkiem, mało kto kłopotał się zanieczyszczeniem środowiska, kryzys był pojęciem z ekonomii wyłącznie kapitalistycznej. Ameryka po Korei wpychała się w bezsensowną interwencję w Wietnamie. Nawet w najczarniejszych snach nikt by nie przewidywał Afganistanu, agresji na Czechosłowację, "Solidarności" w Polsce. Krwawe epizody Berlina w 1953 roku i Budapesztu w trzy lata później miały być szybko zapomniane w imię zgodnego potępienia "kultu jednostki", międzynarodowego odprężenia i uznania dobrej woli europeizującego się Kremla.

Jeśli w tak sprzyjających warunkach zewnętrznych reforma się nie udała, to dlaczego miałaby się udać po tylu gorzkich latach, w warunkach o tyle gorszych?

V. O ileż łatwiejsza jest pseudoreforma. Wystarczy odklepać reformatorskie i odnowicielskie frazesy w centralnych organach prasowych i na odnośnych naradach. Przemalować kilka szyldów, uruchomić personalną karuzelę, dokonać kilku pokazowych reorganizacji. Huknąć gromko na złodziei, łapowników i pijaków, zaostrzyć paragrafy, powsadzać do paki. Milicji kazać pędzieć nierobów do roboty, jakby pałka mogła zastąpić ekonomiczny mus. Rozwinąć armię kontrolerów-darmozjadów, a nad nimi postawić kontrolne bataliony jeszcze wyższej rangi i tak do samej góry. Wciąż eksperymentować /w ZSRR przez cały czas prowadzi się różnorskie "eksperymenty ekonomiczne" na skalę pojedynczych zakładów lub zjednoczeń, bez żadnego jednak wpływu na całość/. Można liczyć - przynajmniej przez pewien czas - na poparcie stumanionych i wymęczonych "dołów", zadowolonych, że dobry car bierze wreszcie za mordę rozpanoszonych urzędasów. Można liczyć na zrozumienie, przychylne uśmieszki, a kto wie czy i nie dodatkowe kredyty na Zachodzie. Można wreszcie uwierzyć, że tak właśnie trzeba, że małe represje i ledwie-ledwie dozowana liberalizacja są właśnie tą godną wielkiego przywódcy odpowiedzią na historyczne wyzwanie. Dzieje ludzkiego samookłamywania nie takie znają przypadki. Za Gorbaczowa oficjalnie mówi się przecież o mechanizmach mających uzależnić płace od wydajności i o reorgsnizacji ministerstw; podobnie w Polsce Jaruzelskiego, za skutkiem sami wiemy jakim. Ale pseudoreforma, "reforma - pro forma", jest tylko daremnym usiłowaniem odsunięcia problemów do jutra, kiedy i tak wiadomo, że owo "jutro" wystawi jeszcze groźniejszy rachunek.

Reforma, która mogłaby coś zmienić, tchnąć nowego ducha w gospodarkę, musiałaby mieć przynajmniej rozmiary reformy chińskiej, a więc przewidywać wyjście "tylnymi drzwiami" z kolektywnego rolnictwa na rzecz chłopskich dzierżaw i działek przyzagrodowych. Dalej: swobodę inicjatywy prywatnej, spółdzielczej, samorządowej i wszelkiej innej w drobnym i średnim przemyśle. Samodzielność wielkich przedsiębiorstw. Bankructwa. Rozwiązanie znacznej części centralnych i lokalnych instytucji administracyjnych. Szeroko otwarte drzwi za granicę. Porozumienie z USA. No i oczywiście konsekwencja tego nowego stanu: rezygnacja przez aparat partyjno-administracyjny ze znacznej części swych wpływów i przywilejów. Wzrost roli jednostki, s z tym nieuchronna de-

mokratyzacja. Rezygnacja przecież nie dobrowolna - bo któż podcina gałąź na której siedzi? - lecz wymuszona. Przez kogo? Armię? KGB? Inną grupę aparatu? Społeczeństwo? Wolne żarty. W ZSRR nie ma społeczeństwa obywatelskiego w tradycyjnym rozumieniu tego słowa, nie ma jakichkolwiek struktur i organizacji choćby troszeczkę niezależnych od państwa i rządzącego aparatu, nawet takich jak polski PRON, "wronie związki", czy "stronnictwa sojusznicze". Trzeba byłoby dopiero to wszystko tworzyć z niczego, odbudowywać obywatelskość z pustki wymiecionej żelazną miotłą stalinowską i zmrożonej kilkudziesięcioletnią wymuszoną jednomyślnością. Jest tylko władza i zatomizowany, wydziedziczony z samodzielności tłum. Taki tłum może albo trwać w biernym posłuchu, albo znienacka ruszyć na Pałac Zimowy albo inną Bastylię. Trudno o mniej sprzyjającą reformom sytuację. Można być wtedy co najwyżej Piotrem Wielkim, który wspierając się na wiernym mu żołnierstwie schwycił bojarów zs kark i kazał zgolić brody.

VI. Kandydat na Piotra Wielkiego - Michaił Gorbaczow - stosunkowo młody, inteligentny, znający Zachód, jest pierwszym radzieckim przywódcą o osobowości nie ukształtowanej w okresie stalinowskim. Musiał wcześniej czy później trafić się taki, choćby z racji naturalnego następstwa pokoleń Do takiego wzdychano od dawna tak na Zachodzie, jak wśród wciąż ufającego "dobremu carowi" ludu. Ale choćby nie wiem jak światłym i przewidującym mężem stanu był Gorbaczow, to cały tradycja polityczna, z której wyrósł on i jego najbliżsi współpracownicy, csła "narzędziownia" polityczna jaką posługuje się jakikolwiek przywódca radziecki, jest konserwatywna, twardogłowa, nieufna zmianom, ksenofobiczna. Niestety. Oni wszyscy uczyli się tylko przeczekiwania, gry na zwłokę, represji. Brali lekcje z przykręcenia śruby, nie z "odwilży". Skąd mieliby się nauczyć czegoś zupełnie niezwykłego, kiedy wobec wyzwań i problemów mają swoje tradycyjne - cóż z tego, że zawodne? - metody.

Tylko Lenin ze skutecznie wprowadzoną pod koniec jego życia Nową Ekonomiczną Polityką /NEP/ oznaczającą rezygnację z kolektywizacji, wycofanie się z przymusu pracy i najbardziej dotkliwych represji, przyzwolenie dla prywatnej inicjatywy i wolnego rynku, dał lekcję idącą w zupełnie innym kierunku. Ale był to wielki i niezwykle elastyczny polityk. Czy Gorbaczow miałby odwagę Lenina? A może odwagę to ma, ale czy ma pozycję i autorytet przywódcy rewolucji, który najpierw był orędownikiem ludowej demokracji, potem stworzył i usztywnił mordęrczy "komunizm wojenny", aż na koniec zanegował go pragmatycznym NEP-em?

Reformy Piotry Wielkiego tchnęły życie w starą Rosję, przesunęły ją ns Zachód. Leninowaki NEP okazał się tylko daremnym epizodem. Ale krótki okres leninowskiej reformy i wynikłego z niej niebywałego ożywienia gospodarczego pokazał, że ekspansja i poczucie wszechświatowej misji wcale nie muszą być jedyną siłą spajającą radzieckie imperium i dającą poczucie sensu jego mieszkańcom. Ta siła prowadziła na Warszawę żołnierzy Tuchaczewskiego, kiedy w 1920 roku tuż za rozlatującą się Polską majaczyła im Europa. Ta siła daje dziś umęczonemu codziennymi niedogodnościami Rosjaninowi przekonanie, że wprawdzie żyje marnie, ale wspomaga Wietnam, Angolę, Polskę i kogo tam jeszcze, niosąc lepszą przyszłość błądzącemu światu. Ta konieczność sprawia, że Związek Radziecki w swej dzisiejszej postaci nie zadowoli się - jak Ameryka - swym własnym bezpieczeństwem, że musi "chcieć świata", wykorzystywać wszelkie rewolucje i ruchawki poza swą bezpośrednią sferą wpływów. Nikołaj Bucharin - czołowa postać polityczna okresu NEP i konkurent Stalina w walce o władzę - sformułował to aż trywialnie jasno: "bogaćcie się!". Bucharin został zmiażdżony, NEP upadł, bogactwo zostało "rozkułaczone", ale tamten okres pokazał, że coś innego może być siłą spajającą ów wielki kraj i z czego innego może wy-

nikść legitymizacja władzy. Taki kurs oznacza jednak nieuchronną wyprzedaż komunizmu w jego dzisiejszej totalitarnej postaci. Pewnie nie wyprzedaż socjalizmu, pewnie jakąś drogę zupełnie inną, rosyjską... Ale takie jest właśnie sedno dylematu stojącego dziś przed Gorbaczowem i jego ludźmi: albo totalitarny komunizm i jego starczy uwiąd ze wszystkimi strasznymi konsekwencjami, albo świadomy demontaż tego systemu, spóźniony szlak ku Zachodowi z wielkim, wielkim ryzykiem.

VII. Gorbaczow i jego ludzie nie mają już dziś chyba złudzeń. Fakty są nagie, o faktach się nie dyskutuje, tylko wyprowadza z nich wnioski. Oczywiście ideologiczne frazesy byłyby dslej niezbędne, podobnie jak w Chinach nadal odklepuje aię marksizm-leninizm a nawet atonowany kult Wielkiego Przewodniczącego. Ale co z tego, że Gorbaczow i jego ludzie wiedzą już wszystko? Nie pierwszy byłby to w historii przypadek, kiedy rządząca grupa wie, że wybrana droga prowadzi do zapaści i nic nie czyni by z niej zejść. Rozumieją wszystko, lecz godzą się na powolny rozpad. Nie tyle za przyczyną osobistego kunktatorstwa i niechęci do reform, ale po prostu dlatego, że niebezpieczeństwa, jakie niesie reformatorski wariant ratunkowy są jeszcze straszniejsze od zagrożeń konserwatywnego trwania. Że dzisiejszy Związek Radziecki już nie wytrzyma reformy.

VIII. Wariant reformatorski oznacza wielką i zapewne ostatnią szansę Rosji, sle jednocześnie odmraża wszystkie nabrzmiałe sprzeczności rosyjskiego imperium, otwiera puszkę Pandory nacjonalizmów, rewindykacji społecznych - wszystkiego, ns co receptą były dotąd represje i milczenie. Jest pociągający ale ogromnie niebezpieczny. Wariant zschowawczy, wypróbowane sposoby nic nie robienis, ewentualnie paliatywnej pseudoreformy, to powolny upadek, który może trwać dziesięciolecia i pokolenia, ale odbywać się będzie z nieuchronnością dziejów miażdżących wszystkie orgsnizmy niezdolne do zmian. Rosja to wielki kraj wielkich zasobów, a Rosjanie to wielki naród wielkiej cierpliwości, ale nawet te źródła - wciąż lekkomyślnie marnotrawione - wysychają. Wariant skrajnie twardogłowego powrotu do Stalinizmu, "cywilizacji łagrowej" i masowych represji oznacza tylko przyspieszenie ostatecznej katastrofy i spotęgowanie cierpień. W tej perspektywie zarówno zagrożenie chińskie, jak paraliżujący efekt przewsgi technologicznaj Zachodu przybliżają się i potęgują.

Rosja i wszystkie - obojętnie czy przymusem czy dobrowolnie - stowarzyszone z Rosją narody znalazły się na straszliwym zakręcie historii. Żyć tak dslej nie podobna, żyć inaczej - nie można.

Gorbaczow, jeśli jego zdrowie uznać za normalne, umrze gdzieś z początkiem XXI wieku, kiedy wszystkie opisane tu zagrożenia dawno się spełnią i kiedy będzie za późno aby zrobić cokolwiek. Podobnie przecież wypełniły się obawy Chruszczowa i nieudanych reformatorów sprzed lat trzydziestu. Jako nowy Piotr Wielki mógłby przejść do historii, ale droga Piotra Wielkiego - jak każda wielka droga - graniczy z drogą ku zatracie. Idąc utartą koleiną partyjnego konserwatyzmu zostanie odnotowany w historii jako grsbarz wielkomocarstwowej potęgi imperium, ale nawarzone piwo spijać będą nsstępcy, zaś on sam spocznie obok swych poprzedników pod kremlowskim murem. Tak, tylko ta jedna droga - choć niechlubna - gwarantuje mu trwałość pozycji aż do śmierci i państwowy pogrzeb. Niestety. Dlatego też tę właśnie drogę trzeba opatrzyć największym stopniem prawdopodobieństwa.

IX. O jakżesz uparcie i bezrozumnie modlimy się o upadek Rosji! Nieszczęsne złudy polskie: pewnego dnia dobry Pan Bóg wytrze gumką z mapy Związek Radziecki albo pies zje Kreml i odtąd nastanie wyśniona Niepodległość. Dlatego możns sobie na jakiejś kanapie układać konstytucję Czwartej Rzeczypospolitej albo spierać się o zakres kompetencji

Sejmu i Senatu spokojnie czekając, aż poruszą się żarna Historii. Tylko, że żarna te mielą okrutnie, krwawo i nieubłaganie nie patrząc wcale na to, czy ktoś miał rację czy nie, czy należał do rządzących czy rządzonych, nie splamił się kompromisem czy też był politycznym łajdakiem. Długi i ciemny proces starczego uwiądu, utraty sił, a potem upadku radzieckiego imperium i nas trzyma w swej orbicie, tym więcej, że te procesy rozkładu najbardziej są zaawansowane w posolidarnościowej Polsce. Będzie to - jak wszystkie podobne upadki w historii - choroba przewlekła, smrodliwa, coraz bardziej odrażająca, coraz głębiej spychająca w nieszczęście, ucisk i biedę wszystkie narody tej części świata. Będzie miała swe paroksyzmy morderczych wstrząsów i okresy powolnego gnicia, ale koniec może być tylko jeden, a wtedy jednakowo daremna będzie ofiara krwi i cierpień. Nie, upadek Związku Radzieckiego, upadek Rosji nie leży w nsszym polskim interesie, podobnie jak nie leży w nim wszczynanie krwawej zamieci, jaka pustoszyłe tę część Europy przed i po zwycięstwie rewolucji. W interesie Polski leży reforma przekształcająca radzieckie imperium w twór zdolny do życia we współczesnym świecie, szanująca podmiotowość wciągniętych w obręb tego imperium ludzi i narodów, dająca im ten stopień niezależności, jaki w tym współczesnym świecie jest realnie możliwy.

Dlatego muszą się znaleźć w dzisiejszej Polsce poza obozem komunistycznym ludzie gotowi przyjąć zapowiedź takiej reformy z wyciągniętą ręką i poczuciem rzeczywistości. Jestem przekonany, że w obozie "Solidarności" takich ludzi jest większość, choć z różnych pobudek ideowych i politycznych występują. Nawet, jeśli to poczucie rzeczywistości powiada, że szansa reformy jest minimalna. Musimy stać z wyciągniętą ręką nie żywiąc ani nadmiernych nadziei, ani nie spodziewając się wzamian niczego dobrego, nie tylko dlatego, że - jak kiedyś i gdzie indziej napisałem - "ręka następnego pokolenia zaciśnie się na nożu", ale też dlatego, że w przeciwnym wypadku wszelkie zrywy będą jeszcze bardziej niż Sierpień daremne, choć pewnie jeszcze bardziej niż Grudzień krwawe; aż do odległego, choć nieuchronnego końca, przy którym wspominać będziemy dzisiejszą Polskę jako kraj wolności i dobrobytu.

Czy dzisiejsze społeczeństwo polskie pozbawione swej wiarygodnej reprezentacji, pozbawione rządu, któremu mogłoby ufać, jest w stanie wywrzeć jakiś znaczący wpływ na ewentualne opcje gorbaczowowskiego przywództwa? Nie wiem. Ale usiłowania są niezbędne nawet wobec znikomości szansy. Dlatego właśnie piszę ten nieoptymistyczny tekst jawnie z imieniem i nazwiskiem. Polacy - wbrew utartym mitom - nsuczyli się być realistami, potrafią ograniczść swè nadzieje, chować nsjsłuszniejsze urazy. Dowodnie o tym poucza analiza społecznych zrywów w powojennym czterdziestoleciu - od października 1956 aż po sierpień 1980. Polecam gorąco tę analizę kremlowskim przywódcom. Polecam im także ponowną analizę spontanicznego poparcia społeczeństwa dla "listu trzydziestu pięciu" z września 1981 roku, którego byłem współsygnatariuszem. A list ten dotyczył właśnie sedna polsko-radzieckich stosunków i jego zasadnicza teza długo jeszcze będzie aktualna.

X. Historia patrzy dziś na Kreml, patrzy na kremlowskiego przywódcę. Z tego nie wynika jeszcze nic. Historia patrzyła już przychylnie na wielu, wielu nie wytrzymało tego spojrzenia, bo ograniczony jest okres dany każdemu z nich i ograniczony jest zakres szansy. Historia jest cierpliwa: idzie dalej swoim szlakiem, a tylko na jego poboczsch pozostają bezużyteczne szczątki koncepcji, szans i wielkich zamysłów.

JERZY SURDYKOWSKI

TAJNA POLICJA

Dotychczas znamy tylko dwie autentyczne formy panowania totalitarnego: dyktaturę Narodowego Socjalizmu po 1938 r. i dyktaturę Bolszewizmu od 1930 r. Fromy te różnią się zasadniczo od innych rodzajów rządów dyktatorskich, despotycznych czy tyranii, nawet uwzględniając fakt, że rozwinęły się one, z cechami pewnej kontynuacji, z dyktatury partii. Ich zasadniczo totalitarne cechy są nowe i nie można ich wywieść z systemu jednopartyjnego. Celem systemów jednopartyjnych jest nie tyle i nie tylko opanow-snie administracji państwowej, ale obsadzenie urzędów członkami partii, osiągnięcie pełnego stopienia się państws i psrtii. Proces ten idzie tak daleko, że po przejęciu władzy partia staje się czymś w rodzaju organizacji propagandowej na usługach rządu. System ten jest więc "totalny" tylko w sensie negatywnym. Rządząca partia nie toleruje jakiejkolwiek innej partii, jakiejkolwiek opozycji i nie godzi się na jakąkolwiek wolność opinii w sprawach politycznych. Z chwilą dojścia do władzy pozostawia ona jednak nienaruszone wzajemne relacje pomiędzy rządem a partią; rząd i wojsko posiadają ten sam zakres władzy co przedtem. "Rewolucja" zaś sprowadza się do tego, że wszystkie stanowiska rządowe są obecnie okupowane przez członków partii. W każdej z tych form rządów władza partii opiera się na monopolu gwarantowanym przez instytucje państwa, partia jako taka nie stanowi odrębnego centrum władzy.

Rewolucja zainicjowana przez ruchy totalitarne, po przejęciu przez nie władzy, jest znacznie radykalniejsza. Od początku ruchy te dążą świadomie do utrzymania zasadniczych różnic pomiędzy państwem a ruchem i zapobieżeniu zjawisku wchłonięcia przez rząd instytucji "rewolucyjnych". Problem opanowania machiny państwowej bez równoczesnego stopienia się z nią jest rozwiązywany w ten sposób, że pozwala na awans w hierarchii państwowej tylko mało znaczącym członkom ruchu. Cała rzeczywista władza przysługuje instytucjom ruchu usadowionym poza aparatem państwa i wojska. To właśnie wewnątrz ruchu usytuowane jest centrum życia kraju i tam zapadają wszystkie decyzje. Oficjalni urzędnicy państwowi często nie są nawet informowsni o tym co się dzieje, s członkowie partii z ambicjami ograniczającymi się do awansu na fotele ministerialne płacą zawsze za takie "burżuazyjne" zachcianki utratą wpływów w samym ruchu i utratą zaufanis jego przywódców.

Totalitaryzm u władzy traktuje państwo jako swoją zewnętrzną fasadę, której zadaniem jest reprezentowanie kraju wobec świata nietotalitarnego. Totalitarne państwo jako takie jest logicznym dziedzicem ruchu totalitarnego, z którego zapożycza swoją strukturę organizacyjną. Rządy totalitarne traktują rządy nietotalitarne tak samo, jak traktowały partie parlamentarne i frakcje wewnątrzpartyjne zanim zdobyły władzę. Nadal więc, tyle, że na większą międzynarodową skalę, stoją przed tym samym podwójnym problemem: ochrony fikcyjnego świata ruchu /lub totalitarnego kraju/ od wpływów świata realnego przy równoczesnym prezentowaniu rzekomej normalności i zdrowego rozsądku na użytek normalnego świata zewnętrznego.

Ponad państwem i poza fasadą upozorowanego rządu ze swoim labiryntem rozmnożonych urzędów, podkreślających wszystkie przesunięcia w sferze władzy i z całym chaosem niekompetencji - znajduje się jądro władzy wykonawczej kraju: superskuteczne i superfachowe służby tajnej policji. Nacisk położony na policję jako jedyny organ władzy i towarzyszące temu wyraźne pominięcie większego arsenału siły jaką stanowi wojsko, jest cechą charakterystyczną wszystkich reżimów totalitarnych. Fakt ten można częściowo tłumaczyć totaliterną aspiracją do rządzenia całym światem i wypływającym z tego świadomym odrzuceniem rozróżnienia pomiędzy krajem obcym i własnym, między sprawami zagranicznymi a

wewnętrznymi. Wojsko, sposobione do walki z obcym agresorem, było zawaze wątpliwym narzędziem w wojnie domowej i nawet w warunkach totalitarnych armia ma trudności z patrzeniem na własną ludność oczami obcego najeźdźcy. Co ważniejsze, wartość armii staje się problematyczna nawet w czasie wojny. Z założenia władza totalitarna prowadzi politykę zmierzającą do zdobycia panowania nad światem, stąd ofiary jej agreaji są traktowane tak, jak gdyby były rebeliantami, osobami winnymi zdrady. Dlatego woli ona rządzić podbitymi krajami przy pomocy policji a nie wojska.

Jeszcze zanim ruch ten zdobędzie władzę, posiada już tajną policję i służby szpiegowskie z agendami w różnych krajach. Później jego agenci otrzymują więcej pieniędzy i posiadają więcej kompetencji niż normalny wywiad wojskowy i stają się zazwyczaj tajnymi szefami ambasad i konsulatów za granicą. Zadaniem ich jest organizowanie piątej kolumny w danym kraju, kierowanie filiami ruchu wpływającymi na politykę wewnętrzną danego kraju, a ogólnie, dokonywanie przygotowań na tę chwilę, w której władza totalitarns - po obaleniu rządu lub zwycięstwie militarnym - może wystąpić jawnie. Innymi słowy, międzynarodowe sekcje tajnej policji /dalej tp/ są pasami transmisyjnymi przekazującymi stale dyrektywy, rzekomo zagranicznej polityki państwa totalitarnego, będące w rzeczywistości potencjalnymi sprawami wewnętrznymi ruchu totslitarnego.

Jednakże funkcje te, wykonywane przez tp jako przegotowanie totalitarnej utopii rządów nad światem są wtórna w stosunku do tych, które ma wypełniać dla realizacji totalitarnej fikcji w jednym kraju. Dominująca rola tp w dziedzinie polityki wewnętrznej państwa totalitarnego jest źródłem wielu nieporozumień na temat totalitaryzmu. Co prawda, każdy despotyzm polega w znacznym stopniu na usługach tp, gdyż czuje się bardziej zagrożony ze strony własnego narodu niż obcego, ale analogia ta potwierdza się tylko w pierwszych okresach rządów totalitarnych, gdy ciągle jeszcze istnieje opozycja polityczna./.../

W pierwszych okresach rządów totalitarnych zarówno tp jak i szeregi elity partyjnej odgrywają rolę podobną do tej, jaką widzi się w innych formach dyktatury i dobrze znanych reżimach terrorystycznych przeszłości, a nadmierne okrucieństwo ich metod jest czymś nieporównywalnym dla znających wyłącznie historię współczesnych państw Zachodu.

Pierwszy okres: wykrywanie ukrytych wrogów i polowanie ns byłych przeciwników łączy się zwykle z wpisaniem całej ludności do organizacji Frontu oraz reedukacją starych towarzyszy partyjnych w tym duchu, by byli skłonni podjąć dobrowolnie funkcję szpiegowania. Robi się to po to, by raczej wątpliwe poparcie sympatyków z przymusowego poboru nie musiało niepokoić specjalnie wyszkolonych kadr policji. W tym okresie sąsiad staje się bardziej niebezpiecznym wrogiem dls tego, kto zdaje się mieć jakieś "niebezpieczne myśli", niż oficjalny tajny agent policji. Koniec pierwszego etapu ma miejsce z chwilą likwidscji otwartego i tajnego oporu w jakiejkolwiek zorganizowanej formie. W Niemczech miało to miejsce ok.1935 r. a w Związku Sowieckim ok.1930 r.

Dopiero z chwilą zakończenia ekaterminacji prawdziwych wrogów i rozpoczęciu polowania na "obiektywnych wrogów" mamy do czynienia z prawdziwym reżimem totalitarnym. Pod pretekstem budowy socjalizmu w jednym kraju lub traktowania określonego terytorium za laboratorium doświadczeń rewolucyjnych, bądź też realizacji Volksgemeinschaft, drugie roszczenie totalitaryzmu, roszczenie totalitarnego panowania zostaje wprowadzone w czyn. Chociaż teoretycznie totalne panowanie jest możliwe tylko w warunkach sprawowania rządów nad całym światem, rządy totalitarne udowodniły, że ta część totslitarnej utopii może być zrealizowana niemal do perfekcji bez tego warunku. Wypływa to z faktu, że jest to czasowo niezależne zarówno od zwycięstwa jak i porażki ...

Formacje elitarne ruchu nazistowskiego czy też "kadry" ruchu bol-

szewickiego służą bardziej celom totalnego panowania niż zabezpieczenia reżimu przy władzy. Tak jak totalitarne roszczenie do rządzenia światem jest tylko pozornie tym samym co ekspansja imperialistyczna, tak i roszczenie do totalnego panowania /w danym kraju/ wydaje się być tylko czymś znajomym badaczowi despotyzmu. Jeśli podstawową różnicą pomiędzy totalitarną a imperialistyczną ekspansją jest to, że totalitarna nie uznsje żadnej różnicy pomiędzy własnym a obcym krajem, to podstawową różnicą pomiędzy despotyczną a totalitarną policją jest fakt, że totalitarna nie poluje na skryte myśli i nie używa starej metody tp, tj. metody prowokacji.

Z uwagi na to, że totalitarna tp rozpoczyna swoją karierę dopiero po spacyfikowaniu kraju, dla zewnętrznego obserwatora zawsze wydaje się ona instytucją całkowicie zbyteczną i co więcej, jej rozkwit skłania go do fałszywego poglądu, że istnieje nadal jakiś tajny opór. Fakt zbędności tp nie jest niczym nowym, jej funkcjonariuszy zawsze gnębiła potrzeba udowodnienia swej użyteczności, zwłaszcza wtedy, gdy pierwotnie postawione przed nią zadania zostały wykonane./.../ Nie było np. ani jednej akcji antyrządowej za Ludwika Filipa, która nie byłaby inspirowana przez policję. Podobnie rola tajnych agentów we wszystkich partiach rewolucyjnych carskiej Rosji wybitnie wskazuje, że bez ich "inspirujących" prowokacyjnych akcji rosyjski ruch rewolucyjny byłby dużo mniej skuteczny. Mówiąc inaczej - prowokacja zarówno pomagała w podtrzymaniu tradycji, jak i raz po raz zaburzała przygotowania do rewolucji.

Ta dwuznaczna rola prowokacji mogła być jedną z przyczyn, dla której rządy totalitarne ją odrzuciły. Co więcej, prowokacjs jest jednoznacznie potrzebna tam, gdzie zakładamy, iż podejrzenie nie jest dostateczne do aresztowania i skazania. Żadnemu z totalitarnych władców nie przyszło nawet do głowy, by miały zaistnieć takie warunki, w których czułby się zmuszony odwoływać do prowokacji dla schwytania kogokolwiek, uważanego przez siebie za wroga. Dużo ważniejsze od tych technicznych rozważań jest stwierdzenie, że totalitaryzm zdefiniował swoich wrogów ideologicznie jeszcze zanim zdobył władzę. Stąd też kategorie "podejrzanych" nie zostały ustalone na podstawie informacji policyjnych. Zarówno Żydzi w narodowo-socjalistycznych Niemczech, jak i "potomkowie byłych klas panujących" w Rosji Sowieckiej nie byli realnie podejrzani o jakąś wrogą działalność.. Zostali określeni jako "obiektywni"wrogowie reżimu zgodnie z ideologią.

Główna różnica pomiędzy tp despotyczną a totalitarną zawiera się w różnicy pomiędzy pojęciem "podejrzanego" a "obiektywnego wroga".Ten drugi jest zdefiniowany politycznie przez władze a nie przez własne pragnienie jej obalenia. "Obiektywny wróg" nie jest nigdy osobnikiem, którego niebezpieczne myśli muszą zostać sprowokowane lub którego przeszłość usprawiedliwia podejrzenie, że jest on "nosicielem tendencji", tak jak można być nosicielem choroby. Ściśle mówiąc - rządca totalitarny postępuje jak człowiek, który uparcie znieważa drugiego człowieka po to, by wszyscy widzieli, że ten drugi jest jego wrogiem i dzięki temu mógł pójść i zsbić go przy zachowaniu pozorów, że działał w samoobronie. Jest to zapewne nieco brutalne załatwienie sprawy, ale okazało się skuteczne - o czym dobrze wie każdy, kto obserwował niektórych karierowiczów wykańczających swoich przeciwników.

Wprowadzenie pojęcia "obiektywnego wroga" jest czymś dużo bardziej znaczącym dla funkcjonowania reżimów totalitarnych niż ideologiczne definiowanie odpowiednich kategorii /wrogów/. Gdyby chodziło tylko o nienawiść do Żydów czy burżujów, to reżimy totslitarne po popełnieniu jednej gigantycznej zbrodni mogłyby, jak gdyby nigdy nic, powrócić do normalnego sposobu życia i rządzenia. Jak wiemy, mamy do czynienia z czymś wręcz odwrotnym. Stąd też kategoria "obiektywnych wrogów" przetrwała pierwszych ideologicznie określonych wrogów ruchu, a nowi "obiektywni wrogowie" są coraz to wykrywani wraz ze zmieniającymi się okolicznościami. Naziści, spodziewając się rychłego zakończenia eks-

terminacji Żydów, podjęli za wczasu wstępne kroki zmierzające do eksterminacji narodu polskiego a Hitler planował nawet zdziesiątkowanie pewnych kategorii Niemców. Bolszewicy, zacząwszy od potomków dawnych klas rządzących, przerzucili swój terror na kułaków /we wczesnych latach 30-tych/, po których poszli Rosjanie polakiego pochodzenia /pomiędzy 1936 a 1938 rokiem/ a Tatarzy i Niemcy Nadwołżańscy w czasie wojny. Po wojnie terrorem objęto byłych jeńców aowieckich i całe jednostki sił okupacyjnych Armii Czerwonej,a po ustanowieniu państwa Izrael terror dosięgnął Żydów rosyjskich. Wybór tych a nie innych kategorii nie jest nigdy całkiem arbitralny, gdyż podaje się je do publicznej wiadomości i mają służyć celom propagandowym ruchu za granicą, tym samym musi być to wybór pozornie wiarygodny /.../ Koncepcja "obiektywnego wroga", którego tożsamość zmienia się zależnie od okoliczności tak, że po zlikwidowaniu jednej kategorii można zacząć wojnę z następną - odpowiada dokładnie faktycznej sytuacji stale powtarzanej przez totalitarnych rządców, tj., że ich reżim nie jest rządem w jakimkolwiek tradycyjnym sensie tego słowa, lecz r u c h e m, którego postęp stale napotyka ns przeszkody a te trzeba pokonywać. Jeśli można mówić o jakimkolwiek prawniczym myśleniu w obrębie ruchu totalitarnego, to idea "obiektywnego wroga" jest tego myślenia ideą centralną.

Ściśle związaną z odejściem od idei podejrzanego na rzecz "obiektywnego wroga" jest zmiana miejsca tp w państwie totalitarnym. Tp słusznie była nazywana "państwem w państwie" i to nie tylko w despotyzmie, ale i w warunkach rządów konstytucyjnych czy też na poły konstytucyjnych. Sam fakt posiadania tajnych informacji zawsze dawał temu resortowi decydującą przewagę nad wszystkimi pozostałymi działami służb publicznych, stanowiąc zresztą tym samym, jawne zagrożenie dls członków rządu. Policja totalitarna, wręcz przeciwnie, jest całkowicie posłuszna przywódcy jako temu, który samodzielnie podejmuje decyzję o tym, kto zostanie kolejnym potencjalnym wrogiem i który, jak to zrobił Stalin, może nawet wskazać tę część kadry samej tp w celu jej zlikwidowania. Zakaz stosowanis prowokacji pozbawia policję jedynego dostępnego środka zapewnienia sobie trwałej egzystencji niezależnej od koniunktur rządowych, czyniąc ją całkowicie zależną od władzy. Podobnie jak armia w krajach nietotalitarnych, policja w systemie totalitarnym jest wyłącznie wykonawczynią zadań politycznych. Utraciła tym ssmym wszystkie prerogatywy, jakie posiadała pod rządami biurokracji despotycznej.

Zadanie policji totalitarnej nie polega ns wykrywaniu przestępstw, sle na byciu pod ręką w chwili, gdy władza podejmie decyzję o zaaresztowaniu określonej kategorii ludzi. Jej podstawowym wyróżnikiem politycznym jest to, że tylko ona cieszy się zaufaniem najwyższych władz i zna zamierzony kierunek linii politycznej. Nie dotyczy to wyłącznie spraw najwyższej polityki, takich jak likwidacjs całej klasy społecznej czy grupy etnicznej /tylko kadry GPU znały aktuelne cele rządu sowieckiego we wczesnych latach 30-tych i tylko formacje SS wiedziały, że nastąpi eksterminacje Żydów w latach 40-tych/. Istotnym elementem życia codziennego w warunkach totalitarnych jest fakt, że tylko agenci NKWD w zakładach pracy zostają poinformowani o tym, czego chce Moskwe. Gdy zażąda ona np. przyspieszenia produkcji rur, nikt poza nimi nie wie - czy oznacza to po prostu, że chce się więcej rur, czy zniszczenia dyrektora fabryki, czy likwidacji całej dyrekcji, zamknięcia fabryki, czy wreszcie Moskwa chce, by to żądanie zostało powtórzone w całym kraju jako sygnał do kolejnej czystki. Jednym z powodów zdwojenia tajnych służb, których agenci nie znają się nawzajem, jest wymóg skrajnej elastyczności, niezbędny w systemie totalnego panowania. Posłużmy się naszym przykładem: Moskwa może jeszcze nie wiedzieć w chwili wydawania decyzji na temat rur, czy chce rzeczywiście nowych rur /których wiecznie potrzebuje/, czy też nowej czystki. Zwielokrotnienie tajnych służb umożliwia wprowadzenie zmian w ostat-

niej chwili. W tej sytuacji jedna sekcja może się przygotowywać do wręczenia dyrektorowi fabryki orderu Lenina a druga równocześnie przygotowuje się do jego aresztowania. Skuteczność tp polega na tym, że takie wzajemnie wykluczające się zlecenie mogą być przygotowywane równocześnie.

Po rządami totalitarnymi, tak jak i w innych reżimach, tp ma monopol dotyczący pewnych istotnych informacji. Ale rodzaj tych informacji, dostępnych tylko policji, przeszedł znaczącą ewolucję - tp nie zajmuje się już zdobywaniem wiadomości na temat tego, co kiełkuje w głowach przyszłych ofisr /zwykle nie zajmuje się również tym, kto nimi będzie/ - policja stała się teraz powiernikiem największych tajemnic państwowych. Oznacze to automatycznie znaczny wzrost prestiżu i pozycji mimo, że towarzyszy temu jednoznaczna utrata rzeczywistej władzy. Tajne służby nie wiedzą już nic, o czym przywódca nie wiedziałby jeszcze lepiej, a to w strukturze władzy oznacza, że spadły one do poziomu wykonawczego.

Z prawnego punktu widzenia jeszcze ciekawszym zjawiskiem niż zestąpienia pojęcia "podejrzanego" przez "wroga obiektywnego", jest totalitarne zastąpienie pojęcie "przestępstwa domniemanego" przez "przestępstwo możliwe". "Przestępstwo możliwe" jest nie mniej subiektywne niż "obiektywny wróg". W warunkach normalnych podejrzany trafia do aresztu, ponieważ sądzi się o nim, że jest w stanie popełnić przestępstwo, mniej lub bardziej pasujące do jego osobowości /lub jego domniemanej osobowości/. Totalitarna wersja "przestępstwa możliwego" oparta jest natomiast na logicznym przewidywaniu "obiektywnych procesów rozwojowych". Procesy moskiewskie starej gwardii bolszewickiej i dowódców Armii Czerwonej były klasycznym przykładem skazania za "przestępstwa możliwe". Z fantastycznych, sfabrykowanych oskarżeń można odtworzyć następujące logiczne rozumowanie: rozwój wypadków w Związku Sowieckim może prowadzić do kryzysu, kryzys może prowadzić do obalenia dyktatury Stalina, to może osłabić siłę militarną kraju, czego następstwem może być sytuacja, w której rząd będzie zmuszony podpisać zawieszenie broni lub nawet zawrzeć przymierze z Hitlerem. Stalin więc oświadcza: spisek mający na celu obalenie rządu i konspirowanie z Hitlerem miał rzeczywiście miejsce. Przeciwko tej "obiektywnej" choć całkowicie nieprawdopodobnej możliwości przemawiały przesłanki "subiektywne" takie jak: pełnia zaufania do oskarżonych, ich zmęczenie, ich niezdolność do zrozumienia o co toczy się gra, ich pełne przekonanie, że bez Stalina wszystko będzie skończone, ich szczera nienawiść do faszyzmu - a więc pewna ilość rzeczywistych faktów, ale którym oczywiście brak zwartości cechującej fikcyjne, logiczne "przestępstwo możliwe". Tak więc osiowe założenie totalitaryzmu, że wszystko jest możliwe, prowadzi poprzez konsekwentną eliminację rzeczywistych faktów do absurdu i koszmarnych następstw, polegających na tym, że każde przestępstwo jakie tylko są sobie w stanie wyobrazić rządzący, musi zostać ukarane, niezależnie od tego czy zostało popełnione, czy też nie. Definiowanie "przestępstwa możliwego" tak jak i "obiektywnego wroga" mieści się oczywiście poza kompetencjami policji, która nie jest w stanie ani go wykryć, ani wymyślić, ani też sprowokować. W tym również tajne służby są całkowicie uzależnione od władzy politycznej; znika tym samym ich niezależność jako państwa w państwie.

Tylko pod jednym względem totalitarna tp podobna jest do tejże w krajach nietotalitarnych. Tp tradycyjnie, tj. od czasów Fouchèta, czerpała zyski eksploatując swoje ofiary i zwiększała oficjalny budżet państwa z pewnych nieortodoksyjnych źródeł w prosty sposób włączania się ns zasadach partnerskich w taką działalność, co do której można się było spodziewać, iż będzie przez nią raczej ścigana, np. hazard czy prostytucja /.../ Budzi zdumienie fakt, że finansowanie działalności policji z dochodów czerpanych od swoich ofiar przeżyło wszystkie pozostałe zmiany. W Rosji Sowieckiej NKWD niemal całkowicie zależy od dochodów czerpanych z niewolniczej pracy./.../ Jednakże te finansowe naruszenia przepisów są jedynym i do tego niezbyt istotnym

śladem tradycji w działalności policji politycznej. Mogą się pojawić w sytuacji ogólnego lekceważenia przez reżimy totalitarne spraw ekonomicznych i finansowych. Stąd metody, które w normalnych warunkach byłyby nielegalne i wyróżniały tp od pozostałych, bardziej poważanych działów administracji, przestały rzucać się w oczy. Wszędzie mamy atmosferę naruszania przepisów, braku odpowiedzialności, jak i poczucia stabilizacji. Na takim tle ocene tp wypada wręcz korzystnie. Sytuacja tp jest całkowicie ustabilizowana, jej służby całkowicie wkomponowane w administrację. Organizacje ta nie tylko nie lokuje się poza nawiasem prawa, ale wręcz przeciwnie - jest wcieleniem prawa a jej prestiż jest poza wszelką dyskusją. Nie organizuje już przecież morderstw z własnej inicjatywy, nie prowokuje już wystąpień przeciwko państwu i społeczeństwu, uczciwie ściga wszelkie formy łapownictwa i inne formy nielegalnych dochodów./.../ Jeśli nadal zajmuje się "niebezpiecznym myśleniem", to nie dotyczy to takich myśli, w których podejrzane osoby mogłyby myśleć, iż są podejrzanymi. Reglamentacja całego życia intelektualnego i artystycznego wymage stałego ustanawiania nowych i rewizji dotychczasowych standardów, czemu towarzyszy oczywiście stała eliminacja tych intelektualistów, których "niebezpieczne myśli" dotyczą idei, które jeszcze wczoraj były całkowicie ortodoksyjnymi. Stąd wniosek, że jeśli policyjne funkcje tp stały się wręcz pozorne, to funkcje ekonomiczne, o których sądzi się, że zastąpiły te pierwsze, wydają się jeszcze bardziej wątpliwe./.../

Nie są natomiast ani wątpliwe, eni pozorne polityczne funkcje tp, "najlepiej zorganizowanego i najbardziej efektywnego"pionu aparatu władzy reżimu totalitarnego. Tp stanowi prawdziwy wykonawczy pion rządu, przez który przekazywane są wszystkie rozkazy. Poprzez sieć tajnych agentów władca totalitarny stworzył sobie bezpośredni pas transmisyjny, który w przeciwieństwie do amorficznej struktury rzekomej hierarchii jest całkowicie odcięty i izolowany od wszystkich pozostałych instytucji. W tym sensie agenci tp są jedyną rzeczywiście rządzącą klasą w krajach totalitarnych a ich standardy i skala wyznawanych wartości przenikają całą tkankę społeczeństwe totalitarnego. Nie można się więc dziwić, że pewne szczególne cechy przypisywane tp raczej są cechami całego totalitarnego społeczeństwa niż osobliwościami totalitarnej tp. Np. kategoria podejrzanego w warunkach totalitarnych dotyczy całej ludności. Każda myśl, która odbiega od oficjalnie przepisanej i stale zmieniającej się linii jest już podejrzana bez względu na to, w jakiej dziedzinie ludzkiej działalności się pojawi. Z prostego powodu, jakim jest ludzka zdolność do myślenia, każda istota ludzka jest z definicji podejrzana i tego podejrzenia nie da się rozproszyć wzorcowym zachowaniem, albowiem ludzka zdolność do myślenia jest również zdolnością do zmiany poglądów. Co więcej, ponieważ rzeczą niemożliwą jest poznanie do dna duszy ludzkiej - tortury w tym kontekście są jedynie desperacką i kompletnie jałową próbą osiągnięcia tego, co nieosiągalne - podejrzenie nie może już być rozproszone, gdyż nie istnieje już ani wspólnota wartości, ani przewidywalność odczuć korzyści własnej jako elementów rzeczywistości społecznej /w przeciwieństwie do wyłącznie psychologicznej/. Dlatego wzajemna podejrzliwość przenika całość stosunków społecznych krajów totalitarnych i tworzy atmosferę totalnej podejrzliwości nawet poza granicami zasięgu tp.

Prowokacja w reżimech totalitarnych, będąca kiedyś wyłączną specjalnością tajnego agenta, staje się metodą stosowaną wobec swojego sąsiada, który niemal bezwiednie zaczyna robić to samo. Każdy w jakiś sposób jest "agentem provocateur" każdego, każdy też nazwie się sam "agentam provoceteur" przy obowiązującej regule, że treść przyjacielskiej nawet wymiany "niebezpiecznych myśli" /lub tego, co w międzyczasie urosło do rangi "n.m."/ winna dotrzeć do władz. Współpraca ludności w demaskowaniu przeciwników politycznych i ochotnicza służba w cha-

rakterze donosicieli nie są z całą pewnością czymś dotychczas niespotykanym, ale w krajach totalitarnych jest to tak dobrze zorganizowane, że niemal zbyteczną staje się praca fschowców. W systemie wszechobecnego szpiegowania, gdzie każdy może być agentem policji, każdy czuje, że jest pod stałym nadzorem, ma poczucie niepewności swojej kariery; w kraju, w którym najbardziej spektakularne wzloty i upadki są chlebem codziennym - każde słowo jest dwuznaczne i staje się przedmiotem retrospektywnej "interpretacji".

Najbardziej uderzającym dowodem przesiąknięcia społeczeństwa totalitarnego metodami tp, jej standardami, jest mechanizm kariery. W reżimach nietotalitarnych podwójny agent uważany był za tego, który będzie zwalczał równie skutecznie,a może nawet bardziej, rząd a nie opozycję. Często żywił on coś w rodzaju podwójnej ambicji: chciał awansować w szeregach partii rewolucyjnej jak i w szeregach tajnych służb Dla osiągnięcia tego podwójnego celu musiał uciekać się do metod,które w normalnych społeczeństwach mogą się rodzić w marzeniach drobnych urzędników, których los jest przesądzony obowiązującą zasadą starszeństwa przy awansowaniu. Taki agent, poprzez swoje policyjne koneksje, mógł z całą pewnością wyeliminować swoich rywali i przełożonych w partii, a poprzez swoje wpływy w partii miał szanse pozbycia się swojego szefa w policji /typowa jest wspeniała kariera agenta policji, Malinowskiego, który zakończył ją jako agent bolszewików w parlamencie/. Oceniając możliwość kariery we współczesnym społeczeństwie rosyjskim, podobieństwo metod jest uderzające. Nie tylko niemal wszyscy wyżsi notable zawdzięczają swoją pozycję kolejnym czystkom, które usunęły ich poprzedników, ale również tempo awansów we wszystkich dziedzinach uległo w ten sposób wyraźnemu przyspieszeniu. Niemal dokładnie co 10 lat ogólnokrajowa czystka zwalnia posady dla nowej generacji świeżo wykształconych i głodnych posad młodych ludzi. Tym samym polityka władz w sprawach awansowania jest dokładnie taka sama, jską wcześniej musiał na własną rękę prowadzić agent policji.

Regularne i burzliwe wywracanie do góry nogami całej gigantycznej machiny biurokratycznej, szkodliwe choćby w dziedzinie rozwoju kompetencji, ma jednak wiele zalet: zapewnia względną młodość oficjeli i zapobiega stabilizacji warunków, co przynajmniej w czasach pokojowych jest brzemienne w skutki niebezpieczne dla totalitarnego władcy.Przez wyeliminowanie zasad starszeństwa i kompetencji można zapobiec pojawieniu się poczucia lojalności, które wiąże zwykle młodych członków organizacji ze starszyzną, od której opinii i dobrej woli zależy ich awans. Eliminuje się przez to raz ne zawsze niebezpieczeństwo bezrobocia i zepewnia każdemu pracę odpowiadającą jego wykształceniu. Dlatego też, po gigantycznej czystce, Stalin mógł oświadczyć w 1939 r. i to z wielką satysfakcją, że "partia była w stenie awansować na kierownicze stanowiske w państwie i partii ponad 500 000 młodych bolszewików". Uczucie poniżenia, jakie wypływa z faktu zdobycia pracy dzięki niesprawiedliwej eliminacji poprzednika, ma ten sam demorelizujący efekt, jaki wywarła na Niemców eliminacja Żydów. Każdy posiadający pracę stał się świadomym wspólnikiem zbrodni, jej beneficjantem, czy mu się to podobało, czy nie. Miało to zaś taki skutek, że im bardziej wrażliwą była poniżona jednostka, tym gorącej broniła reżimu. Mówiąc inaczej: system ten jest logicznym wykwitem zasady wodzowskiej ze wszystkimi jej konsekwencjami, w tym najlepszą możliwie gwarancją lojalności przez fakt, że każde kolejne pokolenie czyni zależnym w zakresie środków od życia do bieżącej linii politycznej przywódcy, który zapoczątkował czystki tworzące nowe miejscs pracy. System ten również zapewnia tożsamość interesów publicznych i prywatnych, z czego tak dumni byli obrońcy Związku Sowieckiego /lub w wersji nazistów - obalanie prywatnej sfery życia/. Działa to na tyle, na ile każda znaczniejsza jednostka wiąże całą swoją egzystencję z politycznymi interesami reżimu i godzi się z tym, że z chwilą przerwania tej rzeczywistej zgodności interesów kolejna czystka usunie ją z urzędu a reżim dopilnuje, by zniknęła ona ze świata żywych. W oparciu o zasady

niewiele różniące się od wyżej opisanych, podwójny agent identyfikował się ze sprawą rewolucji /bez czego utraciłby pracę/ a nie tylko z tp, gdzie każdy spektakularny awans mógł zakończyć się wyłącznie anonimową śmiercią, gdyż było mało prawdopodobne, by taka podwójna gra mogła toczyć się bez końca. Rząd totalitarny, poprzez stworzenie takich warunków awansu, jakie wcześniej spotykało się w świecie przestępczym, spowodował zmiany w sferze psychologii społecznej o daleko sięgających konsekwencjach. Psychologiczna postawa podwójnego agenta, który skłonny był zapłacić cenę skrócenia życia za kilkuletnie wyniesienie na wysokie stanowisko, stała się w sposób oczywisty filozofią całego porewolucyjnego pokolenia w Rosji i w mniejszym, ale równia groźnym stopniu, w powojennych Niemczech.

Otrzymujemy więc obraz społeczeństwa przesiąkniętego standardami i egzystującego w sposób, który kiedyś był wyłączną własnością tp. Tylko w okresach początkowych, kiedy jeszcze toczy się walka o władzę, ofiarami tego społeczeństwa są ci, którzy mogą być rzeczywiście podejrzani o opozycję. W fazie następnej poświęca się ono kryteriom totalitarnym, prześladując "obiektywnych wrogów", którymi mogą być Żydzi lub Polacy /w przypadku nazistów/ lub tzw. kontrrewolucjoniści - oskarżenie, które w Związku Sowieckim postawiono... zanim w ogóle pojawiły się jakiekolwiek wątpliwości co do lojalności oskarżonych./.../ Tylko w ostatnim, w pełni totalitarnym okresie zostaje porzucona koncepcja "obiektywnego wroga" i "logicznie możliwego przestępstwa", a ofiary są wybierane zupełnie przypadkowo, nawet bez prób oskerżenia o cokolwiek, określane po prostu jako nie nadające się do dalszej egzystencji. Ta nowa kategoria "niepożądsnych" może składać się, jak u nazistów, z ludzi chorych psychicznie lub chorych na płuca i serce, lub, jak w Związku Sowieckim, z ludzi, którym po prostu zdarzyło się zmieścić w procencie /różnym dla różnych obszarów/ tych, którzy mają być deportowani.

Taka konsekwentna arbitralność decyzji neguje ludzką wolność dużo skuteczniej niż czyniła to kiedykolwiek dowolna forma tyranii. W sytuacji tyranii trzeba było być przynajmniej jej wrogiem aby zostać skazanym. Wolność opinii nie zniknęła tam przynajmniej pośród tych, którzy byli dostatecznie odważni by zaryzykować głową. Teoretycznie w tyranii możliwy był wybór postawy opozycyjnej, lecz taka wolność jest wręcz niemożliwa tam, gdzie popełnienie świadomego czynu co najwyżej gwarantuje "karę", która i tak spotka każdego. Wolność w tym systemie nie tylko zwyrodniała do ostatniej, najwyraźniej niezniszczalnej możliwości - możliwości popełnienie samobójstwa, ale również utraciła swoje wyróżniające piętno, ponieważ konsekwencje jej egzekwowania dzielone są z zupełnie niewinnymi ludźmi./.../ Zarówno niewinni jak i winni są równie niepożądani.

Zmiena, jake zaszła w koncepcji przestępstwa i przestępcy zdeterminowała nowe i przerażające metody totalitarnej tp. Przestępców jednak się skazuje, a "niepożądani" znikają po prostu z powierzchni ziemi. Jedynym śladem, który po sobie zostawiają jest pamięć tych, którzy ich znali i kochali. Stąd jednym z najtrudniejszych zadań tp jest spowodowanie, by nawet te ślady zniknęły wraz z potępionym człowiekiem.

Ochrana, carski odpowiednik GPU, miała wymyślić najlepszy system rejestracji, w którym każdy podejrzany był umieszczany na dużej karcie ze swoim nazwiskiem po środku, obwiedzionym czerwonym kółkiem; jego przyjaciele polityczni byli zakreślani mniejszymi czerwonymi kółkami a znajomi bez powiązań politycznych - zielonymi. Brązowe kółka oznaczały osoby mające kontakty z przyjaciółmi podejrzanego, ale nieznanymi mu osobiście. Wzajemne powiązania pomiędzy politycznymi i niepolitycznymi przyjaciółmi podejrzanego, jak i przyjaciółmi przyjaciół były zaznaczone liniami łączącymi odpowiednie kółka. Jest rzeczą oczywistą, że granice tej metody wynikały wyłącznie z wielkości karty, a teoretycznie można przyjąć, że jedna gigantyczna karta mogła by ująć graficznie stosunki i powiązania całej ludności. Stworzenie takiej gigantycznej karty jest właśnie utopijnym celem totalitarnej tp. Po-

niechała ona staromodnych marzeń policji, których spełnieniem miałby być wykrywacz kłamstwa i nie potrzebuje już ustalać, kto jest kto i kto co myśli./.../ To staromodne marzenie było jednak dostatecznie przerażające i od niepamiętnych czasów prowadziło do tortur i najohydniejszego okrucieństwa. Jedyną jego zaletą było to, że żądało rzeczy niemożliwej. Współczesne marzenia totalitarnej tp, przy obecnych możliwościach technioznych, jest nieporównanie bardziej przerażające. Marzy się jej, by jedno spojrzenie na gigantyczną mapę na ścisnie urzędu pozwoliło na ustalenie, kto jest w stosunkach z kim i na jakim stopniu zażyłości./.../ Gdyby powstała taks mapa, nawet pamięć ludzka nie stałaby na przeszkodzie pretensji totslitarnej tp do panowania, mapa taka bowiem umożliwiałaby wymazanie ludzi bez pozostawienia po nich jakiegokolwiek śladu, tak jakby w ogóle nie istnieli.

Jeśli można wierzyć aresztowanym agentom NKWD, sowiecka tp zbliżyła się niepokojąco do tego ideału rządów totalitarnych. Policja ta ma mieć tajne dossier o każdym mieszkańcu tego olbrzymiego kraju, dokładnie określające mnogość wzajemnych powiązań międzyludzkich - od przypadkowych znajomości po prawdziwą przyjaźń i stosunki rodzinne. Potwierdzeniem byłby fakt, że cała procedura dokładnego śledztwa podsądnego, którego "przestępstwa" zostały już i tak "obiaktywnie" ustalone zanim został aresztowany, zmierza właśnie wyłącznie do ustalenia wapomnianych powiązań. Na koniec ciśnie się uwaga, że zagraniczny obserwator, rozumiejący jak niebezpiecznym dla totalitarnych rządów jest dar pamięci, skłonny jest stwierdzić, że jeśli prawdą jest, że słoń nigdy nie zapomina, to Rosjanie wydają się być czymś całkiem przeciwnym niż słonie. Można by sądzić o sowieckiej rosyjskiej psychologii, że uczyniła zapomnienie czymś naprawdę możliwym.

Jak ważnym dla aparatu totalnej dominacji jest zapewnienie całkowitego zniknięcia swoich ofiar, można wnioskować na podstawie tych przypadków, w których z takich czy innych powodów doszło do konfrontacji reżimu z pamięcią tych, co przeżyli. W czasie wojny jeden z dowódców SS popełnił straszną omyłkę informując żonę Francuza o śmierci jej męża w niemieckim obozie koncentracyjnym. Wywołało to małą lawinę rozkazów i instrukcji dla dowódców wszystkich obozów, ostrzegając ich przed dopuszczeniem do przecieku jakichkolwiek informacji poza obóz. Chodziło o to, by dla francuskiej wdowy mąż jej stał się martwym już w chwili sresztowania, a jeszcze lepiej, by przestał dla niej w ogóle kiedykolwiek istnieć. Na podobnej zasadzie oficerowie sowieccy, przywykli do tego systemu od chwili narodzin, nie mogli wyjść z podziwu nad zachowaniem się Polaków, którzy próbowali desperacko dowiedzieć się czegoś o losie swoich przyjaciół i członków rodzin, którzy zostali aresztowani przez NKWD.

W krajach totalitarnych wszystkie miejsca odosobnienia zarządzane przez tp, pomyślane są jako prawdziwe studnie niepamięci /zapomnienia/, w które ludzie wpadają przypadkowo, bez pozostawienia po sobie nawet tak prozaicznych śladów wcześniejszej egzystencji, jak ciało czy grób. Gdy porównamy ten najnowszy wynalazek w dziedzinie pozbywania się ludzi z przestarzałymi metodami morderstw politycznych czy kryminalnych uderza, jak te ostatnie są nieefektywne. Morderca pozostswia za sobą ciało i chociaż stara się zatrzeć ślady, które prowadzą do jego identyfikacji, nie ma on dostatecznych środków dla wymazania tożsamości swojej ofiary z pamięci świata, który nadal żyje. Przeciwnie się dzieje w przypadku tp; potrafi ona w sposób niemal cudowny zadbać o to, by jej ofiara w ogóle nie istniała.

Jest rzeczą oczywistą, że istnieją powiązania pomiędzy tp a tajnymi społecznościami. Dls zorganizowanis tej pierwszej zawsze potrzebowano i używano argumentu o niebezpieczeństwie powstałym wskutek istnienia tych drugich. Totalna tp jest pierwszą w historii, która ani nie potrzebuje, ani nie używa przestarzałych pretekstów wszystkich tyranów. Anonimowość jej ofiar, które nie są wrogami ustroju i których tożsamość jest nieznana prześladowcom tak długo, aż arbitralna decyzja władz nie wyeliminuje ich ze świata żywych i wymaże ich pa-

mięć ze świata zmarłych, mieści się poza wszelkimi wyobrażeniami o możliwości utajnienia się, poza najściślejszym milczeniem, poza największym mistrzostwem podwójnego życia, które społeczności konspirujące narzucają swoim członkom.

Ruchy totalitarne, które w okresie dochodzenia do władzy przypominają pewne cechy organizacyjne społeczności tajnych a równocześnie działają w pełnym świetle, dopiero po zdobyciu władzy tworzą prawdziwie tajne społeczeństwo. Tajnym społeczeństwem reżimów totalitarnych jest tp. Jedyną ściśle strzeżoną tajemnicą krajów totalitarnych i jedyną, jaka tam istnieje, wiedzą ezoteryczną jest sfera działań i warunków w obozach. Oczywiście, wszyscy mieszkańcy, a zwłaszcza członkowie partii, znają wszystkie podstawowe fakty - o tym, że istnieją obozy, że ludzie znikają, że niewinni są aresztowani - równocześnie każdy w kraju totalitarnym wie, że największym przestępstwem jest mówienie o tych "tajemnicach". W tym samym stopniu, w jakim człowiek jest zależny w swych sądach od afirmacji i zrozumienia u innych ludzi, w takim samym owe "tajemnice", ogólnie znane ale jednostkowo ukrywane i nigdy nie przekazywane, tracą swój wymisr rzeczywistości i przyjmują postać zwykłego koszmaru. Tylko ci, którzy są w posiadaniu owej ściśle ezoterycznej wiedzy dotyczącej ewentualnych nowych kategorii "niepożądanych" oraz metod działania kadr, mogą porozumiewać się z sobą o tym, co aktualnie stanowi rzeczywistość dla wszystkich. Tylko oni mogą wierzyć w to, w co wierzą, że jest prawdziwe. To jest ich tajemnica i po to, by strzec tej tajemnicy, organizuje się ich jako tajną organizację. Pozostają jej członkami nawet wtedy, gdy ta organizacja ich aresztuje, wymusi na nich przyznanie się i w końcu zlikwiduje. Tak długo, jak długo strzegą sekretów pozostałych członków elity, pozostają jej członkami i z reguły nie zdradzają jej nawet wtedy, gdy znajdują się w więzieniu czy obozie.

Zauważyliśmy już, że jednym z wielu paradoksów obrażających zdrowy rozsądek świata nietotalitarnego, jest pozornie irracjonalny użytek czyniony z metod konspiracyjnych przez totalitaryzm. Ruchy totalitarne w okresach, gdy są prześladowane przez policję, bardzo rzadko stosują metody konspiracyjne w swojej walce o obalenie rządu. Natomiast totalitaryzm u władzy, po zdobyciu uznania przez wszystkie rządy i pozornym wyrośnięciu z fazy rewolucyjnej, ustanawia prawdziwą tp jako jądro swojej władzy. Wydaje się, że oficjalne uznanie jest traktowane jako większe zagrożenie dla składowej konspiracyjnej ruchu totalitarnego, grożące mu wewnętrznym rozkładem, niż na poły skuteczne policyjne przedsięwzięcia rządów nietotalitarnych.

Sedno sprawy tkwi w tym, że przywódcy totalitarni, choć przeświadczeni o tym, że muszą ściśle przestrzegać fikcji i reguł fikcyjnego świata, które zostały ustanowione w okresie walki o władzę, odkrywają dopiero stopniowo wszystkie jego implikacje i reguły. Ich wiara w ludzką omnipotencję, ich przekonanie, że wszystko można osiągnąć poprzez organizację, ciągnie ich w kierunku eksperymentów, które mogła wymyśleć ludzka wyobraźnia, ale ludzka działalność nigdy ich jeszcze nie zrealizowała. Te odrażające odkrycia w sferze tego, co możliwe, są inspirowane przez ideologiczną naukowość, w stosunku do której sprawdziło się, że słabiej jest kontrolowana przez rozum i mniej skłonna do uznania faktów niż najdziksze fantazje spekulacji przednaukowych i przedfilozoficznych. To właśnie ci totalitarni przywódcy stworzyli tajne społeczeństwo, które już nie działa w pełnym świetle - społeczeństwo tp, armię żołnierzy politycznych czy też ideologicznie wyćwiczonych bojowników - w tym celu, by móc przeprowadzić nieuczciwe badania eksperymentalne nad tym co jest możliwe.

Z drugiej strony totalitarne konspirowanie przeciwko światu nietotalitarnemu, jego pretensje do panowania nad światem, pozostają w takim samym stopniu po zdobyciu władzy jawne i niestrzeżone, jak były w ruchach totalitarnych. W praktyce wpaja się ten cel sterowanej rzeszy "sympatyków" poprzez lansowanie pojęcia rzekomej konspiracji ca-

łego świata przeciwko własnemu krajowi totalitarnemu. Totalitarna dychotomia jest upowszechniona poprzez obowiązkowe wymuszanie na każdym obywatelu wyjeżdżającym za granicę składania sprawozdania tak, jakby był tajnym agentem z równoczesnym traktowaniem każdego obcokrajowca jako szpiega. To właśnie raczej dla utrzymania tej dychotomii, niż dla faktycznej ochrony tajemnic wojskowych czy innych, wprowadza się żelazną kurtynę, izolującą mieszkańców kraju totalitarnego od reszty świata. Ich rzeczywista tajemnica - obozy koncentracyjne, prawdziwe ludzkie laboratoria eksperymentów w dziedzinie totalitarnego panowania, są dokładnie ukrywane przez reżim totalitarny zarówno przed oczami własnego społeczeństwa, jak i wszystkich innych.

W długich okresach czasu zwyczajność normalnego świata jest najskuteczniejszym zabezpieczeniem przed ujawnieniem masowych zbrodni totalitaryzmu. "Normalnie ludzie nie są w stanie pojąć, że wszystko jest możliwe", nie chcą wierzyć swoim oczom i uszom w obliczu potworności, podobnie jak masy nie chcą wierzyć swoim zmysłom w obliczu normalnej rzeczywistości, w której nie ms dla nich jakiegokolwiek miejsca. Przyczyną, dla której reżimy totalitarne mogą zapędzić się tak daleko w realizacji swojego fikcyjnego, postawionego na głowie świata, jest to, że zewnętrzny nietotalitarny świat, do którego zawsze należy znaczna część ludności samego kraju totalitarnego, ulega myśleniu życzeniowemu i broni się przed poznaniem rzeczywistości w obliczu realnego szaleństwa w równym stopniu, jak czynią to masy w obliczu normalnego świata. Ta zdroworozsądkowa niechęć przed uwierzeniem w potworność jest stale wzmacniana przez samego totalitarnego władcę, który robi wszystko, by żadna wiarygodna statystyka, żadne sprawdzalne fakty i liczby nie ujrzały światła dziennego, by pozostały tylko subiektywne, niesprawdzalne i niewiarygodne doniesienia o miejscach życia umarłych.

W wyniku takiej polityki skutki totalitarnego eksperymentu są znane tylko częściowo. Chociaż mamy wystarczającą ilość doniesień z obozów, by móc ocenić możliwości totalitarnego panowania i by móc dojrzeć w przelocie otchłań "możliwego", nie znamy jednak rozmiarów przemian charakterów ludzkich w warunkach reżimów totalitarnych. Jeszcze mniej wiemy o tym, jak wielu normalnych ludzi wokół nas skłonnych byłoby zaakceptować totalitarny sposób życia, tzn. zapłacić cenę znacznie krótszego życia za zagwarantowanie spełnienia wszelkich marzeń o karierze. Nie trudno odgadnąć, w jakim stopniu totalitarna propaganda, jak i pewne totalitarne instytucje, wychodzą na przeciw potrzebom bezdomnych mas, ale wprost niemożliwe jest dowiedzieć się, ilu z nich, poddanych stale zagrożeniu bezrobociem, chętnie pozwoliłoby na "politykę populacyjną" polegającą na regularnej eliminacji zbędnych ludzi i jak wielu z nich, z chwilą gdy pojmą w pełni swoją rosnącą niezdolność do znoszenia ciężarów nowoczesnego życia, chętnie przystałoby na system, który wraz ze spontanicznością eliminuje odpowiedzialność.

Innymi słowy, chociaż znamy sposób działania i specyficzną funkcję totalitarnej tp, nie wiemy jak dobrze czy też do jakiego stopnia "tajność" tego tajnego społeczeństwa odpowiada tajnym dążeniom i tajnemu współudziałowi nas samych w naszych czasach.

HANNAH ARENDT

/Fragment książki "Origins of Totalitarianism"/

Paszkwil o metropolicie Szeptyckim

Jakby na zamówienie społeczne, tuż po głośnej polemice "Trybuny Ludu" z "Tygodnikiem Powszechnym" na temat greckokatolickiego metropolity Lwowa Andrzeja /Romana/ Szeptyckiego /1900-1944/, ukazała się obszerna /336 stron/, zaopatrzona w obfitą aparaturę naukową /518 przypisów, 6 stron samej bibliografii/ praca Edwarda Prusa pod tytułem "Władyka świętojurski". Możnaby przypuszczać, że wreszcie ten najnowszy głos nauki polskiej zakończy spór między oboma znakomitymi /każdy w swoim gatunku/ pismami, których redaktorzy już zapewne zaczytują się książką firmowaną przez... Instytut Wydawniczy Związków Zawodowych. Wydawnictwo szczodrą ręką rzuciło papierem, by 20 tysięcy egzemplarzy "frapującej a zarazem unikalnej" - jak sądzi - książki mogło dotrzeć do czytelników. Zadbało także o odpowiednie rekomendacje, zamieszczając na wstępie fragmenty /?/ wewnętrznej recenzji, którą napisał "znany uczony, znakomity historyk Uniwersytetu Warszawskiego prof. dr hab. Ludwik Bazylow'. Niedawno zmarły specjalista od historii Rosji, z urodzenia galicjanin, uważa, że "autor przedstawił Szeptyckiego zgodnie z rzeczywistością". Polemika z tym zdaniem jest niestosowna, jego twórca nie żyje. Warto jednak zapamiętać wypowiedź Bazylowa o Prusie: "autor /.../ do tematu przywiązał się konopnymi linami, nawet nie bardzo wiem dlaczego, ale się przywiązał, to fakt". Ta trafna obserwacja uczula nas na istotny aspekt sprawy, wskazując na zaangażowanie emocjonalne E.Prusa. Zaważyło ono mocno na treści książki.

Najpierw jednak kilka słów o samym Edwardzie Prusie, jako, że jest on uczonym mniej znanym niż jego promotor. Rodzinnie związany z terenami, o których pisze, tzn. dawną Galicją Wschodnią, E.Prus do niedawna był pracownikiem Śląskiego Instytutu Naukowego w Katowicach. Autor m.in. książki pt. "Pannacjonalizm" oraz szeregu artykułów w periodykach mniej i bardziej naukowych. Od dawna zajmował się problemem stosunków polsko-ukraińskich w XX wieku. Uzyskał dostęp do archiwów, na które wielu historyków patrzy pożądliwie acz z daleka, np. archiwum MSW w Warszawie i archiwa lwowskie. Pod względem politycznym Prus dał się poznać jako autor listu otwartego do Włodzimierza Bielajewa zamieszczonego w maju 1981 roku na łamach "Kraju Rad". Ogłasza się tam za jednego z "uczciwych przyjaciół ZSRR /.../ którzy nawet w czasach najtrudniejszych przyjaźń polsko-radziecką uważali za posłannictwo". O swych kolegach z pracy pisze, że są to "nędzne karły, bez polotu, rozumu i rozsądku politycznego", które chcą "zniweczyć każdą myśl, która tej przyjaźni służy". Zażyła przyjaźń Prusa z Bielajewem, zamanifestowana w liście, nie pozostaje bez związku z omawianą książką. Bielajew wiele pisał o greko-katolicyzmie ukraińskim i o Szeptyckim. Pisał oczywiście w duchu właściwym dla radzieckiej propagandy sntyreligijnej.

Osoby interesujące się problematyką poruszaną w książce Prusa, a które znały jej twórcę z poprzednich, mówiąc uprzejmie, kontrowersyjnych publikacji, przeszedł dreszcz zgrozy, gdy ten miłośnik ZSRR, zapoznany historyk i maniakalny tropiciel pannacjonalistycznych kolaborantów zapowiedział w śląskim tygodniku "Tak i Nie" druk większej pracy o metropolicie Szeptyckim. Po lekturze przypuszczenia zmieniły się w przykrą pewność. Książka Prusa jest zła. Ponadto książka ta jest szkodliwa. Do tych dwóch wad dodać trzeba jeszcze jeden zarzut. "Władyka świętojurski" jest napisany fatalnym stylem przy zastosowaniu różnych, dziwnych zabiegów językowych. Idzie tu już nie tyle o błędy składniowe /te powinna poprawić korekta wydawnicza/, czy o tego typu niezręczności jak "zapoczątkowanie początku", ale przede wszystkim o ogólną stylistykę pracy, w której zbyt widoczne są wpły-

wy radzieckiej szkoły pisania, mającej więcej wspólnego z psmfletem czy nawet paszkwilem politycznym, niż z pisarstwem naukowym. Prus, siląc się na barwność i potoczystość języka wulgaryzuje i zniekształca opisywane problemy. Mówi o nich o kilka tonów za wysoko, jednocześnie używając chwytów poniżej pasa. Do tych ostatnich zaliczyć należy nagminnie występujące epitety, bardzo często w wersji językowej ukraińskiej /perekińczyk, Czużeniec itp./, które zabarwiają negatywnie narrację, pozbawiając ją obiektywności. Odnosi się wrażenie, że czytamy prokuratorski akt oskarżenia przeciw Szeptyckiemu, który ma uzasadnić z góry znany werdykt. Zresztą, niektóre źródła, stanowiące podbudowę tego sktu oskarżenia są dosłownie materiałami z przesłuchań /vide "relacja" uzyskana przez "historyka" Danyłenkę od biskupa Budki, w czasie jego zesłania w Kazachstanie/.

I tu zahaczamy o drugą, poważniejszą sprawę: jeks jest naukowa rzetelność opracowania? Każda poważna monografia naukowa powinna opierać się na szerokiej i wszechstronnej bazie źródłowej, krytycznie i na miarę sił badacza obiektywnie zintarpretowanej. Książka Prusa tym wymogom, mimo pozorów, nie odpowiada. Co do archiwaliów lwowskich, informacje stemtąd zaczerpnięte są najczęściej błahe i noszą charakter ciekawostek. Możne to zrozumieć - w ZSRR użytkownicy archiwów nie mają możliwości wyboru materiałów. Czytają to, co jako dla nich pożyteczne zakwalifikuje pracownik archiwalny. Możns także rozgrzeszyć Prusa z nieuwzględnienia zbiorów rzymskich. Najwyraźniej nie ma on przyjaciół na Zachodzie, którzy by mu wyrobili stypendium. Natomiast karygodne jest lekceważące potraktowanie krajowych instytucji archiwalnych. W Archiwum Akt Nowych znalazłoby się znacznie więcej ciekswych dla problemu zespołów, niż to raczył zauważyć E.Prus. Nie wie on także o pozostałościach archiwalnych po greckokatolickim biskupie w Przemyślu Administreturze Apostolskiej Łemkowszczyzny. Stanowczo zbyt preferuje autor źródła typu np. listu pane Danyłenki, w którym zapewnia on swego polskiego przyjaciela o prawdziwości tezy, jekoby Szeptycki w młodości był c.k. huzarem szczególnie ulubionym przez cesarzową Elżbietę. Możne by powiedzieć: "o święta naiwności", gdyby nie fakt, że tego typu źródła przytaczane są zbyt często. Nie jest to więc przypadkowe potknięcie, lecz błędna metoda badawcza. Swoista metodologia prowadzi Prusa do wielu pochopnych wniosków. Nie stroni on tskże od przytaczania informacji nie mających żadnego uzasadnienis źródłowego. Ne przykład nie wiadomo skąd autor wziął wiadomość o tym, że kardynał Slipyj był synem metropolity Szeptyckiego. Jeżeli jedyną podstawą tego mniemania było porównanie budowy ciała obu dostojników Kościoła /i to zapewne na podstawie fotografii/, to niewątpliwie musimy uznać E.Prusa ze twórcę nowej, wprost oszałamiającej w swych możliwościach poznawczych metody badań genealogicznych.

Wykorzystena przez Prusa literatura także nie może nss zadowolić. Jest ona dobrena niestarannie. Pomija ważne publikacje polskie autorów starszych, jak np. Wasilewski, Krysiński, jak i współczesnych: Chojnowskiego, Papieżyńskiej-Turek, Wisłockiego i wielu innych. Kwerends prasowa pomijs większość tytułów prasy kościelnej, wydawanej pod auspicjsmi Cerkwi greckokatolickiej /tu odsyłamy autora do informatora o prasie katolickiej w okresie międzywojennym ks.Zielińskiego/ Prus skupił swą uwagę na dwóch rodzejech publikacji: napastliwej, mało wiarygodnej publicystyce radzieckiej oraz wydawanej na Zachodzie litersturze hagiograficznej. Choć autor deklaruje swe krytyczne podejście do radzieckich wydawnictw z lat 1950-54, to jednak uważe, że ich omyłki można weryfikować za pomocą publikacji późniejszych. Znów dziwi ta naiwność, nie wiedzącs, że, gdy chodzi o sprawy Unii, w ZSRR styl wypowiedzi nie zmienił się nigdy i podane tu cezury nie mają znaczenia. W gruncie rzeczy Prus obficie i bez zastrzeżeń czerpie z dorobku najrozmaitszych "historyków" radzieckich. Tymczasem o poziomie ich dzieł świedczą już same tytuły: "Watykan natchnenyk mrakobisis i switowoji reakcji", "Pid czornymy kryłamy Watykanu" czy "Uniac-

ka cerkwa - woroh ukrajińskoho narodu". Śmieszy powaga autora cytującego jako autorytet sądy Petra Karmańskiego. Ten ukraiński poeta, urodzony w Galicji i działający wśród emigracji ukraińskiej w Ameryce Południowej w latach 30-tych wyjechał do ZSRR. Długi czas było o nim cicho, aż wreszcie rozpoczął z wielką gorliwością publikować broszury szkalujące Kościół, co było zapewne formą ekspiacji za greckokatolicką przeszłość, ale z nauką nic, rzecz jasna, wspólnego nie miało. Większość tsk cenionych przez Pruse radzieckich dzieł jest tylko pomocami "naukowymi" dla pracowników aparatu propagandowego KPZR.

Pisana w ten sposób książke powtarza przestarzałe poglądy /np. o Łemkach - górskim ludzie, polskiego pochodzenia/, rozmywa proporcje zjawisk i zaciemnia wiele spraw. Prus nie wychodzi poza stare mity o genezie powołanis duchownego metropolity, nie zna wielu aspektów działalności Szeptyckiego przed I wojną światową i temu okresowi poświęca zaledwie kilka stron. Bardzo mało, wręcz nic, dowiadujemy się o tworzeniu przez Szeptyckiego struktur kościelnych wśród emigracji ukraińskiej, a przecież w ten sposób zapoczątkował on fenomen istnienia kilkumilionowego Kościoła unickiego w Ameryce, Australii i Europie Zachodniej. W ogóle strona kościelnej działalności władyki świętojurskiego jest potraktowana po macoszemu. Lecz także naświetlając działalność społeczną i polityczną swego bohatera Prus dokonuje nieuczciwych zafałszowań. Dwie piąte książki poświęcone są okresowi II wojny światowej, ale mimo to nie znalazło się tam miejsce na informacje o niezależnej od nacisków okupanta i nacjonalistycznego obozu ukraińskiego postawie Szeptyckiego. Słabo wypadło osadzenie wydarzeń z życia metropolity na tle epoki. Pewien niedosyt odczuwamy w kwestiach związanych z dziejsmi Kościoła greckokatolickiego. Wskutek tego biografie pozbawiona została szerszego kontekstu. Z kwestii drugorzędnych wspomnieć należy o ilustracjach - bardzo tendencyjnych, których celem było wzbudzić w umyśle czytelnika negatywne skojarzenia co do osoby Szeptyckiego. Ns pewno nie ilustrują one etapów jego życia w sposób obiektywny. Skandaliczna jest treść tzw. skrzydełek obwoluty, gdzie o Szeptyckim znalazły się takie nieprawdziwe sformułowania, jsk: "swoją postawą prowokował do waśni narodowych.../, "z władzami II Rzeczypospolitej był w ciągłym zetargu".

Wydana została książka, która wykorzystując brak rzetelniejszych opracowań w języku polskim stanie się najbardziej dostępnym informatorem /czy raczej dezinformatorem/ o osobie i czynach metropolity Szeptyckiego. Znów na polskim rynku czytelniczym zaczyna grssować szkodnik. Już pojawiły się pierwsze dzieci tego buble. Książka Prusa posłużyła Jackowi Wilamowskiemu w "Perspektywach" /nr 13 z 1985 roku/ do napisania artykułu pt. "Między tryzubem a swastyką". Wierzący bezkrytycznie tezom Prusa dziennikarz gani bratanka metropolity, profesora Szeptyckiego, że ten kiedyś domagał się na łamach "Tygodnika Powszechnego" obiektywnej biografii swego stryja. Nie można "żądać weryfikowania osądu historii w stosunku do człowieka, który, choć z polskością miał tak wiele wspólnego, ze świadomego wyboru przeszedł na pozycje jej jawnie wrogie, działając ramię w rsmię z nazistami i okrutnikami spod znaku tryzuba" - pisze Wilamowski. Nic gorszego nie można powiedzieć o książce historycznej niż to, że nie weryfikuje ona powszechnych mniemań i opinii w "sposób obiektywny i w oparciu o niepodważalne dokumenty". A tak właśnie chciał napominany przez Wilamowskiego profesor. W takim razie nie jest to książka naukowa.

Aleksander Neuverth

OBRONA TOŻSAMOŚCI

Czyż nie lepiej od naszych dziadów znamy mechanizmy totalitaryzmu państwowego? Na początku stulecia nasi przodkowie walczyli z nim przede wszystkim orężnie, my natomiast, pozbawieni środków wytwarzania, zawłaszczonych przez państwo, walczymy myślą. Tym łatwiejsze to zmagania i tym skuteczniejsze, że świadomi już jesteśmy trzech podstawowych /i bodaj jedynych, nie licząc kilkusettysięcznej uzbrojonej po zęby armii sowicie opłacanych najemników/ instrumentów rządzenia. Otóż sowietyzm miażdży słowo, deformuje znaczenia i niszczy wartości. Inaczej mówiąc - trzy dziedziny: leksyka, semantyks i aksjologia są bastionami zniewolenia umysłów. Jeśli się je zniszczy - nastąpi wyzwolenie; myśl ludzka, myśl Polaka odzyska swą niezawisłość.

I właśnie książka Leszka Szarugi "Polskie drogi" *) ukazuje, mówiąc na razie najogólniej, tropy prowadzące do takiej wolności, wskazuje, trzymając się sugestii tytułowej, polskie drogi - do niezawisłości. Jakież one łatwe - myślenie. Myślenie wyzwolone z pęt indoktrynacji, a wsparte na tradycji. Tradycja bowiem daje czy też pogłębia poczucie tożsamości; przywraca słowom powagę, znaczeniom dawne treści, wartościom ważność i aktuslność.

Dwa szkice szczególnie wyraziście, i nie bez uroków literackich, ujewniają tę metodę "walki na myśl" polskiego intelektualisty z sowiecko-polskim zniekształcaniem świadomości społecznej i narodowej: esej drugi "Lekcja pokory" i ostatni "Conrad 1983". W pierwszym Szaruga wyraża swe wrażenia z wystawy "Polaków portret własny" /koniec roku 1980/ i pisze m.in.: "Po raz pierwszy po wojnie przełamane zostało dość powszechne poczucie nieciągłości historii. Zakorzenienie doświadczeń najnowszych dziejów narodu w najodleglejszej tradycji - oto szczególna siła dzieła Marka Rostworowskiego". Wychodząc poza krąg zainteresowań tej książki niech wolno będzie dopowiedzieć, że ciągłość historii potwierdziła się także - już gdzie indziej: w życiu politycznym narodu - w Sierpniu 1980, dwudziestojedno punktową deklaracją... Oba zjawiska - mutatis mutandis - to nic innego jak rewindykacja wartości niszczonych przez władzę Polski Ludowej, rewindykacja o tyle skuteczna, że będąc efektem rozbudzonej /nareszcie/ świadomości narodowej jednocześnie tę samowiedzę pogłębiła.

Szaruga w kilku miejscach, nawet w oddzielnym eseju, zastanawia się nad mechanizmami prowadzącymi, jakby on powiedział, do redukcji tej świadomości w okresie stalinowskim. Zwraca uwagę, że żałosny fenomem uległości polskich intelektualistów jest wciąż wstydliwie pomijany, a przecież domaga się eksploracji - socjologicznych, psychologicznych, politycznych, historiozoficznych, literackich, etycznych. Szaruga, zdaje się, rozumie istotę tego nieszczęsnego zjawiska, które trwa przecież - w mniejszym, lecz w miarę krzepnięcia państwowego terroru coraz większym nasileniu - po dziś dzień. W ostatnim eseju napisał wszak: "Uznanie autorytetu "rozumu politycznego", a zatem uznanie prymatu polityki w ludzkim życiu prowadzi do odrzucenia tradycji naszej kultury, oznacza zakwestionowanie przekonania o suwerenności osoby ludzkiej. Jest zaprzeczeniem poczucia wolności stanowiącego centrum i ostoję tożsamości tej kultury. Jej swoista "naiwność polityczna" polegająca m.in. na uznaniu nadrzędności wartości moralnych wobec polityki zostaje w prezentowanej wyżej postawie sprowadzona do obrazu "prapolskiej kawaleryjskiej szarży" - bezsensownej, a przede wszystkim praktycznie nieskutecznej. Nic więc dziwnego, że

---

*) Leszek Szaruga: Polskie drogi. Przedświt 1984., str.71

dla przedstawicieli tej właśnie zasady działania "problemy Jima są zupełnie obce i dalekie"". To prawda. Wszelako Szaruga nie chce wychodzić poza obszar egzemplifikacji socjologicznych i literackich czy, nieco szerzej rzecz ujmując, psychologicznych i kulturowych, a przecież - nazwijmy rzecz po imieniu - serwilizm polskich intelektualistów, zwłaszcza artystów, a więc ludzi kształtujących i wyrażających tożsamość narodową, miał i ma inną nadto motywację. Miłosz w latach pięćdziesiątych, uciekając od systemu, który tak dobrze poznał, bo tkwił w jego centrum, jednoznacznie i nader trafnie określił to zjawisko: arywizm. W refleksjach nad procesem zniewalania umysłów polskich twórców nie sposób tego uzasadnienia pomijać. Jeśli chce się powiedzieć całą prawdę, trzeba wyartykułować i tę - jakże przykrą - rzeczywistość moralną. Gombrowicz zasugerował jeszcze jedno wyjaśnienie: głupotę polskiej inteligencji, którą bolszewizm, jak przenośnie napisał, "zastał w stanie pijanym". Ta diagnoza korespondowałaby z przemyśleniami Szarugi. Lecz trzeba sobie jasno uświadomić, że Gombrowicz nie znał "z autopsji" sowietyzmu, Miłosz zna /zresztą obie opinie nie wykluczają się, a uzupełniają/. Szaruga zna jeszcze lepiej - bo w nim żyje. I ma prawo również do etycznych uogólnień. Szkoda tedy, że do nich w tej książce nie dochodzi.

Ten zbiór szkiców jest niezwykle pojemny. Mówiąc o ich treści trzeba by zapytać przekornie: o czym autor nie pisze? Oczywiście, nie pisze expressis verbis o polityce. A jednak politykę kompromituje snując rozważania o kulturze, sztuce, literaturze. Przedmiotem jego refleksji są: 1. z j a w i s k a kulturalne /wspomniane już wynurzenia o ekspozycji Rostworowskiego, percepcja Conrada, zamroczenie umysłów w okresie stalinowskim/, 2. konkretne d z i e ł a l i t e r a c k i e, wydane niedawno, w każdym razie po 13 grudnia 1981: Ryszarda Przybylskiego, J.M.Rymkiewicza /dwukrotnie/, Marcina Króla, Zbigniewa Herberta /kilkakrotnie/, Artura Międzyrzeckiego, Jana Polkowskiego. Jeden szkic poświęcony jest "kontrowersji między Miłoszem a Gombrowiczem".

Autor jest przeto, jeśli wolno posłużyć się bardzo potocznym określeniem, kronikarzem naszego życia duchowego. Nie dzieli "kultury"na "niezależną" i "zależną" - wyznaje snać zasadę, że kultura jest tylko jedna: narodowa. Toteż jego uwagę przykuwają i utwory publikowane na emigracji jak i dzieła mające "państwowe imprimatur". Kultura jest jednością. Jest wartością stałą i s p ó j n ą. To manipulacje totalitarnego państwa sprawiają, że w potocznej świadomości została rozbita na dwa człony. Podstawowym więc zadaniem współczesnego twórcy jest przywrócenie temu pojęciu tradycyjnego znaczenia. I cel ten Szaruga spełnia wnikając w głębiny, których istnienia zgoła nie jesteśmy - a raczej przed lekturą jego esejów nie byliśmy - świadomi.

Nic jednak na tym świecie nie jest doskonałe, tak więc i realizacja tego ważnego zamierzenia ma swe punkty słabe. Stosunkowo łatwo, jak mi się wydaje, przyzłoby pojąć probierz ocen zjawisk kulturowych, jakimi posługuje się autor. Jest nim pojęcie /czy wartość?/ tożsamości kulturalnej i narodowej. Gorzej jednak z kryterium artystycznym. Jeśli oderwać rozważania Szarugi od idei tożsamości i zapytać, co ceni w sensie artystycznym najbardziej, jaki rodzaj artystycznego pisarstwa literackiego jest mu najbliższy? - to odpowiedzieć byłoby niezwykle trudno, a może wręcz niemożliwe. Oprócz wspomnianych pisarzy, których utwory są w poszczególnych szkicach przedmiotem zadumy, przez karty tej książki przewijają się nazwiska wielu autorów; z wielości tej wywieść można, i należy, wniosek o niepospolitej erudycji autora. Ale też zastanowić się. Zastanowić, czy rzeczywiście w wymiarze czysto artystycznym zestawić można Gombrowicza, Miłosza, Vincenza z Białoszewskim, Andrzejewskim, Konwickim, Bocheńskim, Kuśniewiczem i Buczkowskim. Nie wiem, lecz wzdragam się na myśl umiejscowienia na tym samym poziomie artystycznym prozy Gombrowicza z - na przykład - Kuśniewiczem; Miłosza - z Buczkowskim; Vincenza - z Biało-

szewskim, Andrzejewskim czy Konwickim. Operując tymi w s z y s t k i m i nazwiskami jako swoistymi "kodami" artystycznej wielkości, gubi się czystość, jasność, wyrazistość oceny wartości literackiej. O nią - o tę ocenę, a raczej jej k r y t e r i a chciałbym się upomnieć. Krótko i dosadnie mówiąc, dla mnie łączenie Buczkowskiego i Kuśniewicza z Gombrowiczem czy Miłoszem jest swego rodzaju /excusez le mot/ perwersją. A przywoływanie nazwisk Andrzejewskiego i Konwickiego w kontekście twórczości Conrada czy Vincenza sprawia wrażenie osobliwego nieporozumienia.

Nie umniejszając bynajmniej znaczenia tego podstawowego celu, w jakim ta książka została napisana, to jest pokazania, jak sztuka kształtuje i wyraża /czy - postulatywnie - kształtować powinna i wyrażać musi/ tożsamość narodową - wypada mi jednak wyrazić takie oto zaniepokojenie.

Szaruga nie lubi romantyzmu; nie lubi też romantycznego - i w ogóle - historyzmu. Dobrze, może nie lubić. Jednakże, wydaje się, dając upust tej antypatii popadł w jakieś zawikłania. W przywołanym już eseju "Lekcja pokory" osią rozumowań jest c i ą g ł o ś ć h i s t o r i i. W innym miejscu orzeka /i słusznie/, że naszą tożsamość utrwala kultura. I dopełnia tę myśl zaprzeczeniem /niesłusznym, moim zdaniem/ - "a nie historia". Czyż to nie sofizmat? Kultura - pojęta jako zespół wartości - tworzy się w historii. Z historii wynika kultura. Każda refleksja historiozoficzna obnaża, jeśli można tak powiedzieć, kulturę, "demaskuje" ją. W moim mniemaniu owe dwa pojęcia: "kultura" i "historia" - łączą się tak jak płododajna ziemia z plonami, dając ostatecznie wartość najwyższą - tradycję. Nie wiem, może źle zrozumiałem świadomość autora, może pobieżnie przeczytałem jego szkice, może wreszcie moje tu wyrażone przekonania są niesłuszne. W każdym razie widzę w tym oddzielaniu, ba, antagonizowaniu /a tek, miejscami zdaje się nawet zarysowywać taki antagonizm/ obu pojęć jakieś niebezpieczeństwo, jakąś pułapkę. Być może, nowe eseje Szarugi, jakie czytelnik zapewne będzie mógł wkrótce przeczytać, rozwieją te wątpliwości. A kończąc ten wątek, niech mi będzie wolno wyrazić nieśmiałe przypuszczenie, że może owa niechęć do "historyzmu" to wpływ Marii Janion, która w swej głośnej książce, napisanej wraz z Marią Żmigrodzką "Romantyzm i historia" /1978/ jakoś przeosobliwie pomniejsza znaczenie c h r z e ś c i j a ń s k i e g o "historyzmu" w romantycznej kulturze umysłowej...

Wracając wszakże do "Polskich dróg" chciałbym coś własnego dorzucić do cennych myśli autora. Otóż w pierwszym, otwierającym tom szkicu "Temat wolny" napisał on, że: "tak /.../ jest z Europą Środkową, której doświadczenie stanowi rodzaj depozytu kultury europejskiej /.../ Depozyt ów to dokumenty zapisane w niecałkiem dziś zrozumiałym języku. My, którzy się nim posługujemy /.../, "wiemy", o co w nich chodzi /.../ Stąd też może tak często powtarzane twierdzenie o "nieprzetłumaczalności" polskiej literatury. Twierdzenie to zresztą zawiera w sobie pewien szczególny postulat: iż to my właśnie powinniśmy najpierw "przetłumaczyć" te dzieła na "język europejski". Zastanowić się jednak warto, czy taki "język europejski" jeszcze istnieje lub... czy owym językiem, jego pozostałości, nie jest język naszej kultury". Konstatacja ta jest nie tylko arcysłuszna, lecz i piękna. Zapożyczając metaforykę autora powiedziałbym, że Kochanowski i Szarzyński, Serbiewski i Starowolski /Szymowicz, Opalińscy i Herakliusz Lubomirski/ wypowiadali się w "języku europejskim". Europa szesnastego i początków siedemnastego wieku nie musiała szukać "poradnika" tłumaczącego ich dzieła, przyswajała je dość łatwo - szczególnie pierwszego. Ale już dokonania Mickiewicza z trudem torowały sobie drogę do "umysłów europejskich" a Słowackiego nigdy do nich nie dotarły. Wysiłki zaś największego naszego poety, geniusza jedynego w swym polskim i europejskim rodzaju - Norwida, były daremne; daremne, by przedrzeć się przez gąszcz "języka europejskiego". Czyżby Słowacki i Norwid mó-

wili językiem martwym? Czyż Baudelsire, Verlain, Apollinaire przewyższali ich aż tak, by zepchnąć tamtych na marginesy europejskiej kultury? A potem niezwykłe zjawisko: Witkacy, Gombrowicz i Miłosz są twórcami "europejskimi", a Słowacki, Norwid /częściowo Mickiewicz/ jedynie artystami z polskich opłotków /np. Sienkiewicz jako jedyny artysta polski porozbiorowej "przemówił" językiem europejskim, lecz jedynie dlatego, że ukazał Europie zapoznane przez nią wartości. Tyle tylko. Albo aż tyle. W każdym razie my, potomni autora "Quo vadis?", z jego "europejskości" tak bardzo dumni nie jesteśmy/. Otóż trzeba zapytać, czy wyjaśnienie tej zagadki, tego paradoksu, nie kryje się w zupełnie innych rejonach, do których myśl Szarugi nie dociera - rejonach rzeczywiście niezwykle płaskich - polityce? Taka kultura tego narodu przemawia językiem uniwersalnym, który to naród potrafi za pomocą środków czysto politycznych narzucić swą duchowość społeczności świata. Mówiąc prosto: gdyśmy mieli państwo, które umiało zadziwiać Europę, nasza kultura była znana /mogła być nie w pełni zrozumiała, lecz była znana/, gdyśmy takie państwo stracili albo gdy je mamy żałosne - kultura nasza nikogo nie zdołeła, choćby była tytanicznie wielka, zainteresować. Rzeczpospolita szesnastego wieku i początków następnego była nie tylko podmiotem politycznym Europy, ale i podmiotem inspirującym /niekiedy niepokojąco inspirującym/. Podobnie po roku 1918. Wyłoniona z pożogi dziejów nowa polska państwowość, pełna niedomagań, sprzeczności, słabości, miała jednak dla Europy pewne wartości, nawet polityczne, i dlatego jej twórcy "przemawiali językiem europejskim". Przykład Gombrowicza i Miłosza jest tu znamienny - obaj artyści stali się "własnością" kultury środziemnomorskiej dlatego, że tworzyli niejako na przekór temu współczesnemu państwu polskiemu, które kompromituje kulturę i tradycję Europy zachodniej. Tradycję, o jakiej tak często i tak prawdziwie, i z taką intelektualną pasją, pisze Szaruga.

Wiem, że wydobywszy to, co powyżej, strywializowałem treść zacytowanego fragmentu przepięknego szkicu "Temat wolny". Ale czyż takie spłaszczenie /jeśli jest słuszne, a tego oczywiście nie jestem pewien/ nie bywa czasami korzystne - po to, by ujawnić nowe wymiary złożonego zjawiska. Bo każde zjawisko kulturowe jest wzniosłe i zarazem pospolite. I właśnie tę "pospolitość" chciałem wprowadzić do jakże niepospolitych myśli Szarugi - w celu dopełnienia, nie polemiki.

Co do akcentów polemicznych natomiast, to na koniec kilka, nieistotnych zupełnie, zastrzeżeń czy zarzutów. Ocena, jaką mimichodem obdarza Szaruga książkę krytyczną Tomasza Burka "Zamiast powieści" /1971/, wydaje mi się znowu nieporozumieniem. Szaruga napisał, że Burek "wskazał rwące się wątki, "białe plamy" na mapie pamięci". Jakie "białe plamy"? Na jakiej "mapie pamięci"? Czy chodzi o ten postulat, że nie mamy jeszcze /przypominam - jest to rok 1971/ "wizji" literatury? Kto "my", jakiej "wizji"? Z książki Burka implicite wynika /to jeszcze, powtarzam, rok 1971/, że "my" to znaczy marksiści, że "wizja" to znaczy marksistowskie wyobrażenie. Czy Szaruga nie dostrzega w tym debiucie książkowym pomniejszenia twórczości tych prozaików, których źródła biją z chrześcijańskiego widzenia świata? Czy Szaruga zdaje sobie sprawę, że jego zbiór wnikliwych esejów jest zupełnym zaprzeczeniem przemyśleń owoczesnego Burka - autora "Zamiast powieści"? Nie rozumiem, dlaczego autor "Polskich dróg" przywołuje tak odmienne, przeczące jego refleksjom dokonanie?

Ze spraw absolutnie drobnych: razi mnie trochę nadużywanie określenia "tu i teraz", tym bardziej razi, że swego czasu, nie tak dawno, posługiwała się nim państwowa propaganda i przez to ma ono w sobie jakiś bakcyl... Może przemawia przeze mnie obsesja. Być może tak. Lecz czyż substancja językowa nie zyskałaby na tym, gdyby autor tych dwóch słów złączonych w tym związku frazeologicznym używał bardzo rzadko - raz czy dwa najwyżej? Przecież owo znaczenie można wyrażać i innymi słowami...

Gwoli sprawiedliwości muszę dodać, że bogatą jest stylistyka "Polskich dróg". Każdy szkic pisany jest innym stylem, gdzieniegdzie pojawia się i urocza aforystyka.

A największą wartością tej eseistyki jest głęboka i oryginalna argumentacja; jest ows wspomniana na początku "walka na myśli" z indoktrynacją, niszczącą ducha naszej kultury. W tej walce nie tylko, że autor wygrywa - to jest stosunkowo łatwe - ale nade wszystko - a to już o wiele trudniejaze - dystansuje wielu innych współczesnych niezawisłych ludzi pióra. Tak, jego szkice, zaprezentowane w tomie "Polskie drogi", nie znajdują sobie równych w dorobku pisarskim po grudniu 1981 roku.

JACEK WEGNER

NIE MA NIEMOŻLIWOŚCI

Jest rok 1952, październik lub listopad: pewnie deszcz za oknem, wycie wiatru i monotonne tłuczenie okiennicami o ścianę. XIX Zjazd KPZR /a raczej WKP/b/ - bo dopiero podczas jego obrad następuje zmiana nazwy partii/. Jeszcze tylko kilka miesięcy, a towarzysz Stalin, gorąco ukochany nauczyciel i wielki wódz całej postępowej ludzkości, "ridnyj batko i uczytiel" - który "chaj żywe!" jak woła jakiś Mielnikow z Ukrainy - umrze, co wydaje się nieprawdopodobne, gdy słucha się tego, jak ja, dziś, jutro lub codziennie, przy "szczekaczce" - głośniku, który prawomyślnie nadaje tylko pierwszy program Polskiego Radia: mam trzy lata i pojmuję tyle z tego co się tam w dalekiej Moskwie odbywa, że wszyscy delegaci /co to"delegaci"? Mama!/, chcą, pragną by Stalin żył wiecznie. Nie wiem też, że kilka lat później nastąpi XX Zjazd i towarzysz Stalin umrze powtórnie, choć znowu nie zupełnie, bo ta agonia potrwa dłużej, a może nawet nigdy się nie skończyć.

Tymczasem siedzę na krześle, przy wielkim jak tafla jeziora okrągłym stole /no! lej po bombie za stodołą Maciary nie jest większy/, wysoko nad ziemią, majtając nogemi - za długie rajtuzy pozwijały mi się na kostkach, nie słychać więc jak tłukę nimi o krzesło/ /to dobrze - bo mama nie pozwala tak machać - trzeba przy stole być grzecznym/ i udaję, że tego co dolatuje z drewnianej, obciągniętej ażurowym płótnem skrzyneczki nie słucham. Trwa XIX Zjazd i każdy z delegatów /i nie tylko/ przynajmniej mówi /jeśli nie myśli/, że Stalin /dla mnie poczciwy dziadek z wąsami /choć mama nazywa dziadkiem kogo innego - też marszałek/, że Stalin to wieczność.

- Niech żyje i cieszy się zdrowiem przez wiele lat nasz ukochany, wielki Stalin! - woła Mołotow.
- Niech żyje wielki wódz, którego promienny geniusz oświetla drogę do komunizmu, gorąco ukochany towarzysz Stalin! /Andrianow/.
- Niech żyje i cieszy się zdrowiem przez długie, długie lata ku radości partii i narodu nasz wielki wódz - towarzysz Stalin! /Piegow/
- Niech żyje mądry budowniczy komunizmu, nasz drogi i ukochany towarzysz Stalin! /Puzanow/.
- Towarzyszu Stalin! Mieszkańcy Uralu gotowi są do wypełnienia każdego Twego zadania. Żyj długie lata dla szczęście naszego narodu, dla szczęścia całej postępowej ludzkości, nasz mądry wodzu i nauczycielu! /Aristow/.
- Chwała naszemu mądremu wodzowi i nauczycielowi, ukochanemu towarzys.owi Stalinowi! /Kuzniecow/.
- Bezgraniczna i wielka jest miłość naszej partii i narodu do towarzysza Stalina. Niech żyje długie lata ku radości i szczęściu

wszystkich ludzi pracy wielki wódz i nauczyciel, nasz bliski i ukochany towarzysz Stalin! /Ponomarenko/.

- Chwała wielkiemu Stalinowi! /Mikojan/.

- Niech żyje wódz całej przodującej ludzkości w walce o pokój, postęp, o socjalizm - towarzysz Stalin! - woła Bolesław Bierut.

- Chwała naszemu wapólnemu nauczycielowi i ojcu, wielkiemu Stalinowi! /Klement Gottwald - Komunistyczna Partia Czechosłowacji/.

- Niech żyje długie, długie lata w pełni sił i zdrowia, niech prowadzi naprzód do zwycięstwa potężny naród radziecki i światowy obóz pokoju - ten, który jest natchnieniem wszystkich naszych sukcesów, niezawodny przyjaciel narodu węgierskiego, genialny wódz mas pracujących całego świata, wielki Stalin! /Matyas Rakosi - Węgierska Partia Pracujących/.

- Niech żyje wiecznie brat Lenina - wielki Stalin, jego dzieło, jego sława i imię! - woła Pero Popiwoda, przewodniczący Związku Patriotów Jugosłowiańskich dla wyzwolenia narodów Jugosławii spod faszystowskiego jarzma kliki Tito-Rankowicza i z niewoli imperialistycznej.

- Niech żyje tak długo jak najwyższe góry naszego kraju, zbawca naszego narodu i całej ludzkości, genialny i ukochany wódz Józef Stalin! kończy swoje wystąpienie sekretarz generalny KC Albańskiej Partii Pracy, Enver Hodża.

Odpowiadają mu burzliwe, długo nie milknąca oklaski, przechodzące w owację. Wszyscy wstają z miejsc. Wznoszą okrzyki: "Hura!".

Ten sam entuzjazm towarzyszy wszystkim, nawet mniej wymyślnym, stereotypowym życzeniom dla ojca ludzkości, jakie każdy z delegatów umieszcza na eksponowanym miejscu swego przemówienia.

Atmosfera gęstnieje, radość z posiadania słońce, wokół którego wszystko się kręci, narasta. Oklaski. Długotrwałe oklaski. Burzliwe oklaski. Burzliwe długotrwałe oklaski. Burzliwe długo ie milknące oklaski. Burzliwe długotrwałe oklaski przechodzące w owację. Owacja. Ogólna owacje. Wszyscy wstają. Okrzyki. Itp.

Sprawozdawcy zjazdowemu brak słów na to, by oddać wiernie to wszystko, jakby był dzieckiem, odliczającym na palcach: 1, 2, 3, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 100, 1000, milion, miliard, bilion, i załamuje się, gdyż to co jest dalej, to straszna przepaść, której nie potrafi objąć jego prosta matematyka. Dostał najtrudniejsze zadanie życia - nazwać nieskończoność /niechby spróbował odmówić!/.

I zrobi to:

- Wszyscy wstają z miejsc. Burzliwe długo nie milknące oklaski, przechodzące w owację. Okrzyki: "Niech żyje towarzysz Stalin!" "Towarzyszowi Stalinowi - hura!" "Niech żyje wielki wódz mas pracujących całego świata, towarzysz Stalin!" "Wielkiemu Stalinowi - hura!" - tak reaguje sala na przemówienie inauguracyjne Stalina.

- Wszyscy delegaci wstają, gorąco pozdrawiają towarzysza Stalina burzliwą, długotrwałą owacją. Z wszystkich krańców sali rozlegają się okrzyki: "Hura!" "Niech żyje wielki Stalin!" "Ukochanemu Stalinowi - hura!" "Niech żyje nasz ukochany wódz i nauczyciel, towarzysz Stalin!" - a tak gorąco jest po referacie Malenkowa.

- Burzliwa, długo nie milknąca owacja. Wszyscy wstają. Grzmią okrzyki: "Niech żyje wielki Stalin!" "Towarzyszowi Stalinowi - hura!" "Chwała wielkiemu wodzowi partii i narodu, towarzyszowi Stalinowi!" "Niech żyje nasz ukochany Stalin!" - okrzyki wznoszone po referacie Mołotowa.

- Burzliwe oklaski, wszyscy wstają. Okrzyki: "Towarzyszowi Stalinowi - hura!" "Chwała wielkiemu Stalinowi!". Delegaci na Zjazd i goście z ogromnym entuzjazmem śpiewają hymn partyjny "Międzynarodówkę". Ponownie zrywa się burzliwa owacja na cześć wielkiego Stalina. Ze wszystkich krańców sali rozlegają się w wielu językach okrzyki na cześć wielkiego Stalina - ukochanego wodza i nauczyciela /tak relacjonuje zakończenie Zjazdu/.

1, 10, 100, 1000, 100 000, 100 000 000, 100 000 000 000 - sprawozdawca w pocie czoła dopisuje kolejne zera, nie zrażając się nawet tym, że tak skomplikowane układy zer jak: "Niech żyje wielki wódz mas pracujących całego świata, towarzysz Stalin!" czy "Niech żyje i cieszy się zdrowiem przez wiele lat nasz ukochany wielki Stalin!" - jako spontaniczne wybuchy powszechnej radości trudne są nie tylko do wywrzaśnięcia, ale i do usłyszenia - bo co tam musiał być za tumult!

Choć tak się stara, natęża siły, struny głosowe tuż tuż przed pęknięciem, jego komentarz daje tylko mgliste pojęcie o tym, czym w oczach rozentuzjazmowanych delegatów /spoconych pewnie od tego entuzjazmu - czy na Kremlu była wtedy klimatyzacja?/ jest wielki wódz i nauczyciel. To, czego on nie potrafi /a może boi się?/ wypowie dopiero jeden z zagranicznych gości Zjazdu, przewodniczący Komunistycznej Partii Grecji Nikos Zachariadis, cytując "proste kobiety" swego kraju:

- Niech Bóg skraca nasze życie o całe lata, dodając Stalinowi minutę za każdy rok naszego życia. Jest tak nas wiele, że wówczas Stalin będzie żył wiecznie!

Co znaczą jego słowa, czy dotyczą także samego mówcy i wszystkich innych obecnych na sali, czy XIX Zjazd KPZR jest zjazdem samobójców, gotowych poświęcić swe życie dla zapewnienia wieczności Stalinowi?

Odpowiedź przynoszą następne minuty, a ściślej znowu Nikos Zachariadis:

- Naród nesz zna Związek Radziecki, jego narody, towarzysza Stalina tylko jako przyjaciół i darzy ich miłością. Naród nasz chroni to uczucie w swym sercu, podobnie jak dziewczyna grecka, która poddana została beatialskim torturom. Gdy była już bliska śmierci i gdy oprawcy podarli portret w jej obecności - znalazła w sobie dość siły, by zawołać: "Nie zdołacie wyrwać mi go z serca!".

Sala spontanicznie reaguje. Burzliwe długotrwałe oklaski przechodzące w owację. Wszyscy wstają, wznosząc okrzyki, na cześć... bohaterskiej dziewczyny?

Nie... Delegaci krzyczą:

- WIELKIEMU STALINOWI - HURA!

Nie jest to już grzecznościowy, kurtuazyjny okrzyk, żadne "żyj wiecznie!" /sto lat sto lat niech żyje żyje nam!/, opowieść przewodniczącego KP Grecji i reakcja sali przynosi ze sobą prawdziwy powiew wieczności, prawdziwej wieczności, takiej, która coś naprawdę kosztuje, wymaga ofiary, jest więc jak tamta z Golgoty - naprawdę do osiągnięcie.

Takie ofiary Stalin regularnie składa. W książce "Zagadka śmierci Stalina" pisze o tym Awtorchanow:

"W wieku 18 lat zadenuncjował żandarmom swe marksistowskie kółko w tyfliskim seminarium duchownym, uzasadniając to chęcią uczynienia jego członków rewolucjonistami, w wieku 28 lat w czasie zbrojnego ograbienia Izby Skarbowej kierował zabijaniem ludzi na placu Jerewańskim w Tyflisie, w wieku 38 lat osobiście dowodził w Carycynie masowymi egzekucjami wziętych do niewoli białogwardzistów, w wieku 48 lat zaczął przygotowania do wytępienia chłopów, miał 58 lat, kiedy w latach 1937-38 czekiści wymordowali na jego rozkaz miliony niewinnych ludzi, miał wreszcie 70 lat, kiedy bez wyroku sądowego kazał rozstrzelać kilkunastu członków KC, swych najbliższych pomocników".

W chwili gdy odbywał się XIX Zjazd żona Andrejewa - Żydówka, znajdowała się już w więzieniu, dwu synów-generałów Mikojana także, żony Mołotowa i Woroszyłowa były już na Łubiance, a po Zjeździe Stalin oskarżył też ich samych: Mołotowa o szpiegostwo na rzecz Stanów Zjednoczonych Ameryki, a Woroszyłowa - na rzecz Anglii.

Tego wszystkiego nie wiedziałem jeszcze. choć musiałem czuć przez

szpary w starej wynajętej przez szkołę chałupie ten powiew, lodowaty powiew wieczności, będący równocześnie powiewem śmierci, który przedostawał się do środka, nawet mimo grubej waratwy sosnowych igieł, którymi obłożone były z zewnątrz ściany i pomimo ciepła z sypiącej iskrami kuchni /w popielniku zagrzebane w popiele piekły się kartofle, które za chwilę miały oparzyć mi palce/, grobowy, zimny powiew, któremu towarzyszył charkot, nie wiadomo dlaczego krztuszącego się głośnika. Nie zadałem jednak jeszcze mamie pytania, które samo powinno się nasunąć: "Mama! Stalin nigdy nie umrze?!" - pytania stwierdzenia, w którym wykrętas pytajnik stał na baczność jak wykrzyknik, tak była oczywistą odpowiedź na nie.

Głośnik nagle przestał się krztusić, a ja wróciłem gdzieś na salę Kremla, w tłok, ścisk, gwar, szum towarzyszący wystąpieniom kolejnych mówców, by usłyszeć:

- Bolejemy nad tym jedynie, że nieśmiertelny Lenin, który w 1903 roku prowadził w Londynie walkę o stworzenie prawdziwie niezależnej, rewolucyjnej partii politycznej rosyjskiej klasy robotniczej, nie może być obecny na XIX Zjeździe, aby ujrzeć wspaniały, imponujący gmach socjalizmu i państwo, dla zbudowania którego tak wiele uczynił swą bohaterską pracą.

Tak biadał Harry Pollitt, przewodniczący Komunistycznej Partii Wielkiej Brytanii.

To było zastanawiające: Lenin - nieśmiertelny a nieobecny? /może zachorował? - u mamy w szkole podczas sprawdzania listy obecności też mówiło się "nieobecny", mamy pytała "a co się stało?", dzieci odpowiadały: "chory", "złapał grypę" lub "złamał nogę" albo też "na świnkę"; czy Lenin "ma świnkę"?/. Spytałem o to mamę.

A mama:

- Dziecko! Lenin nie żyje. Umarł w dwudziestym czwartym roku.

- Jak nie żyje, kiedy nieśmiertelny? - dociekam uparcie. - Jak może nie żyć?

- Matka powtarza swoje, ale nie przekonuje mnie.

Nie przekonuje mnie nawet dosadna odpowiedź dziadka:

- Kuzia jego w nos kopnięta! Chłopaku! Toć Lenin dawno zdech!

Akurat wchodzi /zziajany/ ojciec. Dopiero co zsiadł z roweru. Rozpina nogawki, otrzepuje błoto z butów. Ledwie się wyprostował jestem przy nim.

- Lenin? Mówisz? No, nie żyje... Ale... jakżeś słyszał że żyje... to, no wiesz. Na dwoje zawsze babka wróżyła... Jak piszą - że nieśmiertelny, to znaczy - nieśmiertelny... Pokorne ciele dwie matki ssie... A ty się chłopaku ucz, ucz... żebyś nie musiał jak ojciec...

Ściąga buty i ciężko opada na szlaban, a ja wtedy mówię, o Stalinie, o tym, że proste kobiety greckie chcą mu oddać po kawałku swego życia, by wiecznie żył, i pytam, ale ze łzami w oczach, czy każdy musi oddać Stalinowi ten kawałek swego życia, ja też? bo ja nie oddam ani minuty, także chcę żyć wiecznie, jak przyjdzie śmierć, schowam się za łóżko /tak robi moja siostra, gdy przychodzi w swej czarnej jak noc sutannie ksiądz Kolata/ i nie wyjrzę, dopóki sobie nie pójdzie, i uspokaja mnie dopiero zapewnienie ojca, że minuta to niedługo, zaledwie sześćdziesiąt sekund, więc nie muszę płakać, może zresztą Stalin w moim przypadku /jeśli aż tak bardzo nie chcę mu oddać nawet minuty/ zadowoli się sekundą, a to naprawdę nic wielkiego, krótki błysk jak błyskawica /dziadek dodaje, że powinienem modlić się, by nie zabrał mi więcej - wujkowi Stefanowi "wykreślił z życiorysu" osiem lat i zdrowie, a ja beczę o głupią minutę/, zresztą, może gdy dorosnę ludzie będą żyli nie pięćdziesiąt - sześćdziesiąt lat, a sto i dwieście, albo wcale nie będą umierać, wszystko jest możliwe, świat idzie naprzód, więc po co zawczasu się kłopotać. Matka mruczy, wycierając w fartuch ręce, bo zaraz będzie kolacja: "głupie bajdoły", ale ojciec podsuwa mi jakieś gazety, jakieś książki, gdzie podobno o tym piszą, choć wie, że znam dopiero dwie litery, "a" i "o" - masz czy-

taj! i ja czytam:
"Nauka radziecka stawia przed sobą wiele gigantycznych, nie rozwiązanych dotąd zadań. Wybitny uczony, autor ponad tysiąca prac naukowych, najstarszy radziecki geolog, 90-letni W.Obruczew wskazuje, iż należy jeszcze: "... przedłużyć życie człowieka, średnio do 150-200 lat, zlikwidować choroby zakaźne, doprowadzić do minimum choroby niezakaźne, pokonać starość i wyczerpanie; nauczyć aię przywracać życie w wypadku przedwczesnej gwałtownej śmierci; oddać na usługi człowieka wszystkie siły przyrody, energię słońca, wiatru, ciepło wnętrza ziemi, zastosować energię atomową w przemyśle, transporcie, budownictwie; nauczyć się magazynować energię na zapas i dostarczać ją na dowolne miejsce bez pomocy przewodów; przewidywać i ostatecznie unieszkodliwiać klęski żywiołowe: powodzie, huragany, wybuchy wulkanów, trzęaienia ziemi; produkować w fabrykach wszystkie znane na ziemi subatancje, nie wyłączając złożonych białek, jak również i nieznane w przyrodzie substancje twardsze od diamentów, bardziej ogniotrwałe niż ogniotrwała cegła, bardziej trudnotopliwe niż wolfram i osm, bardziej elastyczne niż jedwab, bardziej sprężyste niż guma; wyhodować nowe gatunki zwierząt i roślin, szybciej rosnące, dające więcej mięsa, mleka, wełny, ziarna, owoców, włókien, drewna dla potrzeb gospodarki narodowej; opanowść, uczynić możliwym do zamieszkania i zaludnienia bezludne tereny: błota, góry, pustynie, tajgę, tundrę, a może nawet dno morskie; nauczyć się panować nad pogodą, regulować wiatr i ciepło tak, jak obecnie reguluje się rzeki, przesuwać chmury, dysponować stosownie do potrzeb deszczem i słońcem, śniegiem i spiekotą.
- Czy to trudno? - pyta Obruczew. - Niezwykle trudno. Ale to jet konieczne. Radzieccy ludzie chcą żyć długo, chcą opływać w dostatki, mieć zspewnione bezpieczeństwo, chcą być całkowitymi gospodarzami swojej ziemi i uniezależnić się od kaprysów przyrody.
A więc wszystko to będzie dokonane."
Czytam:
"Plsn sześcioletni w ciągu dwóch i pół roku wykonał młody frezer z Zakładów im. 1 Maja w Pruszkowie Jan Janczsk, stosując metodę Żandarowej. A ty?"
Czytam:
"Niezwykły przebieg miała w 1938 roku sesja Wazechzwiązkowej Akademii Nauk Rolniczych im.Lenina. Gdy ogłoszono nazwiska kolejnych sprawozdawców, na trybunę weszło dwu chłopców i dziewczynka.
Jeden z chłopców, Gleb Dzierżawin, opowiedział, jak razem ze swoim towarzyszem /tu wskazał drugiego chłopca, Wanię Kuzniecowa/ pracowali nad szczepieniem ośmiu gatunków ziemniaków.
... Mocne, grube z fioletowym odcieniem łodygi ziemniaczane wyłażą z ziemi... Operację robi się brzytwą. Trzeba ściśle wybrać dzień i ręka nie może zadrżeć..." - opowiadał Gleb Dzierżawin, chłopiec ledwie trochę starszy niż ja.
- Ten to na pewno nie umrze! Odkryje w przyszłoáci eliksir życia /raczej nie znałem wtedy słowa "eliksir" - ale to dobrze brzmi/ - myślałem z podziwem, odwracsjąc głowę od szyby, za którą wykrzywiał się do mnie Antek, chłopak od sąsiadów, wyrośnięty i chudy, co podkreślały przykrótkie tatowe spodnie i zbyt szeroka marynarka.
Antek wołał:
- No i co? Jasiu zielone ucho?
Js odpowiadałem:
- A co ma być? Antek czerwone ucho!
Wtedy Antek śpiewał:

Na zielonej łące
Raz dwa trzy
Pasły się zające
Raz dwa trzy

Jeden zając się pośliznął i jajcami
W ziemię piznął...

Tu przerwał, sprawdzając efekt, i informował:
- Tamto była pierwsza zwrotka, teraz będzie druga zwrotks...
Po czym następował ten sam co poprzednio tekst, a ja wracałem do niezwykłych eksperymentów.

"Dziewczynka, Tania Kozłowa, postawiła sobie za cel zaprząc do pracy wszystkie siły ukryte w bulwie ziemniaczanej. I okazało się, że aiły te są niezwykle wielkie. Nikt nie wyobrażał sobie nawet, jak wielkie!"
Tania wyhodowała z jednej bulwy ziemniaczanej 1035 nowych bulw! Tak powinienem był zawołać do Antka czerwone ucho /a może i zawołałem/, przerywając mu jego piosenkę, która jak twierdził, nie mogła mieć wcale końca, na dwudziestej, trzydziestej czy też trzydziestej pierwszej zwrotce /to nieprawda, Antka nudziło powtarzanie i zwykle przerywał przy szóstej-siódmej zwrotce/.
On powinien był spytać:
- Co za Tania?
- Ja odpowiedziałbym:
- Kozłowa. Chciała i wyhodowała... Zwyczajnie. Bo wszystko jest możliwe.
Ale Antek czerwone ucho zamiast zainteresowania, burczał tylko:
- To zrób chłopa z baby! Jaaiu zielone ucho!
A potem odchodził, przyginając do ziemi wystające nad drogę koślawe gałęzie wiśni - trzeszczały kolejno, jakby Antek, wędrując w stronę wai szedł po drabinie; pokonując szczebel po szczeblu, wciąż oddalał się i tylko coraz ciszej wracała do mnie inna już pioaenka:
Wszystkie rybki mają pipki
Ciurlala ciurlala ciur
A karasie po kutasie
Ciurlala ciurlala ciur...

Wyrażany w ten nieco brutalny sposób sceptycyzm Antka czerwone ucho niewiele mógł jednak zdziałać. Bo oto nadchodził kolejny tekst:

Nie ma niemożliwości, człowiek wszystko potrafi.
Przyszedł radziecki inżynier, przyjrzał się geografii.

"..Przestarzała - powiada. - Wodoatanem ni glebą
całkiem nie odpowiada aktualnym potrzebom.

Rzeki płyną do morza, a w pustyni spiekota,
karygodnie - powiada - bezplanowa robota.

Czaa wziąć atary krajobraz, zmienić go o sto procent,
żeby spełniał swą rolę w stalinowskiej epoce".

Cóż takiemu pustynie zmienić w ogrody żyzne?
Słowa "niemożliwe" nie znają w jego ojczyźnie.

Cóż takiemu pchnąć rzekę z północy na południe?
Bieg historii odwrócić było na pewno trudniej.

A więc rzeko odwieczna, więc pustynio najstarsza,
młode, zuchwałe ręce wezmą was na swój warsztat.

Wasze funkcje społeczne zaplanują daleko,
towarzyazko pustynio i towarzyszko rzeko.

Kilometrami kanałów martwe pustkowia potną,
szturmom wód rozwścieczonych zaporę wzniosą stokrotną.

Podda aię wrogi żywioł, wstecz poałusznie popłynie,
pustynia przyjmie rzekę, rzeka użyźni puatynię.

Wydmy porosną bawełną, piaski zakwitną zbożem,
popłyną ładowne statki przez "dolno-obskie" morze.

Tak się buduje komunizm.
Niech wiedzą ludzie prości:
człowiek wszystko potrafi, nie ma niemożliwości!"

Wiersza Jerzego Jurandota "Nie ma niemożliwości" nauczyłem się na pamięć, chociaż dziadek zrzędził: "pacierza byś się lepiej nauczył", a ojciec wcale nie nalegał, tylko powiedział:
- Jak już się nauczył, to się nauczył, a pacierz też potrzebny!
A potem dodał jeszcze coś o Panu Bogu i świeczce oraz o diable i ogarku, więc nauczyłem się też pacierza /to miał być ogarek? czy świeczka?/.

"Nie ma niemożliwości" powtarzałem od tego dnia jak zaklęcie. Nie ma niemożliwości /dla Boga czy dla diabła?/.

JAN STRĘKOWSKI

TUMANY I FETYSZE

Foto Konrad Struga

Cena 250 zł